

kwiecień 1980

14

PROZA  
POEZJA  
ESEJE  
KRONIKA

ZAPIS

w numerze:



**Julian  
STRYKOWSKI**

**Wielki STRACH**

Adamowi  
Michnikowi

Julian  
STAWINOWSKI

---

Wielki STRACH



**Copyright by JULIAN STRYJKOWSKI**

**Warszawa, 1980 r.**

**NIEZALEŻNA  
OFICyna  
WYDAWNICZA**

**Projekt okładki „STUDIO Q”**

## I

" I nie dziw, że miast wolności wpadli  
w niewolę".

Dostojewski, "Bracia Karamazow"

Była to druga wojna w życiu Artura.

## X

Za czasów pierwszej był dzieckiem, oczywiście, bo teraz tylko ci, co byli wówczas bardzo młodzi, mogą ją pamiętać. Innych już prawie nie ma, żołnierze polegli albo poumierali, spoczywają na cmentarzu, jeśli nie został zniszczony. Może nie wszyscy, ale jaka to różnica?

## X

Maly Arturk siedział na parapecie okna, mieszkali na parterze, więc nie było to groźne. Łagodny wiatr, jaki wiał tylko wówczas, tego lata, pachnący skoszoną trawą, wydymał tiulową firankę, którą siedmioletnia Rachel drapowała się jak welonem, kiedy

przyjeżdżała z rodzicami ze wsi na targ czwartkowy. Plecami czuło się słońce i ciepło pustego placu.

Tego już nasz biedny cesarz nie wytrzyma - płakała matka.

-Serbia za to zapłaci - powiedział ojciec.

-Czy to znaczy, że będzie wojna?

Nie było to pewne.

Cesarze i generałowie zamiast strzelać mogli się pogodzić. Artur chciał, żeby była wojna. Wiedział, że nie należy się z tym zdradzać przed nikim, nawet przed starszym bratem Manesem, choć podejrzewał, że u niego znalazłby zrozumienie.

Kończył się rok szkolny a wojny wciąż nie było.

W klasie było duszno od róż, goździków i piwonii, które leżały na stopniu katedry. Bukiety spowijała jak bibułka, cienka, słomkowa rogózka, związana wstążkami. Po rozdaniu świadectw nauczycielka, blada jak kreda, w białej bluzce ze stojącym, koronkowym kołnierzykiem, żegnała się z chłopcami życząc im, żeby po wakacjach spotkali się w drugiej klasie. Miała łzy w oczach, kiedy obejmowała chłopców, jednego po drugim, bez względu na to, jakim kto był uczniem i jakie otrzymał świadectwo. Matki zaglądały przez uchylone drzwi i również miały łzy w oczach.

## X

Na wieś zawiózł go furmanką mleczarz, rudy Mechel. Codziennie przynosił z miasta wiadomości, co się dzieje u znajomych i krewnych, ale o wojnie ani słowa. Wujostwo Marcusowie ani nikt inny tutaj nie czytywali gazet. Wujek Zysie ofuknął Artura za to, że spytał, kiedy wybuchnie wojna. "Wojak się znalazł" - śmiał się wujek Zysie - "zobaczymy jaki będzie z ciebie wojak gdy dorosisz". Rachelę edukowała poważnie, choć nic nie rozumiała. Udawała, że wie o co idzie, ale okazało się, że nie słyszała nigdy słowa "wojna". Trudno było jej wytłumaczyć co ono znaczy. A jej starsza siostra Szewa wyzywała go: "Jojne idź na wojnę", jak śpiewali ulicznicy, kiedy chcieli dokuczyć żydowskim chłopcom. Był jeszcze dorosły kuzyn Abe, ale chodził zły i ponury. Artur unikał go. Od niego zaczęła się wojna.

Jemu pierwszemu wójt wręczył wezwanie. Potem obszedł inne chaty. We wsi słychać było lamenty kobiet.

Ciotka Chawa Marcusowa nie płakała, jak zwykle zajmowała się gospodarstwem, kajała tylko służbę bardziej niż zwykle. Szewa uciekała do sadu, aby ukryć łzy, a potem rozpaliła w wielkim piecu i upiekła buchtę bratu na drogę.

Matka przyjechała po Artura furmanką rudego Mechela i została na noc.

- Biedne moje dzieci - matka starała się powstrzymać łzy - ojca zmobilizowali.

To tak, pomyślał Artur, to niedobrze.

Nazajutrz wynoszono słomą grabiniasty wóz wujostwa i matka z Arturem, wuj Zysie Marcus, kuzyn Abe w najgorszym ubraniu, z drewnianym kuferkiem, wybrali się do miasta. W ostatniej chwili wsiadły Szewa i Rachelę. Ciotka została sama, żeby pilnować dobytku. Służba tylko czekała na wojnę, aby zacząć grabić żydowskie

mienie. Można to było poznać po ich opuszczonych głowach.

Cała wieś zaprzęga konie.

Na drodze polskiej było luźno, wozy jechały truchcikiem i było przyjemnie. Ale na cesarskim trakcie zrobił się zator. Pojazdy sunęły jeden za drugim. Powstrzymywano konie wodzami, a żeby dylem nie przebić sąsiada. Gniadosze wujka, najpiękniejsze ze wszystkich, przysiadły na tylnych nogach, rwały wędzidła, kręciły potężnymi zadami i rzucały się w bok. Wóz omal nie wpadł do rowu. Z dróg polnych z prawa i lewa wjeżdżały na gościniec chłopskie furmanki, ziemlańskie zaprzęgi, bryczki dzierżawców i linijki ekonomów. Zmobilizowani chłopci, panowie i żydzi jechali do miasta. Horyzont jak koło ruszał się w obłoku żółtego kurzu. Gościniec niby rzeka przyjmował strumienie pojazdów. Zatrzymywano się, żeby zrobić im miejsce. Powstawało zamieszanie, skrzypląły hamowane koła, zaczepiając o siebie osiami, trzaskały bicze, konie rżały, stawały dęba, chrzęściły wędzidła, chłopci kleli, baby piszczały. Jeszcze zanim się zaczęła prawdziwa wojna, był koniec świata.

- Halt! Halt! Langsam! Langsam! - błagała matka po niemiecku. Jej krzyk ginął w żydowsko-rusińskiej wrzawie.

Trzeba było wyprzeć konie, wyprowadzać je pojedynczo na bok, rozczepiać wozy i ustawiać wspólnymi siłami w szeregu. Dopiero potem udawało się ruszyć z miejsca, ale nie na długo. Tęcza trzeba było stawać, aż do wjazdu na przedmieście. A tutaj dopiero musieli czekać. Ulice były zatarasowane. Chłopci znów zesłi z wczół i trzymali konie przy pysku, żeby się nie spłoszyły. Prowadzili je krok za krokiem i przystawali. Przebycie drogi od jednego rogu ulicy do drugiego trwało wieczność.

- Zejść - powiedziała matka do Artura - pieszo zajdziemy prędzej.

W domu zastali ojca w niebieskim mundurze z trzema kościanymi, białymi gwiazdkami na kołnierzu. Już był gotów do wymarszu na wojnę.

Na dworcu zebrali się tłumy. Drzwi wagonów towarowych były szeroko otwarte. Żołnierzom podawano papierosy i siódzce. Oficerom pięknie ubrane kobiety wręczały z uśmiechem bukiety kwiatów. Oficerowie mieli upudrowane białe twarze i stali sztywni w oknach pierwszej klasy.

Kiedy zagwizdała lokomotywa i koła zaczęły się toczyć, zagrzmiały miedziane talerze, muzyka zagrała hymn i dworzec napełnił się śpiewem: "Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj!..." A potem kapela zagrała marsza wojskowego. Ludzie machali rękami, kobiety biegły za pociągami i powiewały chusteczkami wilgotnymi od łez.

Manes wziął zapłakaną matkę pod ramię i odprowadził ją do domu jak z pogrzebu. Matka usiadła przy stole i długo milczała.

x

Po tygodniu miasto zajęli Rosjanie.

Sołdaci wąsali się po ulicach w szynelach nie zaobrubionych u dołu. Szyniele sęgały kostek. Bił od nich ostry zapach.

Jeśli wierzyć Manesowi, była to maść przeciw wazom. Czerkiesi po-  
pedzali maść kosmate koniki nahajkami, zakończonymi kulka ołowiu.  
Byli ubrani w kolorowe chałaty z atłasu i wszyscy na piersiach  
nabojami, każdy nabój w kieszonec, w szeregach papachach o czerwo-  
nych denkach. Szerokie szable przytroczone do siodła. Czuli się  
jak u siebie w domu. Chociaż nie całkiem. Wiedzieli, że otacza ich  
nieawiasie. Czuli się z tym jak z czymś zrozumiałym. Byli spokoj-  
ni i objęci. Ale tylko w dzień, jak zwierzęta polujące nocą.

Kiedy zapadał zmrok słychać było piski dziewcząt, to żołnie-  
rze przepierali służące do płotu pobliskiego sadu.

W nocy panowała ciemność. Kiedy wojska rosyjskie weszły do  
miasta, została zepsuta zakomła i latarnie uliczne nie świeciły.  
Nikt nie wychodził za próg, zamknięto się podpierano drzwi dra-  
giem, zamieszano okna kocami, żeby światło nie przyciągało wro-  
gich oczu. Klądziono się wcześniej spać i nasłuchiwało przez płyt-  
ki sen.

Na szczęście byli to żołnierze, a nie kozacy.

Szukali mężczyźni do sypania szanców.

Sypianie szanców w nocy? Gdy front zastygł w Karpatach? tylko  
czasami słychać było daleki głucho huk armat. Starszy brat Manes  
od razu zrozumiał o co chodził. Dorosłych mężczyzn w domu nie było.  
Ojciec ciężko chory leży w szpitalu - skłamała matka. Bada się  
powiedzieć, że jej mąż walczy na froncie w randze Zugführera i  
razem z 33-tim regimentem infanterii austriackiej wycofał się w  
Karpacie góry. Wapólnie z nami wszystkimi czekał na odwilż, która  
umożliwi naszemu wojsku zwycięską ofensywę oraz przekamanie fron-  
tu. Sołdat z szperką twarzą i wystającymi słuchami wyjął kozik i  
matka zaczęła się jękać, niepotrzebnie, gdyż kółkiem, jak go potem  
nazwała, chciał tylko podlubać w zębach. Drugi sołdat krzyknął na  
Manesa, żeby wstał i pokazał, czy jest duży. Starszy brat wyko-  
czył z kółka, gotów na przymusowe roboty. Wyprostował się ku rozpa-  
czy matki, która dawała mu znaki, żeby się schylił. Sięgnął po spod-  
nie i zaczął je naciskać lekko drżącymi rękami. Matka splótła dło-  
nie jak do modlitwy i prosiła żołnierzy, żeby go nie zabierali,  
przecież sam widzi, że to jeszcze dziecko. Spojrzeli po sobie i  
ten z kozikiem zaczął Manesowi wracać do kółka. Skończyło się na  
pudełku papierosów. Chcieli pieniądze, ale Manes chwycił spódnie i  
zaczynał je z powrotem wkładać, kręcił zawzięcie głową i tłumac-  
zył po rosyjsku: "nie mamy dziengi". Przed odejściem zapalili.  
Zacięgnęli się głęboko i trwało długo, zanim wypuścili dym aż do  
sufitu. Tytoń się im spodobał. Poklepali Manesa po ramieniu i po-  
chwaliли go: "charosyj malczyk". Po ich wyjściu matce odjęło mo-  
wę na pół godziny, gdy sobie uprzytomniła, że była bezbronna ko-  
bieta zdana na łaskę i nielaskę obcych mężczyzn. Dzięki bogu, że  
obeszło się tak łatwo, mogło się skończyć znacznie gorzej i to  
na oczach dzieci.

Papierosy Manes sprzedawał kozakom jadącym na front, skąd  
już więcej nie wracali. W Karpatach rosły góry ich trupów. Nasze  
dzielne wojsko wycolnało ich w pier. Brat sam napełniał gilzy ty-  
toniem i wkładał pudełka z wciśniętym denkiem, tak że zamiast  
pięciu rzędów były tylko cztery. Czasem podkładał papier i było  
ich tylko trzy. Ale robił to rzadko. Nie należało igrać z ogniem.  
Na szczęście kozakom nie w głowie było liczyć rzędy. W czarnych,  
sztywnych burnusach z wojska o spiczastych ramionach, okrywają-  
cych jak namiot zody włochatych koników, kopysali się smutni i  
skuleni w drewnianych siodłach. Brat biegał między koniami, wycią-  
gał w górę pudełko z papierosami i nie zdarzało się, żeby któryś  
z nich nie zapłacił. Wyciągali sakiewki skórzane i rzucałi w po-  
wietrze miedziane a czasem srebrne kopiejki, wszystko im było

7  
jedno. Śmiali się kiedy Manes zrećnie chwycił monety w loocie albo wygarniał je z błotą zmieszanego ze śniegiem spod kopyt, cud, że żaden koń go nie kopnął. Wieczorem kiedy liczył pieniądze, pckazywał, jakie robi sztuczki, żeby konie go nie stratawały, matka mślała ze strachu i Manes musiał codziennie przyrzekać, że więcej tego robić nie będzie.

x

Na dalekich polach toczyły się walki, ale w mieście było spckojnie.

Wszystkie bitwy wygrywali nasi, aż przegrali wojnę.

x

Duża wojna urodziła małą.

Czarno-żółty sztandar został zdarty z magistratu i wywieszono niebiesko-żółty. Dwugłowy orzeł, czarny na blaszanej tarczy, został zastąpiony przez złoty trójzab. Przemalowano szyldy i napisy. Ulice zmieniły nazwy. Wytepiono sławnych Polaków, a tych nowych ukraińskich nazwisk nikt nie znał.

W trzeciej gimnazjalnej chłopcy tłumaczyli Neposa na ukraiński. Było to nie do wiary, język wsi stał się językiem miasta. Nie wszyscy chcieli się z tym pogodzić. Polacy nie poszli do szkoły, Artur i Manes też zostali w domu. Choć większość rodziców żydowskich posłała swe dzieci do "ukraińskiej hymnazji".

Polska jeszcze tutaj wróci - mówiła matka.

I rzeczywiście. Samostijna Republika Zapadnoji Ukrainy długo nie potwała. Przybyli długo oczekiwani hallerczycy w błękitnych mundurach, którzy z nadmiaru męstwa wrywali Żydom brody. Jedną taką zakrwawioną twarz widział Artur w biały dzień, kiedy pełno było ludzi. Polaków i nie-polaków, na rynku. Nie mógł jej zapomnieć i przez długi czas ukazywała mu się przed snem.

Chciałaś ich, tych swoich Polaków, to ich masz - dokuczał Manes matce.

x



Zaledwie skończyła się wojna ukraińsko—polska, zaczęła się druga - bolszewicka. Drugi odprysk wielkiego pożaru.

W damskich kapeluszach, w zrabowanych płaszczach, na małych, kosmatych konikach pędzili kozacy ulicami. Wyglądali jak czereda przebierańców na żydowski karnawał w święto Purym. Zanim weszli do miasta, przez całą noc od strony rzeki dochodziło wycie, nie było strażaków, tylko wycie jakby stada głodnych wilków na śniegu. Chcieli zastraszyć zdrtwiałe miasto, opuszczone przez niedobitki polskiej armii. Wybuchy rozległy się dopiero w zdobytym mieście. Bolszewicy rozbijali granatami, składy ze spirytusem, w trzynny jubilerskie i sklepy z odzieżą. Czego nie mogli zabrać, wyrzucali na bruk a szumowiny podmiejskie ładowały to na wózki i taczki. Rosjanie wlamywali się też do domów mieszkalnych. Szukali zegarków, pierścionków, bransoletek. Zostawiali pokwitowanie bez pieczętki i podpisu.

Manes, odkąd ojciec poległ nad Soczą, na najgorszym włoskim froncie, uważał się za głowę rodziny. Zorganizował obronę i domagał się poskuszenia. Podparł drzwi wejściowe ławką z kuchni i kiedy rozległ się krzyk: "otkroj, job twoju mat", szeptem wydał polecenie matce, ażeby postawiła na stole suchy chleb z cebulą. Widok nędzy miał powstrzymać bolszewików od gwałtu. "Biednych zostawia w spokoju" - zapewniał. Bo dla nich prowadzą wojnę, jak mówili szwec Gerszon i kolejarz Butrym na rynku z trybuny pokrytej czerwonym sukniem. Nagle przestali się dobijać.

Zrobiło się cicho.

Odeszli nie tylko spod drzwi, ale wsiedli na koniki i w po-  
-chu opuścili miasto.

Bolszewików wypędzono i w Żurawicy powstał obóz dla rabinów i żydów, bo pomagali wrogowi. Kiwali się i podnosili do góry ręce dając znaki bolszewikom. Mian ich za to powiesić. W obozie wybuchła zaraza, wielu umarło, a resztę wypuszczono, kiedy okazało się, że są niewinni. Wyjaśniło się, że żydzi, modlą się, lubią się kiwać.

Żydom jednak wciąż groziły ekscesy. Młodzież jeszcze w 18 roku stworzyła tak zwany "Selbstchutz", zaraz po pogromie we Lwowie. Już wtedy Manes należał do samoobrony żydowskiej. Po klęsce bolszewików stał się jednym z założycieli, wspólnie z Matką Leibowicz, harcerskiej organizacji "Haszomer Hacair". Młoda Straż. Artur pragnął do niej należeć, ale był za młody. Zazdrościł chłopcom maszerującym w szeregu i śpiewającym hebrajską pieśń "Behar wagaj, Jerakrak sadaj". Biegł za nimi na łęgi za miastem, nad rzekę, gdzie rosła stara, spróchniała wierzbą.

Pragnął być jednym z nich. Należał do "gniazda". Brat - szomer! Wszyscy byli braćmi. Tylu młodzi braci, tyle sióstr! Nie zwycajnych jak Manes, ale niezwykłych, jakby każdy z nich ukrywał przed obcym, do nich nie należącym, jakąś tajemnicę. Niedostępni, różniący się od innych, nikt, tylko oni się liczyli. Budził się z radosną myślą, że oni istnieją. Oddałby wszystko, żeby go przyjęli do swego groma. Wcisnięty w najciemniejszy kąt, Manes musiał mu pozwolić, żeby został, był to ich wspólny pokój, świecące oczami jak kot. Arturtek przysłuchiwał się ich rozmowom. Gdy mówili po hebrajsku, nic nie rozumiał, ale na szczęście Łeż im było wyskokić się po polsku i wtedy słowa podpytywał ku niemu bliskim i znanym brzmieniem. Słuchał i pokochał daleki kraj. Śnił mu się, kiedy przyykał oczy. Palmy, same palmy. Oazy i wielbłądy. Karawana uprowadza Józefa do Egiptu. Król Dawid z Barfą. Król Salomon i królowa Saba, obwieszona perłami i złotem. Cud z lampką oliwną w świątyni, Chanuka i Makabeusze. Żydzi też mogą być waleczni jak Polacy.

Matka kazała Manesowi zapalić lampę, przynosiła kawę z mle-

kiem i maślane bułeczki. W święta częstowała ich buchtą lub sernikiem.

-Oj, dzieci, dzieci - mówiła - co wam się śni?

x

Moje miejsce nie jest tutaj - powiedział Manes matce i wybrał się bez paszportu i pieniędzy do Palestyny. To była długa podróż przez Europę do Triestu a stamtąd statkiem. Razem z nim wyjechał Gold. W ich ślady poszła cała grupa chłopców.

Ale nie wszyscy wytrwali. Po dwóch latach walki z głodem i malarją zaczęli wracać. Rozczarowani, złamani, szukali ratunku w Komuniźmie.

Ostatni wrócił Gold. On już w Palestynie stał się komunistą i agitował wśród Arabów przeciw syjonizmowi i Anglikom. Po odbyciu rocznego wyroku w twierdzy Akko angielskie władze mandatowe wydały go z kraju. Przywiózł matce pozdrowienia od Manesa. Opowiadał o ciężkich warunkach, w jakich "pionierzy" żyją w Palestynie.

Artur był już szomrem i już potrafił rozmawiać z braćmi po hebrajsku. Nie wierzył Goldowi. To były oszczerstwa! Obrzucał ideą Artura błotem.

- To dezertor - pocieszał zgnębną matkę - chce usprawiedliwić swoją dezercję. Dlaczego Manes nie wraca? Bo jest idealistą.

- Bo jest fanatykiem. Tak jak dziadek - odparła matka.

- Wasz dziadek Aron, ty po nim nazywasz się Artur, był znanym fanatykiem religijnym.

x

Odpedzał od siebie niedobre myśli. Przejmowały go zgroza. Gold siedział w więzieniu, wyszedł i dalej jest komunistą. Nie boi się. Gotów jest dla swojej idei cierpieć. Jaka to musi być piękna idea! Ale on też jest gotów cierpieć za swoją ideę. I pracować w pustyni jak Manes. Która idea jest prawdziwa? Kuba Gold odrzuca ideę Manesa jako szkodliwą, a nawet przestępczą. Artur znał swoją ideę, ale nie znał idei Golda. Nic o niej nie wiedział. I nie chciał wiedzieć. Jak religijny Żyd nie chce słyszeć imienia Jezusa i zatyka sobie uszy. To męczyło Artura jak zła pokusa. Był smutny. Broził się. Uniknął Golda. Przechodził na drugą stronę, kiedy go spotykał skulonego, bez płaszcza, w tej samej marynarczce zimą i latem, śpieszącego gdzieś, zawsze z rękami w kieszeniach. Zawsze się śpieszył, jakby go ktoś gonił.

W listach matka wzywała Manesę do powrotu. Długo nie otrzymywała odpowiedzi. Nawiedzały ją koszmarnie myśli, że starszy syn już umarł wśród strasznych mak malarii i głodu. Wreszcie odpowiedź nadeszła. Manesę prosił, żeby matka więcej nie wspominała o powrocie, gdyż "nie ma powrotu do kraju, gdzie mnie nienawidzą". Wtedy matka zaczęła snuć plany wyjazdu do niego. Czekala, aż Artur zda maturę, żeby z nim razem pojechać do Ziemi Ojców.

Na wiosnę Gold zorganizował strajk w fabryce zapałek "Watra" i demonstrację przed magistratem. Była to "czarna środa". Policja bez ostrzeżenia otworzyła ogień. To było straszne. Tego chłopaka Artur znał. To był Gutek Fichman z siódmej. Uczeplił się jedną ręką sztachety, a w drugiej trzymał plik ulotek. Zdgazył jeszcze rzucić je przez ogrodzenie. Miał zmasakrowaną twarz. Trzej robotnicy leżeli w kałuży krwi. Gruchnęła jeszcze jedna salwa i Artur poczuł, że go ktoś chwytą za ramię. Był to kolega szkolny Zbyszek Taras.

- Wyrwyjmy stąd - Zbyszek ciągnął go za sobą.

Zbierali się pod starą spróchniałą wierzbą. "Arawah" nazwali ją po hebrajsku - słowo wzięte z psalmu. A ponlewał pod drzewem płynęła rzeka, śpiewali jak wygnani jerozolimscy: "nad rzekami Babilonu siadywaliśmy i tam płakaliśmy wspominając Syjon. Na wierzbach zawdlesiliśmy nasze harry"... Z czasem "arawah" zmieniło się w "ahawah", to znaczy miłość, która zakwitła na wiosnę i zาดawała wiele cierpień. Była nawet jedna, nieudana, na szczęście próba samobójstwa Fritza Honiga. Z rozpączy stał się komunizm. Ale dalej przychodził do gniazda. Inni nieszczęśliwie zakochani mieli ponure twarze i na tym poprzestawali, choć ich serdeczna rana nie była mniej bolesna niż niedoszłego samobójcy. Sprawę komplikowało to, że w jednej dziewczynie kochali się wszyscy. Dziewczyna miała wyrzuty sumienia, starała się ukryć swoje uczucia, ale i tak było wiadomo, kogo nim obdarza... Pogadanki pod wierzbą stały się niemrawe, najinteligentniejsi najtrudniej sobie radzili ze swoją klęską. Ich głowa zajęta była czym innym niż kwestią rozwiązania problemu żydowskiego w Galusie i w Erec. Uchylali się od dyskusji. Więc śpiewali rzeźną ukraińską dumkę, która była na czasie, bo właśnie w krzewach bez słowiki napeł-

31  
niały wieczór trelami, "sołowiej, tloch, tloch, tloch..." Albo hebrajską piosenkę miłosną: "Delikatną miała skórę, nikt nie śmiał dotknąć jej". Ale w ten wieczór nikt nie śpiewał. W wieczór po "Czarnej środzie". "Po tej zbrodni pacholców kapitalizmu czyż można jeszcze wątpić, po czyjej stronie jest słuszność?" Ten argument Honiga utonął w milczeniu. "Pachołkowie kapitalizmu" - skrzywił się Artur.

X

Gold, którego Artur unikał, znalazł schronienie w jego domu.  
- Artur - usłyszał cichy głos.  
To był Kuba Gold. Artur poznał go, choć ulica była nie oświetlona. Cofnął się.

- Nie mam gdzie spać.  
Artur nic nie odpowiedział.  
- Tylko jedną noc...  
- Dotychczas gdzie spałeś?  
- Dali mi cynk, żebym nie przychodził. Policja mnie tam szuka. Zresztą mogę ci powiedzieć, gdzie, u kolejarza Butrymą.  
- Nie wiem, co matka powie.

Matka powiedziała:  
- Aber Selbstverständlich, mein Kind - i pościeliła mu łóżko.  
Kuba Gold ukrywał się cały tydzień, tydzień strachu i tydzień sprawiedliwe i skuteczne rozwiązanie wszystkich problemów, a przede wszystkim, żydowskiego. Koniec antysemityzmu, prawdziwe równouprawnienie, wszystkie drogi stoją otworem, bez "numerus clausus" bez "numerus nullus"...

- Syjonizm to utopia, która się nigdy nie ziści. Wyrzucanie felekachów z ich ziemi to przestępstwo, które się zemści. To kraj w morzu arabskich ludów.

- Ziemię kupujemy u effendich. To pustynia, której nikt nie uprawia, a dopiero my używamy ją naszym potem i zamieniamy w ogród. To raz, Utopia? Niech będzie utopia, ale ja w nią wierzę. Tracamy do naszej ojczyzny. Jeśli zechcemy, nie będzie to utopia. "Wenn ihr wollt, ist es kein Märchen". Jak powiedział nasz wódz Teodor Herzl. - Na twarzy Artura wystąpiły wypieki.

- Bzdura.  
Artur spojrzał na Golda oczami czerwonymi od nienawiści.

X

Ulotka była żarłoczna. Ręko się od błędów językowych. Zaczyna-

ła się od stwierdzenia, że jeszcze nie przebrzmiały echa strzałów japońskich najmitów kapitalistycznych w Szanghaju, kiedy już międzynarodowy kapitalizm knuje zbrodnicze plany antysowieckie.. Ulotka wzywała robotników tartacznych w Skolem do przeciwstawienia się próbom obcięcia i tak już głodowych płac i ogłoszenia strajku aż do zwycięstwa. Konczyła się okrzykami "niech żyje!" i okrzykami "przecz!" Można było kpić i śmiać się. Ale na tym koniec. Sedno nie leży w złej polszczyźnie czy dobrej, gdy idzie o strajkujących. Ludzie i nędza są ważniejsi niż drugi przypadek po przeczeniu. W tym okropnym tekście, jak w koślawym piśmie dziecka, stawiającego pierwsze litery, tkwiła przyszłość. Siła skuteczności. Artur odrzucał tę myśl, ale nic nie mógł jej przeciwstawić. Odsuwał od siebie prostą, ludzką logikę. Ale z drugiej strony: kto jest przeciw strajkującym robotnikom w Skolem? Kto jest przeciw sprawiedliwości? Kto jest przeciw postępowi? Nasi idealisci, nasi dzielni pionierzy, zamieniający pustynię w kwitnący ogród? Żyjący w komunach kibuców? Na pewno nie!

- I

Potem była głodówka i krzyki bitych przenikały przez mury więzienne na ulicę Trybunalską, gdzie mieszkał Zbyszek Taras. Z okien jego pokoju widać było ręce czepiające się krat. Jak sztachet przed magistratem w "Czarną środę".

-Widzisz - powiedział Zbyszek - a ja na to patrzę codziennie.

X

Fritz Honig zbierał pieniądze na pomoc strajkującym. Artur się sprzeciwił. Nie dał ani grosza. Może należało dać, ale to byłby pierwszy krok. Drugim byłoby odejście od hebrajskich poetów, Bialika, Czernichowskiego, Szneura, trójcy nie gorszej od Mickiewicza, Skowackiego, Krasieńskiego, byłaby rezygnacja z języka hebrajskiego który cudem zmarł wychwał po dwu tysiącach lat letargu. I musiałby podrzeć własne wiersze pisane w języku proroków. Gold odrzucił język hebrajski, odgrywający rolę narzędzia w ręku zacofaństwa i kleru... Pierwszy wiersz Artura nazywał się "Duda'im" to znaczy Fiołki, potem dopiero dowiedział się, że tak samo nazwał swój tomik wierszy hebrajskich Julian Klaczko. Niestety wyparł się swojej twórczości, zaczął pisać w innych językach. W końcu wyparł się wiary swoich ojców. Takie są stopnie zdrady.

X

Fritz Honig przyniósł książkę. Pożyczył ją kolejno wszystkim. Potem dyskutowano. Była to Teoria Materializmu historycznego. Artur brał ją do ręki i odrzucał. Po co ją w ogóle wziął od Fritza? Wraczał do niej. Był bezsilny jak wobec nałogu, z którym się walczy. Odkrywał się inny świat. Inny od tego, jaki znał dotychczas. Bronił się przed nim. Nie znajdował argumentów. Ale to wcale nie znaczyło, że ich nie było. Że ich ktoś starszy i mądrzejszy od niego nie ma... Nic nie pomagało. To, w co wierzył, kurczyło się, stawało się coraz mniejsze. Zrywał się w nocy i z biciem serca czytał Bucharina jak wyrok. Kiedyś czytał "Płomienie" Brzozowskiego. Z zachwytem, jakby w gorączce, ale radosnej. Też chodziło o rewolucję. Dlaczego tamtej lekturze się oddał, a ta go odpychała? Bo ta zadawała celne ciosy, burzyła jego wiarę. Rozpacz. W nocy nie mógł spać, a we dnie ohodził jak błędny.

Oddają Fritzwowi Honigowi książkę powiedział:

- Bzdura....Może tam coś jest.... Ale to nie dla mnie.

X

Czego nie dokonał Gold, dokonał z czasem Zbyszek Taras. Może dlatego, że był Polakiem.

W obszernym mieszkaniu stały ciężkie meble rzeźbione w mahoniu. Święte obrazy, kopie mistrzów włoskiego renesansu, buczackie makaty i duża tkanina turecka z czasów Jana Sobieskiego wisiły na ścianach. Pani Tarasowa oprowadzała i tłumaczyła jak w muzeum. Nad kłótkier Zbyszka czuwał Anioł-Stróż o różowej dziewczęcej twarzy.

- A ta karabela to mojego dziadka - mówiła pani Tarasowa - zginął w powstaniu pod Fieskową Skalą. Pradziadek był atamanem dziczy kozackiej, ale się spolszczył.

Zbyszek kpił z rodzinnych tradycji i przerywał matce opowiadanie o wyczynach bojowych przodków.

- Traktowali swoich pańszczyźnianych chłopów gorzej niż bydło.

- Bój się Boga! - załamwała ręce pani Tarasowa. - Skąd takie droższe myśli u ciebie?

W rozmowie w cztery oczy przyznała się Arturowi, że wśród książek znalazła jakąś bolszewicką bibułę i ją spaliła. Od tego czasu ma na niego baczne oko i przegląda jego teczkę. Spytana Artura, czy on czasem też nie został dotknięty tą zarazą... Ale to jeszcze nie wszystko. Przyjacielowi Zbyszka może to powiedzieć. Zbyszek upijał się i urządzał awantury, wpadł w złe towarzystwo i włóczy się po nocach. Donoszono jej, że widziano go w towarzystwie podejrzanych kobiet. Ale w to ona już uwierzyć nie może. I dlatego dąży życzliwym okiem przyjaźni syna z Arturem, skromnym

i dobrze ułożonym chłopcem, pochodzącym bądź co bądź z kulturalnego domu, i jest szczęśliwa, ponieważ wydaje się jej, że Artur ma zbawienny wpływ na Zbyszka.

I rzeczywiście Zbyszek usatkwował się. Przestał pić i awanturować się. I właśnie wtedy został wyrzucony z gimnazjum. Było to spowodowane zajściem na lekcji niemieckiego. Nauczyciel Cypriś, znany antysemita i endek, narysował na tablicy pięcioramienną gwiazdę, a żeby dowieść, że jest to wspólny emblemat międzynarodowej finansjery żydowskiej i bolszewizmu. Artur zwrócił mu grzecznie uwagę, że gwiazda Dawida ma sześć ramion i nie ma nic wspólnego z pięcioramienną gwiazdą sowiecką. Cypriś rzucił się na niego z furją i wyzwał go od szachrajów. Wtedy wstał Zbyszek i uderzając książką o ławkę nazwał nauczyciela niemieckiego kłamcą. Zbyszek został ochrzczony "żydowskim adwokatem" i "bolszewikiem". Koledzy przestali się z nim widywać. I tak zresztą ustały jego fundy w wspólne wyprawy do burdelu na zapleczu knajpy Hansa Kohla. Artur został mu wierny. Postanowił go przygotować do eksternistycznej matury. Mógł się z nim spotykać codziennie. Zbyszek nie miał zamiaru się uczyć, ani zdawać matury.

- Po co mi matury? - powiedział - ja jestem komunistą z przekonania od dawna.

- Czy ty jesteś w partii?
- Jeszcze nie. Wstąpmy razem.
- Co ty? Ja?
- Nie chcesz? Sam wstąpię. Pamiętasz, raz u ciebie poznałem Golda. Spotykałem się z nim.
- I nic mi nie mówiłeś?
- Po co miałem mówić? Należy się trochę konspirować. On mi dał literaturę. Szkoda, że wyjechał. On by mi teraz już pomógł. Zapoznaj mnie z jakimś komunistą. Tobie łatwiej. Prędzej uwierzą.
- Dlaczego?
- Przecież wiesz...
- Wylisz się mój drogi. Jestem wrogiem komunizmu. Rozumujesz jak ten belfer Cypriś.
- Nie widzę w tym nic złego. Przeciwnie, dla żydowskiego ludu to jedyna droga.
- Tak cię nauczył Gold? Dlaczego ci nie dał kontaktu do partii?
- Nie wiem. Może uważał mnie... Wiesz, jaką miałem opinię. I słusznie.

x

Artur zorganizował spotkanie Zbyszka z Fritzem Honigiem. Ale Fritz wcale nie należał do partii. Był sympatykiem i zbierał na MOPR. Dopiero kolejarz Butrym, u którego po masakrze "Czarnej środy" ukrywał się Gold, dał Zbyszkowi kontakt. I zamiast przygotowywać Zbyszka do egzaminów, Artur otrzymywał od niego komunistyczną literaturę. Nie chciał tego czytać. Rzucił ledwo okiem na poplamioną, nieczytelną bibułę.

- To wszystko jest mi niepotrzebne. Ja jadę z matką do Pałes-

tyny.

- Kiedy?
  - Zaraz po maturze.
  - Aby pomagać angielskiemu imperializmowi kolonialnemu?
  - W jakiej to wycytałeś ulotce?
  - Proszę cię, nie jedź.
- Arturowi ścisnęło się serce.
- Zrozum, to moja ojczyzna.
  - Jaka tam ojczyzna? Tu się urodziłeś, tak jak ja. Jesteś Polakiem. Nie jedź, bardzo cię lubię. Będzie mi ciebie brak.

X

Artur z trudem zdał maturę. Nauczyciele byli zaskoczeni słabymi odpowiedziami jednego z najlepszych uczniów.

Matka czyniła przygotowania do podróży.

- Pójdziemy do krawca - powiedział - zamówimy ci ubranie. Gimnazjalny mundur sprzedamy tandeciarsowi.

Artur otrzymał pierwszą cywilną dwurzędówkę, ale jej nie wkładał.

- Pójdziemy do fotografa. Potrzebne są zdjęcia do paszportów. Ale nie rób sobie à la minute, bo nie będziesz ładnie wyglądał.

Artur poszedł do fotografa.

- Pójdziemy po paszporty.

Odebrali paszporty w starostwie.

- Pojedziemy do Lwowa, dowiemy się, kiedy statek odbija z Konstancy.

Pojechali do Lwowa. Statek odchodzi w każdy wtorek, dowiedzieli się w biurze podróży.

- Możemy już kupić karty okrętowe - matka podeszła do okienka.

- Mamo - powiedział Artur.

- Co ci jest?

- Kup tylko jedną kartę.

- Jak to? Dlaczego?

- Bo...

Urzędniczka za okienkiem traciła cierpliwość:

- Mam wypisać? Dokąd? Ile?

- Jedną, do Palestyny, do Hajfy - Artur ubiegł matkę.

- Chodź - matka pociągnęła go za rękaw w stronę foteli pod sztuczną palmą. Oboje usiedli.

- Artek, co to ma znaczyć? Co to za fanaberia? Ja chcę studiować medycynę... w Palestynie jest to niemożliwe. Nie go to usłyszę się przez osiem lat, żeby poznać na matkę. Po studiach przyjadę.

- Medycynę chcesz studiować. Jakiego życia przyjadę na medycynę?

- Pani Farasowa ma znajomości. Jej protekcja pomoże.

Matka zasłoniła oczy chusteczką.

- Nie płacz, mamo. Przyjadę, zobaczysz.

- Dlaczego mi tego nie mówiłeś wcześniej?

- Żeby cię nie powstrzymać od wyjazdu.



- .. teraz co ja pocznę? Prawie wszystko sprzedane. I nie mogę ciębie zostawić samego. Pieniądze jakie ci dam, nie na długo starczą. Gdzie ty będziesz mieszkał? Mieszkanie sprzedane.

- O Bożka, matka Tarasa. Potem pojedę na studia do Lwowa.

- Jaką weźmiesz na utrzymanie w obcym mieście?

- Pani Tarasowa ma siostrę we Lwowie. Szuka gubernera dla swego syna.

- Pani Tarasowa! Pani Tarasowa! Porozmawiam z tą panią Tarasową.

Wieczornym pociągim wrócili do domu.

## I

Wyjazd matki opóźnił się o miesiąc.

Artur odprowadził ją do rumuńskiej granicy.

## I

Zaledwie postawił walizki w przedpokoju, pani Tarasowa poprosiła go na wstępną rozmowę bez świadków. Niccoch się czuje jak u siebie w domu. Lesiał go sam Pan Bóg, jak dobrego ducha. Jej mąż, Panie święć nad jego duszą, był dla syna bardzo surowy i Zbyszek stał się kznabrny. Nie mogła sobie sama z nim dać rady. Wstyd się przyznać, napełniał ją strachem, kiedy wracał do domu pijany. Teraz już wódki nie bierze do ust, ustatkował się. Wiadomo, czyja to zasługa. Zbyszek to przyznał, kiedy poprosił, żeby przyjechała jego przyjaciela pod wspólny dach. A teraz najważniejsze. Bardzo jej zależy na maturze. Artur obowiązek będzie polegał na przygotowaniu Zbyszka do egzaminów. Trzeba zrobić jeszcze jedną próbę, jeszcze jeden wysiłek. Bóg zacząć już nawet dzisiaj. Jest pewna, że teraz pójdzie łatwo. Ale Zbyszek w dalszym ciągu ani myślał zabierać się do nauki.

- Chrzanić maturę. Po co mi ona potrzebna!

- W takim razie nie mogę tutaj zostać.

- O co ci idzie?

- Mieszkanie... wikt...

- Niech cię o to głowa nie boli! Moja stara jest burżujka.

Siedzi na forsie. Nie miej skrupułów.

I zamiast uczyć się Zbyszek podsuwał wytrwale Arturowi komunistyczną literaturę.

"Manifest komunistyczny" Karola Marksa Artur przeczytał jednym tchem. Oszokomik go. Był półprzytomny.

- To piękne.

- Piękne? - irytował się Zbyszek - co tam piękne! Dynamit! Miał słuszność.

Zbyszek wyciągał broszury z szuflady zamkniętej na klucz. Zamazany, gęsty druk trudno było czytać. Ale to wciągało. Artur nie wszystko rozumiał. Ale zniewalała siłą niezachwianego przekonania, chłodnej analizy, okrutnej logiki. Czaiło się w niej szyderstwo dla nie dających się przekonać. A może nawet groźba. Dla sługusów kapitalizmu.

- Mam do ciebie prośbę - zwrócił się do Artura Zbyszek - napisz mi referat na rocznicę "Czarnej środy".

- Nie wymagaj tego ode mnie.

- Byłeś tego świadkiem.

- Ty też.

- Ale ja nie potrafię. Zrób to dla mnie.

- Nie wymagaj tego ode mnie, bardzo cię proszę...

- A od kogoś mam wymagać? Materiał odpowiedni o sytuacji międzynarodowego proletariatu przyniosę. Ja sam w pisaniu jestem schwach. A ty machniesz raz, dwa.

- Muszę jechać do Lwowa, a żeby złożyć papiery na uniwersytecie. Przypomnij matce, co mi przyrzekała, w sprawie medycyny.

- Możesz jechać. Zdəżymy jak wrócisz.

x

Gdy Artur wrócił, nie musiał już pisać referatu o "Czarnej środzie". Zbyszek został aresztowany.

Pani Tarasowa przywitała go z krzykiem:

- To twoja wina! O, Boże święty! A ja w niego wierzyłam! Jak mogłeś mnie tak oszukać?

- Nie oszukałem Pani...

Pani Tarasowa nie dała mu dojść do słowa:

- Pakuj manatki i szukaj gdzieś innej przystanku! Nie chcę cię widzieć. Masz opuścić mój dom! Że też nie słuchałam rodziny męża. Ostrzegali mnie przed Żydami... wysłałam, że jesteś wyjątkiem...

- Jest pani w błędzie...

- Jeszcze masz czelność! Pakuj rzeczy! Mam nie należy podawać ręki - pani Tarasowa wyszła z pokoju i zostawiła drzwi otwarte.

x

Artur nie znalazł się na liście przyjętych na medycynę. Musiał więc studiować co innego, wszystko jechno coby, aby móc dostać się do Żydowskiego Domu Akademickiego. Logia być historia.

Na wykładach i ćwiczeniach profesorów Chylińskiego, Ptasz-

nika i Górki prawie wszyscy słuchacze to byli Żydzi, a raczej Żydówki. Garstka Polaków studiowała nie z musu, ale z wyboru i zamiłowania. I kiedy korporanci uzbrojeni w laski wpadali do sal wykładowych, ażeby wyrzucić Żydów, polscy koledzy patrzyli z zażenowaniem. Później wyrażali swój żal i współczucie.

x

Po aresztowaniu Zbyszka Artur jakby się cofnął. Rozluźniła się więź, osłabło napięcie, jakie wytwarzała osoba Zbyszka i lektura. Zatrzymał się w pół drogi do partii, a nawet się cofnął. Znowu na powierzchnię wypływała dawna ideologia. A więc pisywał hebrajskie wiersze, był pewny, że kiedyś ukazą się w druku. Odzyskał smak starej i nowej kultury, tłumaczył Izajasza i Brenera, Psalmi i Awigdora Hameiri na polski. Przekłady ukazywały się w syjonistycznej "Chwili". Redaktor Gerson darzył go sympatią. Artur dostawał listy od matki wzywające go do przyjazdu. Ożyły więzy z tym krajem. Ięsknił do niego, jak do kolebki wielkości narodu, jak wszyscy Żydzi, którzy zabierali ze sobą woreczek Ziemi z Kraju Praojców... Potem przyszły wiadomości o pogromach. Fejżachowie bronili swej ziemi. Zbyszek i Gold mieli rację. Rozwiązania problemu należało szukać na innej drodze. Szlachetni i dzielni pionierzy w kibucach byli narzędziem niesprawiedliwości. Przelewali krew dla imperializmu angielskiego. Nie tędy droga. A więc zrobić ten krok? Odejść od starego, zmurszałego świata, który lada dzień się zawali? Zrobić ten krok. Żaden egzamin nie był taki trudny. To może się okazać przepaścią, człowiek wpada i już nie ma powrotu. Więzienie... Niespodziewanie spotkał Golda. Gold wyszedł z więzienia. Przeżył głodówkę, karcery i masakry w Brygidkach. Artur spytał o Zbyszka. Owszem, Gold spotkał go raz, kiedy jego cela wracała ze spaceru. Komuna miała ze Zbyszkiem kłopoty. Matka przez wysokie protekcje uzyskała jego zwolnienie. Ale Zbyszek spytał, czy to ogólna amnestia, jeśli nie to on sam nie wyjdzie. Towarzysze uważali to za błąd inteligenckiego indywidualizmu. Zbyszek nie cofnął swego postanowienia. Dopiero klucznicy siłą musieli go usunąć. Po kilku miesiącach znowu został aresztowany. Grozi mu duży wyrok.

x

Jeśli przekroczy granicę dzielącą świat na dobry i zły, zrzuć z siebie ciężki balast.

"Sowiety, Sowiety! Swobodnaja strana!

Wsiem primierom służył ana!"

Tak śpiewały dziewczęta z Żydowskiego Domu Akademickiego.

Jedna z nich zaprowadziła Artura do Świetlicy akademickiej. Do niedużej sali na Koźlątąja przychodzili przeważnie sympatycy, jeszcze nie należący do partii. Dawali pieniądze na MOPR, lokal na spotkanie, przechowywali ulotki, chodzili na masówki. W Świetlicy wystawiano szopki polityczne. Kuplety satyryczne o Piłsudskim, który każe się "całować w dukadek" i o ministrach warte były więcej niż dziesięć broszurek. Najbardziej się śmiano z wierszyków Roberta Linka. Artur go obserwował z daleka spacerującego po ulicy Legionów z kilku jeszcze innymi poetami lewicowymi.

Na masówce Artur dostał pałką po głowie. Nie chodziło o ból, wcale go nie czuł. Ale to było podłe. Na plac przed Teatrem Wielkim przyszła mała garstka demonstrantów, kilka dziewcząt z Żydowskiego Domu Akademickiego. Był ósmy marca, międzynarodowy dzień kobiety pracującej. Więcej było szpicli. To był ohydny widok, kiedy ludzie ubrani po robotniczemu, udający przypadkowych przechodniów wyciągali spod płaszcza pałki i waliłi na oslepa. To było podłe. Arturowi wydawało się to podłejsze niż strzały w "Czarną środę".

Kubę Golda spotkał drugi raz. Przybył do Żydowskiego Domu Akademickiego, ażeby kierować grupą lewicową młodzieży podczas wyborów do Samopomocy Akademików Żydowskich. Zebranie odbywało się w jadalni. Doszło do bójki. Z jednej strony dwustu studentów o zapatrywaniach syjonistycznych różnych odcieni, a z drugiej dwudziestka lewicowców. Zanosilo się na masakrę.

Artur akoczył na krzesło i krzyczał:

- Hańba! Hańba! Nie bić! Pachołki reakcji!

Przewodniczący zebrania, znany syjonista, Leon Hubel zagroził, że wezwie policję.

Lewicowcy na znak protestu opuścili salę. Artur się do nich przyłączył.

- Wiedziałem, że jesteś swój chłop - powiedział do Artura

Kuba Gold.

- Chcę ci coś powiedzieć - zaczął Artur - daj mi kontakt do partii.

## II

Po upływie kilku miesięcy Artur został przyjęty do komórki, której sekretarzem był Gold, do chwili, kiedy został usunięty z partii jako trockista. Gold wystąpił z krytyką linii partyjnej z powodu aresztowania dwóch wybitnych polskich komunistów, Sochackiego i Żarskiego, po ich przybyciu do ZSRR. Nie wierzył, żeby byli agentami Piłsudskiego. To było fatalne, że Gold odważył się atakować nie tylko kierownictwo KPP i KPZU, ale samego Stalina. Wszyscy skupieni w małej izdebce bezrobotnego budowlanego, zaniemówili, a kiedy się ocknęli z oszupienia jeden po drugim dawał wyrazy oburzenia oraz zapewniali o wierności dla partii i odrazie dla zdrady. Jeden nazwał Golda trockistowskim prowokatorem. Ktoś przypomniał mu jego syjonistyczne pochodzenie. Każdy zobowiązywał się bojkotować renegata i unikać go jak zarazy. Zmiana ta zaszała w ciągu jednego posiedzenia komórki partyjnej w stosunku do czło-

wieka, który jeszcze wczoraj był wzorem komunisty i towarzysza, nieustraszonego bojownika idei. Gold nie bał się policji ani bicia. Jak to możliwe? Tak być musi. "Uspokój się, uspokój się" - powtarzał sobie Artur w duchu. Groźny jest wróg zewnętrzny, ale groźniejszy odszczerpieniec. Miedzy przyszła kolej na niego, usiłował opanować palpatację serca. Milczał. Wszyscy wiedzieli, kim dla niego był Gold, i ukłuli oczy w twarz Artura. Jeśli się w porę nie odezwie, spadnie nań lawina obelg. Podzieli los Golda. Otczy go pogarda i nienawiść, stanie się renegatem wypłutym przez kolektyw.

- Oskarżenie jest skuszone i głosuję za wykluczeniem Golda.  
Artur nie poznał własnego głosu.

X

Artura przeniesiono na inną robotę, do frontu kulturalnego. Wygłaszał okolicznościowe przemówienia na 1 Maja, Rewolucję Październikową, rocznicę śmierci trzech "L", Lenina, Róży Luksemburg, Karola Liebknechta. Pisywał do Agitpropu referaty o kwestii narodowościowej, kolektywizacji, uprzemysłowieniu ZSRR, raz o prawicowym, raz o lewicowym odchyleniu, o roli partii jako czołowym oddziale klasy robotniczej, o ZSRR jako ojczyźnie międzynarodowego proletariatu. Prócz tego chodził na masówki i choć ze względu na swoją robotę nie musiał, pomagał chłopcom zawieszać transparenty na drutach telegraficznych. Aż został aresztowany podczas rozdawania ulotek pod koszarami.

Oskarżono go o robotę wywrotową wśród wojska i otrzymał czteroletni wyrok. Wyjątkowo łagodny jak na paragraf.

X

" w więzieniu przeżywał stan prawie stałej euforii. Prowadził wśród towarzyszy akcję uświadamiającą. Często myślał o Zbyszku. Doszły go wieści, że został wybrany starostą komuny we Wronkach. I kiedy Artur dowiedział się, że mają go z Brygidek tam przenieść, był bliski szczęścia. Niestety, Zbyszka już nie zastał, wywieziono go do innego więzienia. Nie wiadomo jakiego. C jeszcze ostrzejszym reżymie. Stał się postacią legendarną. Nazywano go "hrabią Zbyszek". Ani bicie, ani karczer nie mogły go złamać. Przeprowadzał indywidualną głodówkę wbrew sprzeciwowi komuny więziennej. Ale Artur też się sprawczył. Dzielnie zniósł masakrę. Dawał przykład bezkompromisowości i odwagi, jak na przykład podczas akcji przeciw stawaniu do modlitwy. A gdy raz po całonocnym biciu na odwachu prowadzono ich nad ranem do ściany śmierci, było to po rewolcie robotniczej we Lwowie, Artur wziął towarzyszy pod rękę i zaintonował

"Międzynarodówkę". W ostatniej chwili strażnicy skręcili w bok do karceru. Był z siebie zadowolony. Będzie mógł towarzyszyć smiało spojrzeć w oczy. Nic mu nie mogą zarzucić... Nic. Ale kiedy wyszedł na wolność, nie mógł złapać kontaktu. Zrobiła się wokół niego próżnia. Czyżby go unikano? Dlaczego? W Procu, gdzie otrzymał posadę nauczyciela w gimnazjum żydowskim, utrzymywał łączność z miejscową organizacją. Znowu pisywał okolicznościowe referaty. Po roku dyrektor Wiener wymówił mu pracę z powodu agitacji komunistycznej wśród młodzieży. Kiedy wrócił do Lwowa, partia została już rozwiązana jako gniazdo zdrady, trockizmu, szpiegostwa i prowokacji. To był okrutny cios. Jak to? Czy to możliwe? Czyżby Gold miał rację? To niemożliwe. Tak w człowieku pokutują resztki drobno-mieszcząńskiej świadomości. Mimo że partia została rozwiązana, polcja poszukiwała go, ażeby osadzić w Berezie Kartuskiej. Ukrywał się u Racheli. Spisał u niej. Przypomniała mu, jak oboje bawili się na wsi w chowanym. Raz ją chwycił za pierś. Już wtedy! Artur sobie tego nie przypominał, ale Rachelę dobrze to pamiętał. Rachelę przeniosła się do Lwowa na studia, wyszła za męża za Leona Hubla i zdążyła się już z nim rozjeżdżić. Leona Hubla znał z wystąpi syjonistycznych w Żydowskim Domu Akademickim. Mimo rozvodu często odwiedzał Rachelę. Pod nogami Artura paliła się ziemia. Postanowił wyjechać do Warszawy. Miał adres starszej siostry Racheli Szewy, która przeniosła się z mężem do stolicy. Jej mężem był... Gold.

x

Odprowadzili go na dworzec Rachelę i Leon Hubel.  
 - Pozdrów ode mnie Szewę i Kubę - Rachelę podniosła twarz do pożełgalnego pocałunku. Objęła Artura za szyję i długo ścisnęła.

Zaledwie stanął na stopniu wagonu, ktoś wziął go za łokieć. Artur zdrewniał. Ale nie był to szpicel. Mały Joachimek, jak go nazywano, patrzył na niego żółtymi oczkami. Siedzieli razem w jednej celi w Brygidkach i łączyło ich bardzo przykre wspomnienie. Sekretarz komuny towarzyszył Saszkowiak zwołał specjalne zebranie komuny.

- Masz dziewczynę - uśmiechnął się Joachimek - widziałem.
- Mam.
- Dawnośmy się nie widzieli...
- Parę ładnych lat.
- Mówiono mi, że niedawno wyszedłeś z więzienia.
- Dostyc dawno. Ponad rok.
- Już przed rozwiązaniem partii.
- Tak.
- Dlaczego ciebie nigdzie nie było widać?
- Byłem w Procu.
- Dużo się zmieniło. Ludzie się zmienili...
- Na pewno.
- A ty?
- Zależy - Artur unikał wzroku Joachimka.
- Ieraz, kiedy już nie ma partii, możemy być szczerzy.
- Ja zawsze byłem szczerzy.

- Jesteś takim komunistą, jakim byłeś?
  - Tak.
  - Po tym wszystkim?
  - Nie wiem, o co ci idzie.
  - Uwierzyłeś, że byłeś agentem i szpiegiem?
  - Ja?
  - O to została oskarżona cała partia. Ty miałbyś być wyjątkiem?
  - Zostawmy to...
  - Nie wykręcaj się.
  - Już powiedziałem, że jestem komunistą, bez względu na to, czy partia jest, czy jej nie ma.
  - A mnie usunięto z partii za trockizm.
  - Jak widać skuszenie.
  - A co powiesz o procesach moakiewskich?
  - Widzę, że ci to sprawia radość. Dla mnie jest to sprawa bolesna.
  - Ale powiedz, czy wierzysz, że Bucharin i Zinowiew byli zdrajcami?
  - Przyznali się.
  - Może być, że to ich największa wina - lisa twarzyczka Joachimka skrzywiła się w uśmiechu.
- Jego zdrada zaczęła się tam w celi - pomyślał Artur - donosicie! Nigdy, nigdy ja takim nie będę.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Obudził go huk. Zeskoczył z ceratowej kanapy, która pojechała na środek wąskiego przechodniego pokoiku. Rozsunął gęstą zasłonę z koca i pchnął okno zaklejone paskami papieru.

Zaczęła się druga wojna w życiu Artura.

Pod bladym niebem krążyły samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Kiedy przechylały się, spod ogona wysypywały się bomby jak duże jaja. Nie przypuszczał, że to takie proste. Widział to po raz pierwszy w życiu.

Dozorca na podwórzu krzyczał: "Do schronu, do piwnicy!" Zorientował się szybciej niż syreny, że to prawdziwa wojna. Syreny zawyły z opóźnieniem. Kilku zabitych leżało już pod ruinami domów.

W oknach pokazały się zaspiane twarze, zdziwione bardziej, niż przerażone. Nawet teraz wojna wydawała się niepożliwa, może bardziej niż przed jej wybuchem.

Ale nikt nie był tak przerażony jak Gold, mąż Szewy, kuzynki Artura. W piżamie i narzuconym na ramiona prochowcu przebiegł przez przechodni pokój Artura. Artur podążył za nim. Przed domem zebrały się grupki mieszkańców. Stali z głowami zadartymi do góry. Samoloty krążyły bezkarnie, jak u siebie. Jak to możliwe? Właśnie, właśnie, kiwał Gold swoją kudłatą głową. Nasze niebo, jeszcze wczoraj bezpieczne, okazało się bezbronne. Po niebie przyjdzie kolej na ziemię. Gdzie są nasze samoloty? Nasze "Łosie"? Nasi szawni, znakomici piloci, najlepsi na świecie?

- Wojna przegrana - blade wargi Golda zadrażały.

- Jeszcze się nie zaczęła, a już przegrana! - złościł się Artur.

Z Goldem dochodziło do kłótni. Już pierwszego dnia po przyjeździe ostro się posprzeczcali. Gdy Artur dla uspokojenia Szewy powiedział, że może wojny nie będzie, Gold roześmiał się. Nie po to Rokitów zawierał z Ribbentropem pakt, żeby był pokój. Wprost przeciwnie.

- Nie zostaną tutaj ani chwili więcej! Jak ty możesz tak mówić! - krzyczał Artur. I za każdym razem zabierał się do pakowania rzeczy, i za każdym razem udawało się Szewie go zatrzymać.



Policjant kazał zejść do schronu. Drogę wskazywała wapnem wybielona strzażka. Ze stropu piwnicy zwisała naga żarówka. Gasła i zapalała się przy każdym wstrząsie. Ściany i sufit zakodysały się, jakby niedaleko uderzył piorun. Przewróciła się ławka razem z ludźmi. Kobiety padły na kolana i cicho śpiewały: "Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko!" Mężczyźni stali spokojnie, samą obecnością dodawali otuchy. Matki trzymały w ramionach dzieci, najbardziej przerażone. Kobieta z niemowlęciem rzuciła się z krzykiem ku wyjściu:

- Wypuście mnie stąd! Żywcem nas pogrzebią!

Policjant chwycił ją z tyłu za rękę. Kobieta wyrwała się i szamotała.

- Niech idzie! - odezwał się ktoś.

- Niech idzie! - przyłączyły się głosy.

- Przymusu nie ma.

Kobieta opuściła niemowlę na ziemię i siedła przy nim. Rozpłakała się.

- Przepraszam - szlochała.

Nastąpiła cisza. Wsłuchiwano się w nią. To już nie była przerwa między jednym wybuchem a drugim. Zaczęły się rozmowy, szeptem, a potem głośno. Zawyla syrena. Alarm odwołany i wszyscy rzucili się ku drzwiom piwnicy. Zrobił się tłok. Policjant nawoływał do porządku. Ludzie posłusznie ustawiali się w kolejkę.

Bomba trafiła w sąsiedni dom. Pod nogami trzeszczało szkło. W powietrzu wisiała harmonia schodów. Kafilowy piec trzymał się jakby przyklejony do różowej ściany. W klatkach pokoiów z odciętą ścianą przednią widać było wnętrza z meblami, jak na scenie z podniesioną kurtyną. Na podwórzu leżał człowiek z głową przykrytą kocem. Do karetki pogotowia wnoszono rannego. Żywi i cali wyciągali rzeczy z płonącego piętra. Dzwoniąc nadjechał wóz strażacki.

Głośniki uliczne i aparaty radiowe wystawione na balkony huczały pełnym głosem o zwycięstwie. Tłum zaintonował "Boże coś Polskę...". "Nasze lotnictwo straciło na przedpolach stolicy sześć nieprzyjacielskich samolotów. Będziemy zadawali wrogowi coraz silniejsze ciosy". Nieznajomi ścisnęli się, kobiety wycierały chusteczkami oczy. "Sto tysięcy warszawiaków ruszyło wczoraj z łopatami kopać rowy przeciwlotnicze. Dziś liczba ta zostanie podwojona". Radio grało "Warszawiankę". Nad ulicą unosił się śpiew. Głosy kobiet i mężczyzn połączyły się z głosami radia...

"...kto umiera, wolnym już..."

## X

W drodze do Gólda, który pracował w księgarni, zaskoczył go nalot. Maszyny wynurzyły się nagle z jasnego nieba. Leciały w stronę mostu. Bomby spadały do rzeki, uderzały w domy. Nie umieli celować. Ostrzeliwali wyskakujących z płomieni. Z ciągu jednego ranka pokój zmienił się w nieustającą wójnę.

Jeszcze przyszedł list od Racheli, ostatni znak pokójki. Pisała do Szewy, że jest sama i w razie wybuchu wojny przyjedzie do niej do Warszawy. Osobna, luźna kartka była dla Artura.

X

Naloty ustawały, kiedy zapadał wieczór.

Miasto tonęło w ciemnościach. Nie zapalano latarni, neonów, światła w witrynach. Okna zasłonięto grubymi kocami. Fasady domów były czarne.

Tak wyglądało prawdziwe zaciemnienie, a nie słam świeczny. Ludzie wychodzili z domów, żeby je zobaczyć. Byli ciekawi. Ale czy to pomoże? Miasto zamknęło oczy, aby się stać niewidocznym?

Mężczyźni w jasnych koszulach bez rękawów, kobiety w zwiewnych sukienkach wypełnili ulice.

Skończył się seans i z kina wyszły tłumy. W Teatrze Letnim trwał jeszcze spektakl. Odybła się premiera "Serce w rozterce, czyli ślusarz-widmo". Spacerujący po Ogrodzie Saskim słyszeli śmiechy wydobywające się z drewnianego budynku.

Pod nogami szeleściły opadłe liście kasztanów. W alei było jeszcze ciemniej. Przy zapalaniu papierosa płonęły zapalki ukrywane w dłoniach. Kobiety wdrażały się, kiedy nad ławką padały kasztany i podskakiwały na asfalcie.

X

Artur skręcił w stronę kawiarni.

Od podmuchu uderzyła go w twarz czerwona zasłona, oddzielająca salę od wahadłowych drzwi.

Oślepił go blask żyrandoli, kryształowych sopli i szlifu luster na kremowych ścianach. Pełno było w kinie na "Białej kawalkadzie", pełno było w teatrze, pełno było w kawiarni. Dom przestał być schronieniem. Wychodząco na ulice, szukano innych, jakby można było podzielić swój los między wielu.

Przy wejściu zatrzymał się chwilę ze zmrużonymi oczami. Kelner kiwnął czarną głową i serwetą wskazał zwalniający się stolik.

Para młodych ludzi wstawała powoli, oboje smutni, ona z zaczerwienionymi oczami, puszką pudrująca nos i czoło, on błady jak z płoszenia, z cieniem uśmiechu na wargach.

Smutni byli też ci, co tańczyli na parkiecie w takt melodii "Lambeth Walk". Kobiety opierały głowę na ramieniu mężczyzny. Może mieli już w kieszeni czerwony kartę albo, jeżeli nie, mieli dostać nazajutrz.

Artur cedił przez długą słomkę chłodną oranżadę. Rozglądał się, choć nie spodziewał się znaleźć żadnej znajomej twarzy. Spojrzak na zegarek, jakby isiniał jeszcze rozkład jazdy. Ostatnie dalekobieżne pociągi przybyły z dwudziestogodzinnym opóźnieniem. Jeśli udało się uniknąć wyścigu z samolotami, kończącego się najczęściej rozbięciem lokomotywy i wagonów. Ludzie wyskakowali w pole, ukrywali się w kartofliskach. Wczoraj wróciły resztki młodzieży z wakacji nad morzem i w górach. Rodzice czekali na dworcu

dzień i noc. Matki płakały, młodzi opowiadali, że widzieli Niemców. Ucałali dlatego, że jechali nocą.

Pianista przestał grać, pary taneczne wróciły do swych stolików i na estradę wyszedł aktor przebrany za Chaplina, że złowrogim loczkiem na czołe i krótko przystrzyżonym wąsem. Na melodię "Titina, ach Titina..." zaśpiewał piosenkę "Ten wąsik, ach ten wąsik, ten wzrok, ten lok, ten dąsik..."

Publiczność kłaskała i podchwyciła refren.

Artur nie kłaskał, ani nie śpiewał, bo nie miał z kim.

Para przy sąsiednim stole wymieniła ze sobą spojrzenia. Szepnęły coś do siebie.

Kiedy Artur wychodził, odprowadzili go wzrokiem.

## X

W hali Dworca Głównego był tłok. Ludzie biwakowali na stopniach na podjeździe. Grupkami stali na pustej pętli tramwajowej. Niektórzy wracali do miasta. Przyjechali popatrzeć, czy są znajomi, czy są ludzie, którzy wiedzą, co należy robić.

Z hali wydobywały się kłęby tytoniowego dymu w przyćmionym świetle żarówek pomalowanych niebieską farbą. Okna również były niebieskie. Na posadzce drzemali żołnierze. Nie wszyscy byli uzbrojeni w karabiny, nie wszyscy byli w pełnych mundurach. Mieli na sobie żołnierskie czapki, własne, najbardziej znoszone marynarki i cywilne buty. Ale już siedł od nich koszarowy zaduch ciał bez twarzy.

Cywilie siedzieli na ławkach, na walizkach, plecakach i tłumokach. Opierali łokieć o kolano i ćmili papierosy.

Od dwóch dni te same twarze, brudne, zmięte od bezsenności. Dzieciom układano posiłanie z keców i jaśków. Czekali na odjazd. Może uciekali na wieś, gdzie nie bombardują i łatwiej o żywność.

Okienka kas były zamknięte, ale baby z pustymi bankami od mleka i workami na plecach stały w kolejce między metalowymi barierkami.

Gwizd lokomotywy poderwał żołnierzy i cywilnych. Zarzucano plecaki na ramiona, porywano walizy, chwytało dzieci na ręce, unoszono je nad tłokiem, który rósł im bliżej wyjścia.

Dawano jednak pierwszeństwo żołnierzom. Ale baby zatarasowały drzwi pustymi bankami. Otwarto drugie drzwi. A potem jeszcze trzecie i czwarte.

Wszyscy wydostali się na peron. Żaden pociąg nie odchodził. Lokomotywa gwizdając manewrowała jadąc z jednego toru na drugi. Jakby w poszukiwaniu zagubionych wagonów. Larwe zestawy ciągnęły się sznurami w ciemność daleko za miastem.

Żołnierz w rogatywce i płaszczu wyglądał na szeregowca, ale był to oficer. Porucznik. Zebrał swój oddział i kazał mu wsiąść do pustych wagonów. Przywołał konduktora, który pociągnął latarką światła kół 1, jak klawisz kraty, obstukiwał je młotkiem. Oficer pogadał z konduktorem i poszedł w stronę Dyrekcji. A gdy wrócił, kazał żołnierzom wsiąść.

x

Artur ocknął się dygocząc z chłodu. Wstał z ławki. Na peronie było szaro. Nie było sensu dłużej czekać.

x

Przed dworzec zajechały pierwsze tramwaje.

Mgła tłumika dzwonienie. Majaczyły kontury kamienic, majaczyła kolejka przed sklepem. Nieba nie było widać, tylko na wschodzie rozlewało się coraz szerszej bure światło. Nagle przedarło się słońce i mgła zaczęła pierzchać.

Kiedy tylko pokazały się bladoniebieskie dziury w niebie, za wyły syreny. Bombardowanie było silniejsze niż wczoraj. Ruch na ulicach stawał się coraz większy, ludzie uciekali nie wiadomo dokąd. Bomba mogła trafić wszędzie. Właśnie tam, gdzie uciekasz. Między jedną sekundą a drugą.

Kilka samochodów stanęło bokiem na chodniku. Koń zaprzęgnięty do platformy ciężarowej opuścił głowę. Młody człowiek z opaską "Prasa" prowadził do schronu staruszkę zagubioną na opustoszałej ulicy. Miasto wstrzymało hicie serca, wszystkie jego głosy zamarły. Śmiertelna cisza przed piorunem.

Między jednym grzmotem a drugim naskuchiwano, czy huk motorów zbliża się czy oddala. Gdy rozległa się detonacja, wciągnono głowę w ramiona.

Nalot był gwałtowny, ale krótki. Spiker radiowy odwołał alarm. Potem nastąpiła chwila ciszy. I nagle w głośnikach znów się odezwał czyjś głos:

"Wczoraj Warszawa była świadkiem niezwykłego widowiska. Naczelny rabin stolicy, imponującej postury, z patriarchalną brodą, w otoczeniu wiernych w ortodoksyjnych szatach oraz uczniów wyższej szkoły religijnej, tak zwanego jeszybotu, szedł w stronę placu Krasińskich. Wszyscy nieśli na ramionach łopaty, które te ręce dzierżył pierwszy raz w życiu. Przechodnie zatrzymywali się i przypatrywali ze zuzwieniem temu niezwykłemu pochodowi. Cała ulica stanęła i ktoś wznosił okrzyk: "Niech żyją polscy żydzi!" Kilkadziesiąt głosów zawtórowało: "Niech żyją!" Zza rogu wyszła kolumna harcerska, też uzbrojona w łopaty. Nagle młoda, piękna dziewczyna, drużynowa, podbiegła do żydowskiego duchownego i pocałowała go w rękę. Na ten widok znów rozległy się głosy: "Niech żyją polscy żydzi!". "Niech żyją żydzi - patrioci polscy". Pochód naczelnego rabina i jego świty odprowadziły rzęsisie oklas-

W godzinę potem znowu był nalot.

Iramwaj gwałtownie zahamował. Pasażerowie zdążyli wyskoczyć, moment dzielił ich od śmierci. Szup ziemi i grudy asfaltu wyleciały w powietrze, szyby od gorącego podmuchu pękły i rozbiły się z brzękiem. Wóz przewrócił się na bok.

Uciekano na wszystkie strony. Ukrywano się po bramach i na klatkach schodowych. Ochotnik LOPP-u zażartował, że to nie deszcz i poprosił wszystkich do schronu. Starszą panią okaleczoną odłamkami szkła opatrzyła sanitariuszka. Cały schron brał w tym udział i dawał rady, poruszony widokiem krwi na czole i dłoni. Kanna uśmiechała się boleśnie.

Poć ceglana ściana stała dziewczyna podobna do Racheli. Artur chciał krzyknąć: "a jednak przyjechałaś!". Miała na sobie taką samą seledynową sukienkę bez rękawów, jaką Rachela włożyła w dniu jego wyjazdu do Warszawy. Podobni ludzie tak samo się ubierają.

Bombardowanie trwało długo. Nie otynkowana piwnica trzęska się. Ze stropu sypał się czerwony kurz na głowę i ramiona.

- W drugim dniu wojny... No... no... - niski, krępy brunet z siwym zarostem kręcił głową.

Nikt się nie odezwał.

Wskuchiwano się w przerwy między jednym wybuchem a drugim. Każda cisza budziła nadzieję.

- Żeby już w drugim dniu nie było obrony - odezwał się znów krępy mężczyzna o siwym zarostcie.

- O co panu idzie? - spytał starszy pan z krótko ostrzyżoną brodką i w cwikierze. - Czego właściwie pan chce? Czy pan nie wie że nasze samoloty zajęte bombardowaniem Berlina? Nie czytał pan wczorajszej gazety?

- Dałby Bóg, żeby to była prawda - westchnął brunet.

- Zawsze ci sami! - starszy pan z krótko ostrzyżoną brodką potoczył wzrokiem po obecnych w schronie, jakby chciał ich wziąć na świadków w razie potrzeby.

- Oni zawsze tacy sami, ma pan świętą rację. Oni zawsze byli naszymi wrogami. Ja jestem lwowianką i pamiętam, że w osiemnastym roku oni byli za Rusinami, Karainami, jak ich nazywaliśmy, potem byli z bolszewikami. A teraz komuniści zbratali się z Niemcami. A wiadomo, kto to są komuniści - kobieta w średnim wieku zamilkła, ale oczy jej nabiegły krwią od nienawiści.

- Przecie ja nie takiego nie powiedziałam - bronił się brunet. - Zapewniłam panią, że tak samo jak wszyscy pragnę...

- Jak to pan nic nie powiedział?! - przerwała mu lwowianka.

- Wszyscy słyszeliśmy. Ja osobiście uważam, że wyrażał się pan niewłaściwie o naszym wojsku. Gotowa jestem zaświadczyć.

- Proszę pani, pani źle komentuje moje słowa. To jest jakies fatalne nieporozumienie - brunet wycierał chusteczką pot z czoła.

- Co może pani zaświadczyć? - Artur poczuł, jak mu serce podskoczyło do gardła. - Ten pan nic złego nie powiedział. To ja mogę zaświadczyć.

- Widzicie jak jeden obstaje za drugim. Oni trzymają się razem, jeden broni drugiego, nie tak jak my, niestety, Polacy - powie-

dziąka lwowianka i obejrzała się, czy nie ma gdzie usiąść.  
Jeszcze inni chcieli coś powiedzieć przeciw brunetowi, ale odezwała się syrena odwołująca alarm.

X

W bocznej uliczce po drodze do księgarni Ohrena tłum kobiet oblegał sklep spożywczy. Uderzały pięściami w zardzewiałą blachą obite drzwi.

- Należy powiesić żydowskich paskarzy!
- Ukrywają cukier! Mąkę!

Rozbita szyba rozpryska się na chodniku.

Otworzyły się blaszane drzwi i ukazała się staruszka, a za nią staruszek, trzymający wysoko arkusz papieru pakowego z napisem:

- "Mąki nie ma.
- Cukru nie ma.
- Kaszy nie ma w ogóle.
- Jabłka jak ktoś życzy, są".

Tłum zamilkł.

- Moi ludzie kochani - staruszka miała słaby, ledwo słyszalny głos. - Moi kochani - powtórzyła parę razy - możecie państwo wejść, zrobić rewizję, kontrolę, możecie szukać gdzie chcecie - chudą ręką zrobiła gest zapraszający do środka - proszę...proszę, bardzo proszę...Może ktoś znajdzie deko cukru albo mąki...proszę. Nikt nie wszedł.

- Hej, ty tam żydzie, czemu nic nie mówisz? - krzyknął ktoś z tłumu.

- Jancie - staruszka zwróciła się do męża - przecież słyszysz, grzecznie ciebie proszą, powiedz coś...Kto tu jest paskarz? Popatrzcie na niego! On paskarz? Albo ja? Niech nas Pan Bóg broni!

- Nie zagadujcie tu nas! Dobrze! Dobrze! - przepychała się do przodu tęga blondynka w kapeluszu z czerwonej słomki.

- Jak jesteście takie niewinne baranki, dlaczego zamykacie sklep?

- To pani dobrodzika nie wie, że u nas żydów jest sobota? A w sobotę nie wolno handlować, nawet w największy zysk - sklepikarka wyciągnęła przed siebie obie ręce.

- Sobota! Sobota! - blondynka machnęła grubą ręką. - Jak jest wojna, nie ma soboty.

- Do czego mam otwierać sklep? Do pustych półek?

- Chodźmy stąd - odezwała się kobieta w wiejskiej chustce.

- Pewnie - ucieszyła się żydówka. - Żeby była pani zdrowa. Idźcie do Pakulskich, może tam jeszcze coś znajdziecie. Ale tu, u biednych żydów?

- Chodźmy - powiedziała druga kobieta, sądząc po wyglądzie służąca.

- Pewnie - zrezygnowała blondyna - u nas zawsze tak. Jesteśmy za dobrzy.

- No to chodźmy - odezwały się głosy.

- Idźcie z Bogiem - sklepikarka wepchnęła męża łokciem do środka. - Przecież sami widzicie, że tutaj nic nie ma. Szkoda czasu

stać.

Ale nikt nie chciał ruszyć pierwszy, dopóki nie przyszła policja.

x

Wiadomości uciekinierów były przestarzałe. Niemieckie czołgi już dawno wkroczyły do nowych miast.

To była druga fala uchodźców.

Już nie uciekali w nocnych koszulach, nie wyskakiwali przez okno, ale wkładali dwa płaszcze, jeden na drugi, mieli plecaki, ręczne torby wypchane rzeczami i konserwami. Panie były w wiejskich chustach na głowie, futrach narzuconych na letnie suknie, w taki upał. Mężczyźni nieśli dzieci na barana. Szli gęsiego, słabsi odstawali. Wypytywali ich z jakiego są miasta. Niemcy już tak blisko! Parę godzin koleją. Gdzie są nasi? Nigdzie nie widzieli polskich okopów. Nie ma frontu. Wojsko cofa się lasami. Na drogach huczą niemieckie czołgi. Dopiero nad Wisłą zostanie wydana generalna bitwa. Na szosach stoją samochody bez benzyny. Chłopi nie wynajmują furmanek, nie przyjmują polskich pieniędzy. Żywności nie ma, nawet woda w studniach wyczerpana, wiadrem wyciąga się glinę.

Umyli się pod fontanną na skwerku. Usiedli na ławkach bosy, mieli spuchnięte nogi. Położyli się na trawie i zasnęli. Tylko dzieci nie chciały spać, pluskały się w basenie wodotrysku jak kaczkę. Później harcerze przynieśli baniak zupy. Jedna pani nalewała chochlą, druga dawała kromkę chleba. Harcerze pomagali uchodźcom zmywać mazażki i kubki. Dzieci wysadzone w przeciwnym rowie, gdzie wieczorem załatwiali się starsi.

Naloty ustawały, kiedy się ściemniało. To znaczy, że po ciemku nie umieją latać.

W nocy zaczynało się milczące chodzenie po ulicach, które straciły perspektywę. Ci, których domy jeszcze były całe, szli patrzeć na domy zburzone. Szkło trzeszczało pod nogami. Wzbijał się szary pył. Schodzili na jezdnię, na chodniku leżały zwały gruzu. Z ruin wystawały jak zebra belki i skrócone szyny trawersów. Zwęglone framugi okien jeszcze się dymią, wyrwane zostały drzwi i posadzki balkonów, ze ścian sterczały żelazne barierki. W kącie podwórza zebrano ocalone meble, ubrania, pierzyny, na których spały dzieci. Starsi czuwali, strzegli dobytku. Dozorca nie wpuszczał do środka. Wypytywaną go o szczegóły. Był rozmowny i chętnie opowiadał. Rodzina z czwartego nie zdążyła zbiec na dół, został tylko ten jamnik, który się kręci i wszystkich obwachuje. A na trzęcim stary Żyd ubrał się jak do trumny i położył się do łóżka.

x

Znów znalazł się przed Dworcem Głównym. Zgaszony zegar nad wejściem wyglądał jak czarna dziura.

Arturovi zdawało się, że usłyszał sapanie lokomotywy.

Na peronie zziębnięty tłum biegł wzdłuż pociągu tam i z powrotem. Jakby szukał punktu, o który mógłby się zaczepić. Pertrakowano z żołnierzami stojącymi u wejścia do każdego wagonu. Usiłowano siłą przedostać się do środka. Ludzie czepliwi się żelaznych poręczy przy schodach, ale spychano ich z powrotem. Dwaj młodzi mężczyźni wleźli przez okno. Po bójce i szarpaninie żołnierze ich wyrzucili. Przez okno widziano, jak wloką ich korytarzem. Podniosły się krzyki: "Hariba! Polacy biją Polaków!"

W oknie ukazał się oficer, wczorajszy porucznik.

- Co wojskowy transport! Rozumiecie? Jedźcie na zachód, rozumiecie?

- Nie szkodzi - odezwał się ktoś z tłumu.

- Nie szkodzi - podtrzymały go inne głosy.

- Byle się wydostać z tego piekła!

- Tylko parę stacji, a potem sami damy sobie radę!

- Nie ma miejsc - powiedział porucznik.

- Ścisniemy się, jakoś to będzie.

- Nie ma miejsc dla wszystkich - powiedział porucznik.

- To będzie dla niektórych - odezwała się młoda kobieta.

- Dla których? - spytał porucznik.

- Dla których? - powtórzył ktoś.

- Od was zależy. Wybierajcie między sobą. Zażądacie to sami.

- Niech pan wybiera, panie poruczniku - odezwała się młoda kobieta.

Porucznik nic nie odpowiedział.

- Ilu można wybrać? - spytała młoda kobieta.

- Dziesięć osób.

- Tylko dziesięć?

- Albo wszyscy albo nikt - zawołał starszy pan z krótko ostrzyżoną bródką i w cwikierze.

Był to starszy pan ze schronu.

- Za minutę odjeżdżamy - porucznik podniósł do oczu rękę i spojrzął na fosforyzujący cyferblat.

- Nie może pan tego zrobić, panie poruczniku, mówi do pana pułkownik w stanie spoczynku... Honor polskiego oficera - krzyczał starszy pan ze schronu... Ale musiał przerwać, gdyż spadł mu cwikier.

Oficer zaszutował, odwrócił się i cofnął od okna.

Po kilku chwilach stęp pary wydostał się ze świstem. Zastukały koła, wagony trzasnęły jeden o drugi buforami. Lokomotywa ruszyła. I od razu nabrała szybkości.

Ludzie z walizkami i tobozami patrzyli w milczeniu za odjeżdżającym pociągiem.

Ambasadora na Frascati odprowadziły okrzyki: "Vive la France!"

Zaintonowano Marsylianę. Nikt nie znał więcej niż pół zwrot-



Ki, odśpiewano hymn bez słów.

Student w brązowej, aksamitnej czapce stanął na płytkim stopniu popiersia Francesca Kullo i zawołał:

- Rodacy! Na Wierzbową!
- Na Wierzbową!
- Na Wierzbową!

Pochód ustawił się w czwórki.

- Teraz dopiero zacznie się polka! - powiedział do Artura młody człowiek w okularach.

- Tak - odezwał się drugi młody człowiek - francuskie lotnictwo jest najlepsze na świecie.

- Francja pomogła nam w dwudziestym pobić bolszewików, a teraz pomoże pobić Niemców.

- Jeszcze się Anglia odezwie.

- Jeśli idzie o bolszewików, pobiliśmy ich sami - był to robotnik w granatowym kombinezonie.

Przed sztandarami zdejmowano kapelusze. Przyłączano się do pochodu. Otwierały się okna. Wiwatowano. Kobiety powiewały chusteczkami.

- Niech żyje marszałek Rydz! - wołali przechodnie na chodnikach.

Młodzi chłopcy, prawie dzieci, biegli za kolumną usiłując dotrzymać kroku starszym.

Radio nadawało "Warszawiankę". Śpiewała cała ulica. A potem "Gdy naród do boju!.."

Pochód zatrzymał się przed pomnikiem Niemanego Żołnierza.

Palik się zniżył, na marmurowej płycie leżały świeże, białe i czerwone gladiole. Pochyliły się sztandary. Marta prezentowała broń.

- Niech żyje Wojsko Polskie! - krzyknął robotnik w granatowym kombinezonie.

- Niech żyje marszałek Rydz! - wołał tłum na Placu Piłsudskiego.

- Niech żyje zwycięstwo!

- Niech żyje!

Na Wierzbowej wiwatowano na cześć ministra Becka.

Wyszedł na balkon. Był blady i przemówił krótko. Francja nigdy Polski nie zawiedzie. Dzisiejszy dzień będzie radosną datą, ale Polskę czekają ciężkie chwile. Wojna przynosi zniszczenie i nieszczęścia. Ale ofiary nie pójdą na marne...

Pochód rozwiązał się i zjawił się chłopiec w niebieskiej koszulce z trzema złotymi strzałami na rękawie. Niósł plakat z napisem: "ZGŁASZAJCIE SIĘ DO BATALIONÓW OCHRONNICZYCH OBRONY SIŁOICY".

Punkt werbunkowy był w redakcji "Robotnika" na Wareckiej.

- Na Warecką!

- Kto Polak, na Warecką!

Przed redakcją "Robotnika" trzymali straż dwaj chłopcy w niebieskich koszulkach z trzema złotymi strzałami na rękawie.

Żłupy ochotników napełniły dziedziniec i cisnęły się na schodach.

Wyniesiono długi stół z przytwierdzonym kartonem. Wypisano na nim litery od P do Ż.

Dwaj cywile zapełniali rubryki personaliami. Oficer przysku-  
chiwał się. Odezwał się, gdy przyszła kolej na Artura Salza. Przej-  
rzał dowód osobisty i spytał, dlaczego nie jest meldowany w War-  
szawie i jaki jest jego stosunek do służby wojskowej. Na końcu  
zagađnął:

- Czy należał pan do jakiejś partii?
- Nie - odparł Artur.
- Wiem, że komuniści mają instrukcję nie przyznawać się do  
przynależności partyjnej, ale teraz to nie śledztwo.
- Artur milczał.
- Pytam, czy jest pan z przekonania komunistą?
- Artur zawahał się.
- No...no... - zachęcał oficer.
- Powiedziałem, że nie należę do żadnej partii.
- To mi wystarczy. Przykro mi bardzo. Ludziom o komunistycz-  
nych przekonaniach nie możemy dawać broni do ręki.
- Nie rozumiem, dlaczego...
- Bo zawsze byli zdrajcami, a teraz po pakcie bolszewików z  
Hitlerem... Proszę - ofic. podał Arturowi dowód osobisty.
- Niech pan go schowa.

x

Kuba Gold siedział na zapleczu księgarni pochylony nad li-  
czydłem i przesuwając z trzaskiem drewniane gałki.

Pod zielonym porcelanowym talerzem błykała żarówka. Przez za-  
kratowane okno widać było studnię podwórka, ciemną nawet w najbar-  
dziej słoneczne dni.

- Gdzie spałeś? - Gold nie podniósł głowy znad książki.
- Byłem na dworcu.
- Całą noc?
- Tak.
- Rachela chyba już nie przyjedzie.
- I ja tak myślę.
- Szewa była o ciebie niespokojna. Byłeś w domu?
- Poszedłem się zgłosić jako ochotnik, ale mnie nie przyjęli.
- No pewnie. Szuszenie.
- Ktoś się zgłosił? - spytał Herman zajęty w sklepie otrze-  
pywaniem książek. - Trzeba być meszyge.
- Co ci powiedzieli? - spytał Gold.
- Że komunistów nie mogą przyjmować.
- Szuszenie.
- Czy ja mam na czole wypisane, że jestem komunistą?
- Masz napisane coś innego.
- Iy też tak uważasz?
- Ja nie. Ale oni tak uważają. Zresztą mają chyba rację: żyd  
to komunist.
- Niestety nie mają racji. Było nas mniej, niż się to wydawa-

- Ale wszędzie było was pełno.- To krzyknął Herman ze sklepu - byle tylko robić zamieszanie.

- Polaków było jeszcze mniej - odezwał się Gold.- We władzach byli sami Żydzi.

- Przesada. Między tak dobrze nie było. Przytłaczająca większość żydowska to czarna reakcja. Hitlerowcy opanowali masy niemieckie, a syjoniści opanowali masy żydowskie. Do partii szła część bezrobotnej inteligencji. Nikt nas tak nie prześladował jak żydowscy nacjonaliści, skrajni faszyci.

- To, co pan mówi, jest śmieszne - powiedział Herman.

- To wina samych komunistów. W bóżnicy w Sądny dzień puszczali gołębie z haskami, że religia to opium i tak dalej. Przecież, żeby coś takiego zrobić, trzeba upaść na głowę. Tu modlą się ludzie w największe święto, a tu taka heca. Nic, tylko prac takiego po mordzie.

Gold roześmiał się:

- tego gołębia można komunistom jeszcze darować. Robili gorsze rzeczy. Ty jesteś jeszcze wciąż przekonany komunistą?

Gold zwrócił się do Artura.

- Słabi odpadają w trudnych momentach. Na zakrętach historycznych.

- Nie przemawiają do ciebie żadne argumenty. Masz bielmo nie na oczach, ale na mózgu.

- Wróg nie może mieć argumentów.

- Jeszcze się przekonasz na własnej skórze, skoro zbrodnie Stalina cię nie przekonały.

- Nie mogę tego słuchać! Nie chcę tego słuchać! I to mówisz ty! Czy ty wiesz, kim dla mnie byłeś? Otworzyłeś przede mną perspektywę. Nadałeś memu światu sens.

- Mówisz jak stare, egzaltowane dziecko. To wszystko okazało się kłamstwem. Wierysz, że Bucharin, Radek, Zinowiew byli szpiegami imperializmu i chcieli przywrócić w Rosji kapitalizm?

- Wierzę.

- Okłamujesz sam siebie.

- Nie masz prawa tak mówić.

- Ani przez sekundę nie miałeś wątpliwości?

- Nie! Nie!

- Gdzieś tam głęboko, głęboko? - Gold uśmiechnął się.

Artur nio nie odpowiedział, potem wybuchnął:

- Dajmy temu spokój!

- Dziel jakby mniej latają - wtrącił Herman.

Artur usiadł i opuścił głowę.

- Nie martw się - pocieszał go Gold - znajdzie się dla ciebie też okazja, żeby zginąć dla Polski, dla Polskiej Republiki Rad.

- Co znaczy życie jednostki? Nie można żyć w ciągłym strachu o życie.

- Mnie zabijają hitlerowcy - Gold trzasnął drewnianymi gałkami - jako Żyda, a stalinowcy - Gold trzasnął gałkami drugi raz - jako trockistę. Czy się znajdzie po jednej czy po drugiej stronie granicy. Nie wiadomo, gdzie będzie ta granica. Hitler i Stalin już się podzielili Polską. Nie wiem tylko, gdzie przebiega linia.

- To kłamstwo! - krzyknął Artur.

- Pamiętasz sprawę Sochackiego i Żarskiego?

- No i cóż? To byli zdrajcy.

- Ty w to uwierzyłeś czy nie uwierzyłeś, nie wiem. Ale ja wtedy przestałem ślepo wierzyć. I głośno powiedziałem, że oni nie mogli być prowokatorami, i zostałem wyrzucony z partii. Dzięki Bogu.

- Partia ma zawsze rację.

- Sochackiego i Żarskiego nie znasz, ale Katana Schafnera

znałeś od dziecka.

- Ludzie się zmieniają.

- Tak samo i ja mógłbym być prowokiem?

Artur nic nie odpowiedział.

- To jest właśnie straszne! Więc dlaczego wierzysz sobie samemu? Przecież też mógłbyś zostać prowokiem. Nie wiem, czy ciebie nie podejrzewano. Gdy wyszedłeś z więzienia, nie mogłeś złapać kontaktu. Bo dawni towarzysze unikali cię. Ale na szczęście partia została rozwiązana i nie zdążyli cię z niej wyrzucić.

- Skąd wiesz, że nie mogłem złapać kontaktu?

- Od Racheli.

Na zapleczce wszedł Herman:

- Jest koniec świata, a oni czym się zajmują? Kogo to dzisiaj obchodzi? Stalin? Trocki? Trocki byłby lepszy? Niech jeden pokłnie drugiego i niech się nim udławi.

x

Brzęknęły szklane drzwi.

Zjawił się szef. Pan Ohren w odprasowanym garniturze, białej koszuli w szerokie szare paski i szarogranatowym krawacie. Zaraz po nim przyszedł grafik Gienek, gruby i malarzki.

- Wracam z "Roju" - pan Gienek zbliżył się do lady - niech się pan pakuje, panie Ohren, jest okazja.

Pan Ohren wyjął pachnącą chusteczkę i przetarł okulary:

- Okazja?

- Był telefon do wydawnictwa - pan Gienek wspiął się na palcach (Artur przypomniał sobie małego Joachinka) i przez ladę starał się szepnąć Ohrenowi na ucho - od pani ministrowej Beckowej do pana W. Dziś albo jutro, tego nie wiem dokładnie, ma odejść pociąg. Dygnitarze opuszczają masowo stolicę. Pan mógłby skorzystać. Wystarczy pański telefonik do pana W.

- Dlaczego pan nie korzysta? - szef wysunął wystającą szczękę dołą w uśmiechu. Zwykle przy tym kłóysał się na nogach uginając kolana.

- Mam starych rodziców i żonę. Zawsze to cztery cełby.

- Panie Gold, może pan pozwoli - poprosił szef.

Gold zerwał się i wybiegł do sklepu.

- Jak pan uważa, panie Gold?

- Skoro nadarza się okazja...

- I tak wszystko zostawić?

Gold wzruszył ramionami.

- Da pan sobie sam radę?

- Postaram się.

Gdzie Maniek?

-Zaraz wróci. Było parę przesyłek z zagranicy. Pewno już ostatnie.

-A może by się pan wybrał ze mną?

- Mam żonę i dziecko.

- No to có? Dla nich też znajdzie się miejsce.

- Ja już zostanę tutaj.

- Tak... - pan Ohren zakłóysał głową. Jakby wszystko rozu-

miał.

- Mam pomysł - Gold błysnął niebieskimi oczami.
- Słucham pana, panie Gold, ma pan żywną głowę.
- Może mój przyjaciel Salz. Artur, bądź taki dobry.

Artur wyszedł z zaplecza.

- A to pan! - ucieszył się pan Ohren. - Na ja, zgadza się.

pan?

Artur milczał.

- Jeśli się pan zgadza - szef sięgnął po słuchawkę, dmuchnął w nią kilka razy. Telefon nie działał.

Pan Ohren położył słuchawkę.

- Zaraz wracam - powiedział i wyszedł.

x

Krótki kadłub pociągu, liczący zaledwie kilka wagonów, stał w czystym polu, daleko od Dworca Głównego. Jak przywidzenie w blasku słonecznego dnia, wśród idealnej ciszy. Tu nie mogło być natarcia tłumów.

Ale w przedziałach i na korytarzach był ścisk.

Pan Ohren i Artur wpełchnęli się na bufory między pierwszą a drugą klasą, które gdy wybuchła wojna, przestały istnieć.

Maniek podał obie walizy upchane pod sam sufit, przejścia tarasowały torby, tłumoki, skrzynki i pudła.

Pierwszą klasę o pluszowych kanapkach zajęli elegancyj panowie i panie. Panie w szarych spódniczkach, jasnych bluzkach i pantoflach na niskim obcasie, panowie w pumphach, wełnianych podkolanówkach i sportowych marynarkach. Był o też paru oficerów w mundurach.

Pociąg ruszył.

Z początku rozmawiano szeptem, widać wszyscy się znali, pochylali się ku sobie, ostrożnie się uśmiechali. Potem robiło się coraz różniej, częstowano się czekoladą, wyciągnięto termosy, rozbrzmiewały nawet śmiechy. Jakby towarzystwo wybrało się na wycieczkę. Panie zaczęły kaprysić, prosiły, żeby otworzyć okna, potem, żeby je zamykać. To było im duszno, to znów obawiały się przeciągu. Panowie przepaszali, gasili papierosy, albo wychodzili na korytarz. Dzieci hałasowały, biegały z jednego przedziału do drugiego. Wystawiały przed ubikacją z ciekawości.

- Wolno jedziemy - powiedział pan Ohren. - Daleko nie zajdziemy. Czy ja dobrze zrobiłem, jak pan myśli? Tak wszystko zostawić... Studiowałem w Berlinie.

Przy otwartym oknie rozmawiali dwaj panowie. Jeden w wojskowej bluzie bez dystynkcji, drugi w tweedowej marynarce sportowej z lotniczą odznaką w klapie. Starali się mówić cicho, ale wiatr przynosił ich słowa.

- Leciałem swoją własną sportową awionetką - opowiadał pan w tweedowej marynarce - z tajną misją. Siadam na lotnisku w Lublinie. Wszystko rozbite, zbombardowane jak Okęcie. "Eosie" spalone. Miałem przewieźć pilotów na zamaskowane lotnisko. A tu mnie biorą za szpiega. Pokazuję dokumenty. Mówią, że fałszywe. No myślę sobie, rozstrzelają, jak amen w pacierzu. Myśli już żegnam się z ży-

ciem. I wściekłość mnie bierze, tak marnie skończyć! Proszę, żeby się połączyli z Warszawą. Ale łączność telefoniczna przerwana. Na szczęście...

Pociąg gwałtownie zahamował.

Gruchnął grzmot. Pękła szyba, wgnieciona prądem gorącego powietrza.

Rzucono się ku wyjściu.

Ktoś usiłował opanować panikę:

- Ustawiać się! Naprzód kobiety i dzieci, potem mężczyźni.

Ci, którzy stali na korytarzu, wyskoczyli pierwsi.

Luźnie wysypali się z wagonów i pędzili w pole, przed siebie, mężczyźni z dziećmi na rękach, kobiety z ręcznymi torbami, chwycywszy w ostatniej chwili. Gonik ich huk, świst powietrza, terkotanie karabinu maszynowego.

Wagon przy lokomotywie palił się. Oknami buchał czarny dym zmieszany z ogniem. Dolatywał swąd spalonej blachy.

Artur ukrył się w kartofliśku. Położył się na wznak. Inni biegli dalej ku zaroślom. Zza lasu ukazał się drugi samolot. Krążył nad polem. Artur nie spuszczał z niego oka. Maszyna przechyliła się na prawe skrzydło. Wyrzucona bomba leci z szumem prosto na jego głowę, jak pion na nitce. Szeroko otwarte oczy. Do ostatniej chwili. Ogłuszająca detonacja. Poruszyła się ziemia.

- Mamy, szczęście - pan Ohren leżał niedaleko - celował prosto we mnie. Jeszcze milimetr i byłoby po wszystkim - wystająca dolna szczęka drżała i odsłaniała zęby w uśmiechu.

Ostry świst. Samolot spadał pionowo w dół, potem poderwał się nagle i znówu pionowo się opuścił. Mignął pilot w hełmie i okularach. Szczęrzył zęby jak trup. Samolot wzbił się, a potem znikł jak punkcik w niebie.

Jeden człowiek został zabity. Właściciel sportowej awionetki który uniknął śmierci w Lublinie jako podejrzany o szpiegostwo.

Konduktor, palaoz i kilku pasażerów odłączyło lokomotywę od spalonego wagonu. Lokomotywa podjechała do miejsca, gdzie tor był zniszczony, a skrócone szyny sterczały do góry.

Trupa poniesiono na kocu i pogrzebano w piaszczystej wydmie. Postawiono krzyż, zbity z gałęzi sosny.

W pogrzebie wzięli udział wszyscy. Odmówiono krótką modlitwę za spokój duszy. Kobiety uklęknęły na piasku i głośno odmawiały pacierz.

Odśpiewano "Rotę". "Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!..." - grzmiało głośno na pustym polu. Z dałą pod lasem stały wiejskie kobiety i chłopcy z odkrytymi głowami.

Ludzie wrócili długim sznurem do pociągu i zabrali rzeczy, ile można było unieść. Resztę wyrzucono z wagonu.

Łaszcząc walizy ruszyli ku pobliskiej wiosce.

Gospodarz z żoną stali na progu, jakby czekali na gości. Pomogli wnieść walizy. Ale furmanki dać nie chcieli.

- Prosimy do środka, a co do furmy, to jeste zobaczymy - powiedziała kobieta.

- Nic nie zobaczymy, bo furmanki nie dom - powiedział chłop. W chacie grało radio, nieduża skrzynka, pomalowana na różowo, nadawano skoczne mazurki i oberki. Czasem odczywał się głos spike-ra:

- Uwaga! Uwaga! Nadchodzi!

Do wieczora Artur z panem Ohrenem wyglądali na gościńcu jakiejś podwoły. Chata stała na uboczu, trzeba było podejść do traktu. Stąd widać było pod lasem wydłużoną ulicę wsi. Fury wracały z pola nakładowane ziemniakami. Fikt nie chciał ich podwieźć, do najbliższej stacji. Za żadne pieniądze.

Szko dwóch żołnierzy bez broni. Pytali czy nie ma gdzieś w pobliżu "oddziałów zaporowych", które wykapywały dezertorów. Cały batalion zginął, im udało się wyrwać z okrążenia.

- Gdzie są Niemcy? - spytał pan Ohren.

- Czółgi niemieckie już są na Służewcu. W Warszawie budują barykady. Gówno to pomoże.

Byli zakurzeni, czarni na twarzy, oczy mieli czerwone, podpuchnięte. Usiedli na poboczu, nad rowem, opuszcili głowy i zasnęli.

X

Okna zastonięte szczelnie kocem nie przepuszczały światła lampy naftowej. Gospodyni postawiła na stole misę dymiących kartofli, garnek zsiadłego mleka, czarny chleb i masło na talerzyku.

Pieniądzy nie przyjęli.

- Co będzie, jak Hitler wygra? - pytał gospodarz.

- Nie wygra - powiedział Artur.

- Już wygrał - zaśmiał się chłop i potrząsnął głową. - Pomagają mu koloniści i Żydzi. Dwóch Żydków powieszono w Krozach za szpiegostwo. Niemcy zrzucili ich z samolotu.

- Kto powiedział, że to byli szpiegowie? - spytał pan Ohren.

- Czy zrobili sąd? Jeśli nie było sądu, jak mogli im zarzucić, że byli szpiegami.

- Może i był sąd - powiedział gospodarz.

- W Krozach był sąd? Skąd się wziął?

- A bo ja wiem...

Artur i pan Ohren spojrzeli po sobie.

- Idziemy spać - powiedział Artur.

Pościeleono im w stodole na snopach wymłóconego żyta.

- Mogą przyjść w nocy i nas zarżnąć - zaśmiał się pan Ohren.

- Mnie też nie podoba się ten chłop, ani jego żona - przyznał Artur.

- Spijmy. Nie mamy innego wyjścia.

Przez dziury w strzesze widać było gwiazdy.

X

Obudziły ich różowe promienie wschodu słońca. Gospodarze wyjechali w pole kopać ziemniaki. Wrócili w po-  
łudnie.

Cały ranek słyohać było dudnienie armat.

- Nareszcie jakaś regularna bitwa - powiedziała pan Ohren. Dostali po szklance mleka z południowego udoju. Było ciepło i pachniało jak u wujostwa Marcusów na wsi. Co matka porabia w Palestynie? Nie miał od niej żadnej wiadomości, ani w więzie - niu, ani potem. Od Manesa też nie. On do nich również nie pisał. Rachelą nie zdążyła przyjechać do Warszawy. Jeśli uciekła to w stronę Podola, do Tarnopola, gdzie jej były mąż, Leon Hubel, miał rodzinę. Jak ona mogła za niego wyjść? Dopiero potem poznała swoją pomyłkę.

- Słyszycie? - gospodarz odwrócił twarz w stronę Warszawy. - Armaty. Niemcy już są blisko. Musicie uciekać. Jak macie uciekać, to już.

Wyszli na drogę. Żadnej fury. Na gościnu ani żywej duszy. Pusto. W jasny dzień pod świecącym słońcem.

- Jak mnie zkapia - rozmyślał głośno pan Ohren - co im powiem? Dlaczego uciekłem? Jak złodziej? Jakbym zrobił coś złego? Mój ojciec miał w Berlinie wydawnictwo ukraińskich książek, w Polsce nielegalnych. Ukraińskiej Organizacji Wojskowej. Jak pan myśli, to może coś znaczyć? Jak pan myśli, to mi pomoże? Niemcy popierają Ukraińców, a jeśli ich popierają, to i mojego ojca, a jak mojego ojca, to i mnie. A jak mnie, to może i pana. Nie wiem, co będzie z panem Goldem, to bardzo mądry człowiek. Komunistów mogą aresztować. Udawałem, że nie wiem, ale ja wiedziałem, że Gold jest komunistą.

- Gold już dawno nie jest komunistą.

Rozległ się tętent koni. Przez rżysko, podnosząc rudę kurz, cwałował oddział kawalerii, wyciągnięty w drugiej linii. Za nim toczyło się samotne działo. Dopadli lasu i znikli.

Cała wieś wyległa popatrzeć. Czekali, czy coś jeszcze się okaże. Może piechota, może artyleria. Pogałali i wrócili do chat.

Nadjechał samochód i zatrzymał się. Przez okno maszyny sterowała lufa karabinu.

- Czy nie przechodziła tędy piechota? - spytał oficer.

- Piechota nie, ale kawaleria - odparł Artur. - Przed kwadransem ukryła się w lesie.

Oficer przyjrzał się Arturowi, a potem panu Ohrenowi:

- Co panowie tutaj robicie?

- Uciekliśmy z Warszawy - powiedziała Artur.

- Proszę pokazać dokumenty.

Obaj podali dowody osobiste.

Oficer zsalutował:

- Dziękuję.

Z chaty wyszli gospodarze.

- Znaćcie ich? - zwrócił się do nich oficer.

- Nie, my ich nie znamy - gospodarz podrapał się w owłosioną pierś. - Ale myślimy, że to porządne ludzie.

Oficer wyszedł z wozu, a za nim szofer.

- Macie coś do jedzenia? - spytał szofer.

- Coś tam się znajdzie - gospodyni cały czas stała na progu



z ukrytymi pod fartuchem rękami.

Rozległ się szum silnika. Czysyści podnieśli głowy.

Samolot krzątał nad lasem. Nastąpił straszliwy huk i terkotanie karabinu maszynowego. Dornier zatoczył koło kierując się na wieś. Spadło kilka bomb i szumlane strzepy buchnęły jasnym płomieniem. Z chaty wybiegli chłopci. Uciekali skuleni pod świstem kul. Rzucili się na ziemię.

Samochód ukrył się pod rozkożystą topolą.

Nalot trwał parę chwil.

Całą wieś ogarnął ogień. Gaszono pożar czerpiąc wiadrami wodę ze studni. Kobiety lamentowały.

Pierwsza dostrzegła go dziewczynka:

- O tam, o tam! - krzyknęła pokazując palcem.

W kącie zarodził przykucał chłopak ze słuchawkami i aparatem w pudełku z tektury.

Podrwał się i rzucił do ucieczki. Ale złapano go. Wiejskie kobiety zdarły z niego koszulę i okładały kulkami. Chłopiec upadł, zasłonił twarz ramionami.

Padł strzał. Kobiety odskoczyły. Chłopak podrwał się, ale stanął, kiedy ujrzał wycelowaną w siebie lufę rewolweru. Cofnął się o krok, wciągnął głowę w ramiona i śledził rozszerzonymi oczami ruch ręki oficera. Officer zbliżył się i strzelił trzykrotnie.

- To syn pastora z niemieckiej kolonii - poznały go kobiety.

x

- Na nu, eine schöne Geschichte - powiedział pan Ohren. Coraz lepiej. Coraz lepsze widoki na przyszłość. Strzelać do chłopca w jasny dzień. A może on był niewinny. Takie rzeczy zdarzają się tylko w drodze. Trzeba było siedzieć w domu. Nie zaszedł do chaty, ale udali się do stodoły. Położyli się spać bez jedzenia. Nie mogli zasnąć. Ze ścianą sąsięku parsknął koń, owies chrząścił mu w zębach.

Ukryczeli czyjeś kroki.

- Hej tam, nie śpicie jeszcze? - był to gospodarz. - Zejdź - cie panowie i posłuchajcie co radio gada. Każą wszystkim uciekać z Warszawy. Konie.

- Kto gada? - spytał Artur.

- "Kto gada" - irytował się pan Ohren. - Nie wszystko jedno? Czy pan go zna? Więc po co pytać? Zeszli po drabinie na dół.

W chacie zastał paru sąsiadów. Jeden z nich wołał "cicho" i kręcił gałką radia.

Onaj przyszedł za późno. Przemówienie skończyło się i nadawano muzykę.

- Kto słyszał przemówienie? - spytał Artur. - Może to nie była Warszawa. Tylko radiostacja niemiecka.

Chłopci podnieśli na niego oczy. Nikt się nie odezwał. Irregularna gałka szczęśliwie i radio zamilkło.

- No, tośmy już wygrali - nieśmiało już chłop Emil papierosa i mrużył oczy od dymu. - Wszystkie papiery diabli wzięli, obligacje, pożyczki. Można się pogetrzeć.

- Gabrysie się spalili - zapiał cieniem głosem staruszek -

- ale siana latos dużo.

- A panowie skąd? - spytał chłop, który kręcił gałką radia.

- Uciekinierzy z Warszawy czy jak?

- Moje nazwisko Oskar Ohren, jestem wydawcą i mam księgarnię na Marszałkowskiej róg Świętokrzyskiej. Ten młody pan studiował na uniwersytecie.

Chłopci spojrzeli po sobie.

- Pytano tutaj, czyście uciekli z Warszawy.

- Tak.

- Dokąd chcecie uciekać dalej? Do bolszewików?

Chłopci roześmiali się.

x

Zanim ukazała się czarna ludzka rzeka, słychać było klaksony rozdzielające nieme powietrze. Jeden po drugim, urywane, krótkie, albo długie na przemian, huczące jak syreny. Jak głosy nieznanymi ptaków stoczonych i przerażonych śmiercią. Nie milkły ani na chwilę, nawet kiedy ustawał warkot i koskot motorów, zgrzyt żelaza, skrzywienie kół, klaskanie kopyt i tupot butów.

Zarysy ciężarówek odcinały się na żółtym niebie z płonąca zorza polarna pożarów. Sylwetki w jednakowych czapkach kiwały się w takt powolnej jazdy. Były to czapki policjantów. Oni pierwsi. Po obu stronach maszyn szli cywile z bagażem na ramionach. Pchali dzieciinne wózki i rowery naładowane stosami waliz, pierzynami w przesłodkach, ściennymi zegarami, rondlami, wiadrami, misami. Małe dzieci niesiono na rękach, starsze dotrzymywały kroku rodzicom, ich twarze w rozrzedzonej ciemności przesuwały się blade jak papier.

Samochody wciąż trąbiły. Najgłośniej wył klakson samochodu pancernego. Jak piętrowy dom, dziwoląg na kołach. Żołnierz wysunął blyszczącą twarz i wołał ochrypłym głosem:

- Prawa wołna! Prawa wołna!

Ale z drogi nikt nie ustępował. Nie cofano się przed warczącym wsieckie motorem. Szli jak we śnie, milcząc; stoczeni, w zimowych płaszczach, kobiety w futrach, w lisich bob, we wszystkim, co miały najdroższego.

Kawalerzyści z trudem powstrzymywali wodzami konie. Skakały w bok, podrywały głowy, wlewały na zadach, rwały przerażone, szczyrzyły zęby, wydawały piskliwe głosy, podobne do chichotu.

Konie były przerażone, spięty ostrzami do krwi, powłóki, wysferowały się na ozoła i cwałując zwinęły w ciemnościach. Słychać było oddalający się tętent. Człóg chrząścił i zgrzytał. Ślizgając się na gasienicach zawalili drogę w poprzek. Znowu zatrzymały się samochody, płaskie wózki wojskowe przykryte brezentem, wóz pancerny wysoki jak piętrowy dom, dzieciinne wózki, rowery. Ale płęsi szli dalej, wyprzedzili ciężarówki z polleją, jadące na czele. Nikt nie wiedział, dlaczego zatrzymano się, przed nimi nie było widać żadnej przeszkody.

Znowu odezwały się klaksony od ozoła pochodu, jeden za drugim, w ślab gęstniejącej nocy. Czarna rzeka znowu ruszyła i szła bez końca.

O świcie Artur i pan Ohren przyłączyli się do kolumny uchodźców.

Pożegnali się z gospodarzami, którzy nie chcieli przyjąć za gościnę pieniędzy. Ani za przechowanie waliz. Sciskali pana Ohrena za ręce. Będą uważali na rzeczy jak na własne. Jak długo będzie trzeba. To nie nie kosztuje, bo jeśli nie prosi. Pan Ohren wyjął szary sweter i podarował gospodyni. Zamknął walizy i kluczyki wziął ze sobą.

Gospodarze wyszli na próg i odprowadzali ich wzrokiem.

Teraz był ruch pieszy. Ani samochodów, ani wozów. Cywile ciągnęli małymi grupkami, rodziny i znajomi trzymali się razem.

Nagle pan Ohren uderzył się głową w czoło i bez słowa pobiegł do wsi.

Wrócił zdyszany i blady. Miał zaczerwienione oczy. Nic nie mówił.

- Co się stało? - spytał Artur.

- Rozbili zamki - wysunięta dolna szczeka zadrżała. - Pozwolił mi tylko zabrać płaszcz... Obkłowili się... majątek... Po to tyle lat oszczędzałem? Chciałem wziąć parę drobiazgów, aparat do golenia, koszulę... nie pozwolili.

Dłuższy czas szli w milczeniu.

- Właściwie dokąd my tak maszerujemy? Może by kogo spytać? Jak pan myśli? Najlepiej kogo z naszych... Żaden Żyd by tego nie zrobił. Rozbili zamki... Własnym oczom nie chciałem wierzyć.

X

Słońce przypiekało od samego rana. W powietrzu była cisza. Ptaki nie śpiewały. Tylko w wysokich wierzchołkach sosen sroki, trzymające straż, zrywały się skrzecząc.

Ziemia głucho jęknęła. Niedaleko wybuchła bomba. Jedna, potem druga. Ludziska zatrzymali się i nasłuchiwali. Odgłosy detonacji przychodziły od wschodu, to znaczy od strony, dokąd szli. Słychać było już szum samolotów. Szukano ich wzrokiem po niebie. Zanim się ukazały, szosa opustoszała. Ludziska ukryli się w kartofliskach, w rowach przydrożnych, zarosniętych kruszyną.

Jakaś kobieta wołała:

- Nie kładźcie się blisko etogów siana, kochani!

Przeleciały trzy samoloty uformowane w trójkąt, z łagodnym warkotem, lekko po zrzuconiu bomb.

Podnoszono się powoli z ziemi i wracano na szosę. Nawoływano się głośno po imieniu.

Kłoda kobieta w chłopskiej chustce zanosila się od śmiechu, zarzucała głową. Prowadził ją mężczyzna trzymając w póż.

- Uderzyć mocno w twarz - poradził starszy pan ze szkockim pledem przerzuconym przez ramię.

Ciężarówka zawróciła z drogi, przyjechały od wschodniej strony, dokąd przedtem uciekały. Policjanci siedzieli osowiali opierając się oburącz o stojące między nogami karabiny. Za nimi zdążyły samochody osobowe, czołg, płaskie wozy wojskowe przykryte brezentem i dziwoląg - płatowy samochód pancerny, kawalerii

w odwrocie nie było, udało się jej wymknąć. Za to przyłączył się batalion piechoty, rozbity i szukający wyjścia z otoczenia.

- Wracać! Wracać! - krzyczeli szoferzy.

Pojazdy skręciły i zjechały z szosy. Na polu wzbily się tumany kurzu aż pod niebo. Ruda dziewczyna jeździła po grudach tam i z powrotem na rowerze. Na pewno szpieg. Dlaczego nikt jej nie legitymuje?

Uchodźcy stali i namyślali się. Jedni zawrócili i też poszli polem, drudzy usiedli nad rowami zmęczeni. Nie wiedzieli czy iść przed siebie na wschód czy za taborem.

Piechota strzelała do przepiórek, które z furkotem zrywały się spod nóg. Nie trafili ani jednej. Przyskoczył oficer na koniu, siny z gniewu i groził rewolwrem:

- Chciecie sami sprowadzić sobie Niemców na kark? Jeśli się to powtórzy, kula w żeb.

- Na nu - pan Ohren pokręcił głową - zawsze należy się trzymać zdala od wojskowości.

Ukazała się smuga zarośli. Były to łożyska nadwodne. Może rzeka? W głębokim ciemnym korycie płynął strumyczek.

Żołnierze rozebrali się i pluskali w ciemnym nurcie. Parskali jak konie. Wyli sobie nawzajem plecy. Mydliny spływały płatami jak piana podczas powodzi. Przeprali komiśne koszule i kalesony. Wyjęli je i włożyli wilgotne na ciało. Szeregowiec z opuszczonymi na spodnie szelkami trzymał lustro, a oficer golił się.

Powyciągali z plecaków pędzle i mydło i też się golili. Zapach powiało jak od kwiatów albo czekolady: oficer skropił sobie twarz wodą kolońską. Szeregowiec wolał gniazdo szelki i brzytwą wyrównał oficerowi włosy na karku. W cywilu musiał być fryzjerem. Zrobił się koło niego ogonek, żołnierze podchodzili, żeby ich też podstrzyż. Płacili za to papierosami. Wolał suchary, ale nikt nie miał. Był widocznie niepalący. Chłopcy wytrząsali z chlebaków okruszki.

Nabrali do manierek wody, napili się i zapalili papierosy. Wyciągnęli się na ziemi. Oficer krzyczał, żeby się nie kładli, bo natychmiast zasypiali. A czekał ich jeszcze długi marsz.

Maszyny już dawno znikły, kiedy oficer na koniu poprowadził oddział do lasu. Tu spotkali piętrowy wóz pancerny, dziwoląg nie mógł dalej jechać, przesieka była za wąska. Zatrzymał się pod osłoną karłowatych sosenek, rosnących na skraju lasu.

Na polanie rozłożyli się jaacy żołnierze, których przedtem nie widzieli. Byli to saperzy w czarnych otokach. Nasunęli oszaki na oczy i spali. Obok stała zimna kuchnia, kocioł był wyszorowany i pusty.

Uchodźcy - cywile rozleźli się po lesie jak na grybobranii. Szli parami, mężczyzna i kobieta. Głośno dźwięczał kobiecy śmiech. Głos urywał się, gdy gęstniał las.

Policjanci osobno i oficerowie osobno zebrali się wokół rozestanych koców z jedzeniem i butelkami. Lecz nie zaczęli nawet jeść. Szybko zwinęli koce i wnieśli je z powrotem do samochodów, razem z chlebem, mięsivem i alkoholem. Wody szeregowiec biegł od jednej grupy do drugiej z nowiną. Niemieckie czoki! Są już blisko.

Przywódcy skrzyknęli swoich ludzi i rozstawili ich z karabinami w pogotowiu. Z karabinu maszynowego zdjęto pokrowiec. Rozgniatając równo rosnące szkółki sosenek wynurzył się czółg z krzyżem.

Znalazł się najwyższy rangą - pułkownik. Zwołał oficerów na krótką naradę. Na najwyższą sosnę wylazł obserwator z lornetką.

Pierwszy pocisk zarył się w ziemi nie wybuchając. Drugi rozłupał drzewo, które zważyło się z jękiem.

Nasz czółg odezwał się serią strzałów, piętrowy wóz pancerny

też wystrzelik. To było niezwykle, nikt się tego po nim nie spodziewał, nie wyglądał na to.

Żołnierze leżąc ryli łopatkami płytkie rowy i czekali na rozkaz.

Niemiecki czołg zatrzymał się, jakby się nanyślał. Podniósł pysk, potem go opuścił i skręcił wolno w stronę pierwszej kępy drzew, jakby przedniej strażnicy lasu. Wtedy uderzył w niego granat. Wyrzeliły żółte, wysokie promienie. Wieżyczka kręciła się, jakby się wiała w bólach. Słychać było szarpaninę. Nie mogli otworzyć wjazdu. Wreszcie kłapa podniosła się, razem z ogniem. Podciągnięty karabin maszynowy bił w wyskakujących. Jeden Niemiec padł z rozkrzywionymi ramionami, drugi spalił się w środku, skurozył się, wyszczerzył zęby w zwęglonej czarnoczerwonej twarzy. Trzeci został wzięty do niewoli.

Ohren zgłosił się na tłumacza.

W pobliskiej wiosce czekają na rozkaz trzy czołgi i batalion zmechanizowanej piechoty. Niedługo ruszą.

O więcej jeńca nie pytano, ale Ohren na niego napadł. Jak to możliwe, żeby Niemcy, najbardziej kulturalny naród na świecie, prowadzili w ten sposób wojnę? To niesłychane! Żeby bombardować pociągi z cywilną ludnością! Żeby strzelano do bezbronných! Rzucają bomby na wieś, gdzie wystarcza zaparka, żeby wszystko poezko z dymem! Studniowe w Berlinie, zna kulturę niemiecką. Wstyd i hańba! Wiadomo, że wojna to nie zabawka, ale wszystko ma swoje granice.

Nie wiadomo co dalej robić z jeńcem.

Tymczasem przyprowadzono rudą dziewczynę z rowerem. Przykapano ją, kiedy nadawała Niemcom sygnały. Rozstrzelano ją. Z Niemcem chciano zrobić to samo. Dwaj żołnierze prowadzili go już w głąb lasu.

- Niech im pan powie - krzyczał jeńiec do pana Ohrena - że jeńców wojennych nie wolno zabijać. Międzynarodowa konwencja...

Pan Ohren poleciał z tym do pułkownika. Pułkownik rozstrzygnął, że go zabiorą ze sobą. Może się przydać.

x

Saperzy zaminowali pole i drogę od wioski.

Oficer na koniu zebrał swoją piechotę i ustawił czwórkami do wymarszu. Przyłączyli się saperzy.

Pułkownik i inni oficerowie wrócili do swych samochodów. Cześć na nich w trwodze żony i dzieci.

Policjanci zapuścili motory ciężarówek.

Ale obserwator na sośnie dał znak, że jadą czołgi. Było ich pięć, a nie trzy jak zeznawał jeńiec. Iwarzyszy im zmotoryzowana piechota. Ilu ich jest? Trudno powiedzieć. Zbijają tumany kurzu. Odległość zmniejsza się bardzo szybko. Pięćset metrów... czterysta trzysta...

Oficer na koniu wyciągnął szablę.

Oddział piechoty i saperzy stanęli na baczność.

- Chłopy - zawołał oficer - pokazemy szwabom, co to jest

polski żołnierz!

Żołnierze odpowiedzieli chórem, ale trudno było zrozumieć słowa.

- Strzelać tylko na rozkaz. Wyraźny rozkaz. Musimy oszczędzać naboje. Brać skurwysynów na muszkę. Każdy strzał musi być celny, rozumiano?

- Tak jest, panie poruczniku! - dalsze słowa były niezrozumiałe.

Rozszypali się w tyralierę. Po chwili znikli, nie było ich widać, jakby się zapadli pod ziemię.

Oficer zsiadł z konia i oparł się plecami o pień sosny.

Las opustoszał.

Cywile znikli. Ostatnie limuzyny z oficerami uciekały przez siek.

Pozostał karabin maszynowy, czołg, wóz pancerny wysoki jak piętrowy dom. Karabin maszynowy zamaskował się pod dymiącym jeszcze niemieckim czołgiem. Polski czołg zaszył się w kępie drzew, oddzielonej od lasu piaszczystą goliźną. Pancerny dziwolak pozostał na miejscu.

Słońce przeświecało przez gałęzie, na burej trawie leżały się złote plamy. Las był cichy, jakby zamarł w oczekiwaniu, tylko z zewnątrz dochodził coraz wyraźniejszy zgrzyt gąsiennic. Nagle i to zamilkło. Ale tylko na chwilę, bo potem nastąpiła dzika strzelanina. Pociski przelatwały górą, ścinały wierzchołki drzew. Granaty rozpryskiwały się, odłamki zarywały się w ziemię, rozkupywały korę drzew, latały jak kamienie, najmniejszy odprysk mógł zabić.

Pan Ohren uśmiechał się ze strachu. Poderwał się i chciał biec przed siebie. Artur chwycił go za ramię i ściągnął na ziemię.

- Niedobrze, o! niedobrze! - powtarzał cicho. - Zostaliśmy sami. Trzeba było poprosić kogoś z tamtych oficerów... Czy czuje pan gaz?

- To trotyl. Niech pan zatka nos chusteczką.

Ohren machnął tylko ręką.

Obserwator na sośnie krzyczał z całych sił, żeby go można było dosłyszeć:

- Na co czekacie? Dlaczego nikt nie strzela? Zsiadli z motocykli... chowają się za czołgami... Teraz...

Urwał nagle. Spadł z drzewa.

Podbiegli do niego dwaj żołnierze.

- Automat - odezwał się jeden z nich - przeszło go jak ściegiem.

Przykryli go kocem.

Na sosnę wlaźł nowy obserwator i od razu krzyknął:

- Hurra! Trafiony!

Zazgrzytało żelastwo. Z piskiem zerwała się gąsiennica, niemiecki czołg zakaszłał, charknął, jakby się dławił własną krwią.

- To saperska mina - krzyczał obserwator. - Jeden się sfajdał, pali się, inne się zatrzymały. Dostali cykorii. Motocykliści zapuszczają motory. Zawracają! Czołgi też! Hurra!

- Dzięki Bogu - westchnął pan Ohren - od dziś wierzę w cuda. Tych saperów zeskał nam sam Pan Bóg. Nie uważa pan?

- Pan, widzę, nie wierzy w cuda, pan Gold też nie. Tym gorzej dla was. Irochę wiary każdemu może się przydać. Na przykład teraz.

W gałęziach zatrzepotały ptaki. Gwizdnął kos, raz, potem drugi, jakby się pytał, czy już można. W korę zastukał dzięcioł. Po niebie sunęły białe, anielskie obłoczki. Żołnierze zachrapali jak jeden mąż. Oficer usiadł na pniu ściętej sosny. Jemu też głowa opadała na pierś. Zapalił palerosa.

Jeniec podniósł się. Rozglądał się i trafił na wzrok pana Ohrena. Chciał się pokozyć z powrotem.

Ohren mrugnął do niego:

- Uciekaj!

Jeniec powoli czołgał się przerwami aż na skraj lasu. Potem zaczął bieć zygzakiem, ale nikt za nim nie strzelał.

Ze snu zbudził żołnierzy samolot. Zrzucił jedną bombę, a następnie całą wiązkę. Odezwał się karabin maszynowy. Kule świstały nad głowami. Porcier odleciał i zaczęły bić armaty.

To była nawała artyleryjska. Posuwała się jak maszyna, metr za metrem w głąb lasu. Poorana ziemia stękała, jęczały drzewa, z trzaskiem zwały się rozkupywane pnie. Szrapnel rozbił kuchnię. Las nie odzywał się. Nie padał ani jeden strzał.

Armaty zamilkły.

x

- Jak tam na polu? - spytał oficer po dłuższej chwili spokoju.

- Czołgi cofają się - obserwator przytknął lornetkę do oczu

- do włoski panie poruczniku. Melduję posłusznie, panie poruczniku.

- No to zkaż! - powiedział oficer. - My się też wycofamy. Nam to nie wstyd. Ale tamci to tchórze. Bali się wejść do lasu.

Żołnierze otrzepywali się z igliwia. Zapalali papierosy.

Wykopali grób i pochowali obserwatora. Usypali mogiłę i z gałęzi zrobili krzyż.

- Takiego narobili hałasu - powiedział pan Ohren - ja mam tego dosyć. Jak pan myśli? Jak by się od tego wszystkiego oderwał.

Przed wymarszem zwiadowca poszedł zobaczyć, co się dzieje w kępie, dlaczego stamtąd nikt nie wykazi. Wrócił zielony na twarzy. Z obsługi została miazga. Działko rozbite. Bomba trafiła w sam środek.

Zebrano szczątki mięsa i kości i wrzucono do leja. Zasypano piaskiem, oklepano mogiłę łopatkami i postawiono krzyż. Oddano salwę honorową.

Piętrowy wóz pancerny ocalał. Miał tylko dziurę z przodu jakby w czole. Zataczał się i trzeszczał w szwach, ale śmiało ruszył za kniem oficera. Po obu stronach szła piechota, luzem, nie w szereгах.

Nikt nie pamiętał o niemieckim jeńcu.

x

Na gościńcu napotykali samochody, porzucone, bez benzyny w bakanach. Okoliczni chłopcy wycięli skórę z siedzeń, odkręcili gumowe koła i oderwali klamki.

Zaprosili po dwóch, trzech na chałupę. Oficera podejmował sam wójt. Pan Ohren i Artur usiedli nad stawem, gdzie pływały kaczkę. Zdjęli buty i moczyli spuchnięte nogi w wodzie. Przeprali skarpetki.

Boso podeszli do zagrody. Pies na łańcuchu ujadł, więc nie weszli na dziedziniec.

Robiło się ciemno.

- Pan na mnie poczeka - Artur wszedł do środka.

Z izby buchnęło gorąco jak z pieca. Zapach krwawej zupy i wędzonki przypawił go o młodość i zawrót głowy.

Siedzieli wokół stołu, mlaskali. Pokykali świnie, żeby się nie dostała wojsku, wszystko jedno jakiemu.

- A ten żydek czego tu szuka? - spytał chłop z jasnym wąsem. Cuchnęło wódką.

Artur wrócił z niczym.

- Wcale nie jestem głodny - powiedział pan Ohren - do wszystkiego można się przyzwyczaić.

- No tak.

- Pan mi nie wierzy? A pan?

- O co panu idzie, panie Ohren?

- Po prostu pytam jak człowiek.

Artur usiadł na ziemi i zaczął wciągać mokre skarpetki.

- Teraz niech pan na mnie poczeka.

Ohren ruszył wiejską ulicą. Znikł w ciemnościach.

Długo nie wracał. Po godzinie przyniósł w lnianej szmatce duży kawał mięsa. Chleb trzymał w ręku. Szmatka była wilgotna od tłuszczu.

- Widzi pan! Panu się nie udało, a mnie się udało. Ja wiem, jak z nimi rozmawiać. Ich kenne meine Pappenheimer.

Podał szmatkę i ohleb Arturowi.

Artur ocierał się:

- A pan?

- Ja już się najadłem. Starczy mi na kilka dni. To wszystko dla pana - pan Ohren trzymał wyciągniętą rękę. Na przegubie nie było zegarka.

- Ja bym więcej dostał niż pan - rozsunął się Artur.

We wsi do późna rozbrzmiewały piosenki ludowe i żołnierskie. Głośno grało radio. Warszawska stacja była jednak cichym. Milki śpiewy, żeby wysłuchać przemówienia. Na zakończenie odegrano hymn narodowy. Unosił się nad pustą wiejską ulicą i pod spokojnym, gwiaździstym niebem.

Zrobiło się przejmująco chłodno. Od czasu do czasu szczekał pies na łańcuchu. Potem nastała cisza. Pies też usnął i obaj zmarznięci uchodzący wkradli się do stajni.

Na barłogu, pod strzechą, uwiązany sznurami do belki, głęboko oddychał przez sen parobek. Od krow parowało ciepłem. Położyli się na klepisku i przykryli wspólnie płaszczem Ohrena.

Zbudziła ich bleganina po podwórzu i krzyki. Uchyliłi drzwi stajni. Świtało. Żołnierze szykowali się do wymarszu. W drzwiach stały chłopki i płakały.



- Kochani nasi. Niech was Bóg i Matka Boska mają w swej opiece.

Kobiety wiejskie żegnały odchodzący oddział piechoty, który prowadził oficer na koniu.

x

Oderwali się od wojska. Szli dni i noce.

Wszystkie jak po przejściu szarańczy: ani chleba, ani wody.

Władro wyciągało ślity szlam.

Nogi obrzmiały i otarły się do krwi. Buty przewiesili przez ramię.

Podczas bombardowania w miasteczku Ohren odrzucił płaszcz, nie mógł go już dźwigać.

- Kolego! Kolego! - wołano za nim. - Zgubił pan płaszcz.

Artur chciał już wrócić, ale Ohren powstrzymał go:

- Po co mi płaszcz? Chce pan zginąć?

Bomba trafiła w stajnię. Oszałamione konie pędziły po okólniku z płonącymi grzywami. Stawały dęba, piaszczały, tarzaki się po ziemi wlerzgały w powietrzu nogami. Maszyna patrzyła bezradny, biegał z płachtą usiłując ugasić promienie na ginących zwierzętach. Grupy ze wzdętymi jak balon brzuchami dymiły, czuć było swąd spalonej sierści, spieczonego mięsa.

Zniszczony został władko i tor kolejowy. Pod ostrzałem broni pokładowej lekarze i siostry wynosili z palącego się szpitala rannych. Żołnierzowi z rozprutym brzuchem starali się wepchnąć jelita z powrotem.

- Zastrzelcie! Zastrzelcie! Mamo! - krzyczał.

Ludność uciekała ze zburzonych domów. Spód gruzów wydobywały się jęki zasypanych. Kobieta z osuniętą na ramiona chustą zadarła spódnicę i pokazała leścącemu nisko pilotowi tyłek.

Pocisk trafił w wóz z chlebem. Bochenki wyrzucone w górę spadły jak rozbite oegły. Ludzie z kolejki rzucili się na pokruszone pieczywo. Sprzed piekarni zabrano dwa trupy kobiet.

- Czy jest sens uciekać? - wystająca szczeka Ohrena zadrżała. - Jak pan myśli? Jaka jest szybkość czołgu na godzinę? Jaka człowieka? I w ogóle...

- Panie Ohren, tyłemmy przeszli, nie wolno się załamywać.

- Pan się naczytał komunistycznych książek i chce pan być bohaterem - pan Ohren kiwał głową poklepując Artura po ramieniu.

- Oj Niemcy, Niemcy! Moje Niemcy! ... - wzdychał.

Nocą wyszli z płonącego miasteczka. Ulicą brukowaną kocimi łbami.

Wędrowali gościcem, szosą pokrytą lejami po houbach...

Na płaskich polach wyrósł pociąg świecący oknami, ludzie w oknach uśmiechali się, wyrastały domy świecące oknami od parteru aż po najwyższe piętra. Artur szedł i spał z otwartymi oczami.

Obaj upadli na ziemię.

Kiedy obudzili się, był jasny dzień. Skryli się w lesie.

Za dnia szli lasem.

Watknęli się na resztki dywizji. Żołnierze mieli postrzę-

49.  
pione płaszcze ze śladami spalenizny. Hełmy zawieszono na płecach. Na płaskich wózkach wojskowych wieźli ciężko rannych, iżaj rannych nieśli na noszach zrobionych z gałęzi i kocioł.

Zatrzymali się na polanie.

Zrzucili płaszcze, wyciągnęli konserwy i jedli bagietkami.

Znaleźli leśne źródło. Przywieśli w płóciennych wiadrach wodę. Zapalili ognisko. Oficer golił się w lusterku samochodu. Potem ordynans polewał mu plecy. Żołnierze poszli się umyć w źródle. W kotle zakwapiła woda. Szeręgowiec rozlewał do kubków czarną kawę, gdy huknęły strzały.

x

Młody chłopaczek pędził krowy do domu na noc.

- Czy Niemcy są we wsi? - spytał Artur.

- Nie rozumiju...

- Niemci u seli? - spytał Ohren.

- Nie znaju - chłopiec wrzucił ramionami.

- Ty użę zabuw po polski howoryty? - zagadał chłopca Artur.

- Chaj bude! - pan Ohren dał znak ręką Arturowi, żeby dał spokój. - Ukrainka mowa duże harna. Mij bāt ko peczataw kniżki w ukraińskiej mowi, u samóm Berlini.

Chłopiec spojrział na pana Ohrena i trzasnął wita.

x

Poczuł zapach dymu.

Na wągorzu nad wsią tliło się nie dogaszone ognisko. Pod spodem żarzył się jeszozę popiół. Artur wygarnął upieczony kartofel.

W bruzdzie, pod przygniecioną kopą naci wykopali jeszozę parę kartofli. Zjedli je na wpół surowe, parząc sobie wargi.

W wsi grała muzyka. W poświęć księżycu bielili się w dole ścisany chat. W oknach świeciło światło. Po tyłu nocach zaciemnienia. We wsi huczała zabawa.

- Trzeba stąd wiać - powiedział Artur.

Z trudem się podnieśli. Daleko nie uszli. Skuleni wyglądali na starców. Położyli się pod stogiem siana.

Zbudziły ich pijane głosy.

- Gdzie ich spotkać? - pytał gruby głos po ukraińsku.

- Na drodze - poznali głos małego chłopca.

- Dokać szli?

- Jakby do wsi.

- Razem z tobą?

- Niby tak.
  - Chuj z nimi. Daleko nie ujdą. Wracajmy.
  - Tak - zgodził się mały chłopiec - daleko nie ujdą.
  - Jak się zrobi jasno, daleko nie ujdą.
  - Pewnie, jak się zrobi jasno...
- Zaczęli razem śpiewać:
- "Hej tam na hori Sicz ide.  
Hej tam na hori Sicz ide.  
Hej tam na hori nasze skaune towarzystwo..."
- Śpiew oddalił się.
- Ójdziemy, panie Ohren?
  - Pan Ohren zasnął znówu. Artur też.

x

Zbudził ich tupot ludzkich nóg. Cienie w hełmach albo okrągłych maciejówkach i rogatywkach szybko zsuwały się ze wzgórze. Na karabinach połyskiwały bagnetki w księżycowym świetle. Na dole Niemcy wszczęli alarm. Zaczęli się ostrzeliwać. Irwało to krótko. Nad wsią unosiły się krzyki i jęki.

"Mutter Gottes" - krzyczęli. Wzruszeli z bólu. Karabiny wrzynęły się bagnetami w ich brzuchy. Padali na ziemię. Karabiny podnosiły się i opadały, dobijając leżących.

- Gnade! Gnade! - wołali.

Ledwo się rozwidniło, samoloty niemieckie zbombardowały wioskę.

Polski oddział wycofał się, zanim przybyła zmotoryzowana kolumna piechoty.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Miasteczko miało jedną ulicę i dwa sklepy. Domki zapadały się w ziemię. Sklepy były zamknięte.

Zaterkotał dzwonek trącony drzwiami i z zaplecza wyszła Żydówka w zawiązanej po chłopsku wokół głowy chustce.

- Nic nie ma - powiedziała po ukraińsku.

- Jesteśmy Żydami, nie ma się czego obawiać - uspokoił ją pan Ohren. Mówił po żydowsku z niemieckim akcentem.

- I tak wyglądacie! - Żydówka śmiała ręce. - Szłojme!

Szłojme w kamizelce i w kaszuli bez kołnierzyka wszedł do sklepu i spojrzał na nieznanomych, a potem na żonę pytającym wzrokiem.

Żydówka wytarła usta końcem fartucha:

- Ja wiem?

- Trzeba im coś dać, bez tego się nie obejdzie - Szłojme odwrócił się do żony. Rozłożył ręce.

- Trzeba coś dać, ale co? - Żydówka wyszła na zaplecze.

Był piątek. Szłojme zaprowadził obu uchodźców do łaźni, a potem do bóżnicy. Do bóżnicy poszedł tylko pan Ohren.

- To wy jesteście pewnie komuniści - domyśliła się Żydówka.

- U nas w miasteczku był jeden taki, w Śądny dzień nie pościł i nie chodził się modlić. Po takich nic dobrego spodziewać się nie można.

Żydówka zastawiła stół do sobotniej wieszery.

Nie mogli zasnąć w miękkiej, czystej pościeli, Parzyła ich. W niedzielę trzebs było ich obudzić.

Artur pożegnał się z panem Ohrenem. Ruszył w drogę sam. Pan Ohren miał już dosyć chodzenia.

Artur był już daleko za miasteczkiem, kiedy usłyszał głos pana Ohrena.

- Panie Salz! Panie Salz! Niech pan tak szybko nie leci. Poczekaj pan.

I znowu szli razem.

Na polach było pusto i cicho.

Przez dłuższy czas nic do siebie nie mówili. Milczenie przerwał pan Ohren:

- Dokąd właściwie idziemy?

- Do sowieckiej granicy.

- Ni mniej, ni więcej.

- To jest jedyny nasz ratunek.

- A jak już będziemy na granicy sowieckiej, co dalej?

- Przejdziemy granicę.

- Przepuszczą nas?

- Na pewno.

- Bez paszportu? To może dobre dla pana, albo dla pana Golda, ale nie dla mnie.

Ciężko bapała maszyna.

Artur odwrócił się. Olbrzymia buda trzeszczała i stękała. Żelazo grzytało, każda część osobno. Był to piętrowy wóz pancerny z dziurą w czole. Prychał, chrząścił, ale jechał.

Wychyliła się twarz kierowcy, czarna jak kominiarza.

- I torędy do Żodawy?

- Gdzie jest pan oficer? - spytał pan Ohren.

- Zginął.
  - Och! Jaka szkoda!
  - Tak.
  - Po co panu Włodawa?
  - Rozchodzi się o Bug. Tam się zatrzymamy. Tam damy Niemcom kupnia.
  - Nie zatrzymaliście się nad większymi rzekami.
  - Zobaczymy.
  - Może byśmy się też zabrali z panem do tej Włodawy?
  - Wsiadajcie.
- Na przedmieściu Włodawy zatrzymał ich policjant.
- Co się znowu stało? - spytał kierowca.
  - Dalej nie macie po co jechać. Bolszewicy wtargnęli do Polski.

Artur i pan Ohren wysiedli. Piętrowy, pancerny wóz zatrzęsł się i wypuścił czarną chmurę dymu. Kierowca wyskoczył. Motor ciężko pracował. Wóz trzeszczał, ale nie ruszał z miejsca. Nastąpił ogłuszający huk. Żelazne szwy powoli pękały. Motor rzęził jak w agonii, aż zastukał parę razy, jak umierające serce i zamilkł.

Ściany zawaliły się i na środku drogi ułożyła się kupa żelastwa.

x

We Włodawie nie było władzy. Polska przestała istnieć, a sowiecka armia jeszcze nie weszła.

Porządku pilnowali cywile z czerwonymi opaskami na rękawach.

W bocznej uliczce, ocienionej klonami, z willi wynoszono rzeczy i ładowano na furmankę. Starosta ostatni opuszczał miasteczko. Na rynku zebrała się grupka Żydów. Nic nie mówili, czekali. Na widok cywilów z czerwoną opaską rozeszli się.

Jeden z nich zabrał pana Ohrena i Artura ze sobą.

- Wczoraj nosili niebiesko-białe, a dzisiaj już czerwone.

A ten żydowski komunistą razem z nimi. On jest teraz cały "ja tiebie dam".

- Nie szkodzi, zrobi się porządek - powiedział Artur.

Żyd spojrział na Artura, a potem na Ohrena.

Pan Ohren machnął ręką:

- On tylko tak mówi.

Przyjęła ich zapłakana kobieta. Zaprowadziła do dużego pokoju, przyściemionego zasłonami na oknach. Na ścianie wisiał portret Herzla w ramie udrapowanej taftesem.

- Siadajcie - kobieta wskazała gościom krzesła. - Czujcie się jak u siebie w domu. Sara: przyjdzie Zylber, powiedziała do męża.

Zylber przyszedł z kilkoma jeszcze żywymi.

- Ukraińcy chcą ich przyjąć chlebem i solą - pierwszy zabrał głos Zylber.

- To ze strachu - przerwał mu młody człowiek z bujną czu-

przyną i czarną kokardą zamiast krawata.

- Rację na kanarek - przyznał Zylber - als co my mamy robić? Rabin z torą nie będzie ich witał.

- Niedoczekanie - oburzył się Żyd w meloniku i długim surducie.

- A więc co mamy robić - powtórzył pytanie Zylbera starszy pan w odprasowanym szarym garniturze, w binoklach - panie prezesie? Nic.

- Pan doktor mówi: "nic" - starzec z rumianą, wygoloną dołkładnie twarzą zastanowił się. - Nieraz już się wydawało, że z narodem żydowskim koniec, ale zawsze jakoś Pan Bóg przychodził nam z pomocą. Może wśród nich znajdzie się jakiś porządny Żyd. Nie wszyscy tam muszą być komunistami.

- Jewseki - rzucił Kanarek z bujną czupryną.

- Teraz już nie ma Jewsekcji - odparł doktor w binoklach.

- Iam Żydzi są oficerami - wyrwał się chłopak, który przyszedł z ojcem, siedzącym obok prezesa Zylbera.

Ojciec podniósł na niego rękę, ale ją opuścił.

- Jeśli będą wśród nich Żydzi, tym gorzej dla nas - niski mężczyzna ze spakowaną bródką powiódł po zebranych wzrokiem.

- Czy teraz jest Jewsekcja czy nie ma, wszystko jedno. Oni wiedzą gdzie nas można najłatwiej uderzyć. W Rosji wytoczyli z naszego narodu krew nie gorzej niż sami Rosjanie. Zniszczyli nasze synagogi i zrobili z nich stajnie, odebrali wiarę naszym dzieciom. Co z nich wyrośnie? Zginęło Żydostwo rosyjskie, dusza naszego narodowego odrodzenia, kolebki ruchu syjonistycznego, hebrajskiej kultury. Odcięta została nasza prawa ręka...

- Racja - przyznał Zylber. - Ale co dalej?...

- Zebrałiśmy się tu nie po to, żeby wysłuchać pogrzebowej mowy. To wszystko wiemy. Nawiazę do słów doktora. Bo dla ścisłości należy stwierdzić, że Jewsekcji już nie ma. Jak to zawsze bywało.

- Kanarek powiódł palcami po bujnej czuprynie - w naszej historii, Żydzi robili swoje i wcn. Jak to powiedział poeta: "Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść". A jeśli idzie o problem "co robić", jaki stawia nasz prezes, obawiam się, że już za późno... trzeba było pomyśleć o tym parę lat temu, kiedy były jeszcze szanse emigracji do Palestyny.

- A może jednak nie będzie tak źle - starzec o okrągłych, dokładnie wygolonych policzkach ukłonił się w jedną stronę - wejdą i - ukłonił się w drugą stronę - wyjdą.

- Wejdą i wyjdą - chrząknął chudy Żyd, który siedział obok prezesa i zwrócił się do Kanarka z czarną czupryną - nasz młody literat zaczytał niemieckiego poeę, a ja zaczytałem hebrajskiego, naszego wielkiego Chaima Nachmana Bialika. W siedemnastym roku pocieszałiśmy się, że rewolucja długo nie potrwa, wtedy Bialik przestrzegli nas i powiedział: świni, która leżała przez trzyseta lat panowania Romanów na jednym boku, może leżeć za panowania bolszewików trzyseta lat na drugim boku. Niestety wejść to oni wejdą, ale czy wyjdą, to jest pytanie. Ogłosili, że idą nas wyzwalać, jakby ich kto o to prosił. Ich należałoby wyzwolić, a nie nas. A jak kto idzie wyzwalać, to na długo. Podali przez radio, że Polski już nie ma i nie będzie.

- Nie będzie? - Artur poczuł, jak mu serce skoczyło do gardła. - Iego powiedzieć nie mogli. Jakiej Polski nie będzie?

Zebrani spojrzeli po sobie.

- Kto on właściwie jest? - spytał prezes Zylber, zwracając się do gospodarza domu. - Skąd się tutaj wziął?

Gospodarz domu siedział ze splecionymi dłońmi na brzuchu, z kieszonki kamizelki zwisał łańcuszek złotego zegarka.

- Widziałem na rynku dwóch Żydów - bronili się gospodarz.
- Bieżący. Jaki Żyd by ich nie zabrał do domu?
- Żydowskie miłosierdzie nas zgubi - odezwał się doktor w binoklach - żydowskie serce.
- A pan by ich nie zabrał, panie doktorze? - spytał gospodarz.

Przez chudą twarz doktora przebiegł niezdecydowany grymas. Gdyby to było u mnie w domu, długo bym się nie zastanawiał, natychmiast bym go wyprosił - powiedział literat Kanarek.

- Nie trzeba nam wypraszać - odezwał się pan Ohren - sami możemy pójść, ale przedtem posłuchajcie. - Ohren mówił raczej po niemiecku niż po żydowsku. - Nie macie się czego obawiać. Ja za niego raczę, to porządny człowiek. Studiował na uniwersytecie. A jeśli o mnie idzie, jestem wydawcą i właścicielem księgarni przy głównej ulicy w Warszawie, przy Marszałkowskiej.

- Ja jestem całkowicie tolerancyjny - zaczął doktor w binoklach i odprasowanym garniturze - niech sobie ma komunistyczne przekonania kto chce, tylko nie Żydzi. Już o tym mówili moi szanowni przedmówcy. Komunizm zniszczył rosyjskie żydostwo. Polak komuni- sta, Rosjanin komuni- sta, Francuz komuni- sta nie przestaje być Polakiem, Rosjaninem, Francuzem. Żyd komuni- sta przestaje być Żydem. Bo nie ma własnego państwa. Jak będziemy mieli własne państwo, proszę bardzo, to się zobaczy. Już teraz są w Palestynie kibuce, komuny, prawdziwe komuny, takich nie ma w Związku Sowieckim.

- A jak idzie o Polskę - Żyd w melniku i drugim surducie poprawił się w krzesle - będzie czy nie będzie, głowa mnie o to nie boli. Czego mamy żałować? Antysemityzmu na ulicy, na poczcie, w urzędzie skarbowym? Bojkotu? "Swój do swego"? Ekscesów w Miń- ska Mazowieckim i w Przystyku? I tak dalej i tak dalej. Jego, że dep- tano mnie na każdym kroku? Że taki, co nie wart mi butów czyścić pogardzał mną? Czy ja mogłem się czuć jak człowiek?

- Ale jakos się żyło... Gorzej, lepiej - starzec o rumianych starannie wygolonych policzkach ujął okrągły, miękki podbródek - handlować było można. Bojkot nie bojkot, ale do Żyda szli, bo było taniej. Trochę nie dowazyć, trochę nie demiarzyć, można było wyjść na swoje. Jak była koniunktura, to dla wszystkich, a jak na nieszc- zęście, kryzys, to też dla wszystkich.

- Ale najbardziej dał się we znaki nam - Żyd w melniku i długim surducie machnął na starca gniewnie ręką.

- To się rozumie - starzec o rumianej, dokładnie wygolonej twarzy kiwnął głową. - Blizsza koszula ciała - powiedział po pol- sku z rosyjskim akcentem.

- Racja - zgodził się prezes Żylber. Chciał jeszcze coś po- wiedzieć, ale weszła pani domu z zapakowanymi oczami, niosąca na ta- cy filiżanki z herbatą.

- Dziewczyna gdzieś się podziała. Niestety nic do herbaty nie mam.

- Nic o robiny? - wrócił do swego pytania prezes Żylber. - Przede wszystkim trzeba zabrać papiery z lokalu - powie- dział Żyd w melniku i długim surducie. - Zniszczyć wszystkie spisy członków, pokwitowania Keren Kajemet i Keren Hajesod, komi- tetu obywatelskiego i tak dalej, i tak dalej. Nie trzeba im uzat- wniać...

- A teraz ja wam coś powiem - wstał mąż, rudy Żyd, który przez cały czas siedział w kącie i milczał - nie ma się czego bać. Po prostu nie ma się czego bać. Mam brata w samej Moskwie. Pracuje w państwowym handlu, w państwowym, a nie prywatnym. Czy tu- taj mógł jakiś Żyd dostać państwowe zajęcie? I mój brat ma się dobrze, nie narzeka, bron Boże, na rząd...

- I tam nie ma antysemityzmu... - dodał Artur.

Żyd w meloniku i długim surducie poczerwieniał, zerwał się i chciał się rzucić na Artura.

Uspokoił go prezes Zylber:

- Panie Bursztyn, musimy być mądrzejsi od nich.
- To nam tylko zostało - westchnął doktor w binoklach.

x

W miasteczku nie było władzy i Artur postanowił wyjść jej na przeciw. Wyruszył w drogę na wschód.

Ohren nie starał się go zatrzymać:

- Tym razem pójdzie pan sam. Wolę Niemców od bolszewików. Wracam do Warszawy. Mam kogoś pozdrowić?

Odprzewadził Artura do mostu i poklepał go na pożegnanie po ramieniu.

x

Artur spotkał Armię Czerwoną w najbliższej wiosce. Rano jeszcze samolot sowiecki zrzucił małą bombę na gościniec, ale nie wybuchła. Leżała z zielonymi skrzydełkami jak zabawka.

W południe wjechał czołg do wsi i motocykl z sowieckimi chorągiewkami. Kilku krasnoarmiejców trzymało karabiny na sznurkach, zamiast rzemieni, wyciągnięte, gotowe do strzału. Czołg zatrzymał się i z wieżyczki wynurzył się żołnierz w sukienym hełmie, motocyklista zsiadł z maszyny, zerwał kwitnący za płotem kwiat rudbekii i przypiął do czapki. Pogłaskał wiejskie dziecko po główce i powiedział:

- Ukraina rozwieła cwietałi.

Kazał swoim ludziom zasypać polskiego żołnierza, sterczącego butami z leju po bombie, a niewypał rozładować na polu.

Obszedł wieś, znalazł wójta i kazał wezwać na wiec wszystkich chłopów, tak żeby nikogo nie brakowało.

Motocyklista przemówił po ukraińsku:

- Przywit wam od wetykoho radiańskoho narodu!

Mówca zapewnił, że skonczyły się okrutne rządy polskich panów i dzięki mądrej polityce towarzysza Stalina zaświtała dla bratniego narodu Zachodniej Ukrainy wolność, przyniesiona przez niezwykłą Armię Czerwoną. Teraz nastanie szczęśliwe życie pod słońcem stalinowskiej Konstytucji.

- Chaj żywe Sojuz Socjalistycznych Republik Radiańskich!  
Chaj żywe nepobiedyma Czerwona Armia! Chaj żywe wetykij woźd narodiw, genij ludstwa Josyf Stalin!



Chłopi słuchali w milczeniu, ale nikt oprócz Artura nie zaklaskał ani nie podtrzymał okrzyku "Chaj żywe!".

Motocyklista zawołał na bok wójta:

- Dobierzcie sobie, towarzyszu, paru ludzi, to będzie komitet wiejski, i uważajcie, żeby był porządek. Wy osobiście, towarzyszu, będziecie odpowiadać za wszystko. Zrozumieliście?

- Co tu można rozumieć albo nie rozumieć? - powiedział wójt.

- Będziemy się starali.

Motocyklista uściśnął rękę Artura z całej siły. Spytał go o jego imię i imię ojca.

Wziął go na maszynę i wiozł po sąsiednich wsiach. Za nim podążał czołg i patrol z wyciągniętymi karabinami.

Artur krzychał wszędzie: "Chaj żywe!" i klaskał.

- Artur Abramowicz - motocyklista uderzył go po ramieniu.

- Ty jesteś prawdziwy bezpartyjny bolszewik. Takich tu trzeba nam jak najwięcej. Będzie u was jeszcze wiele braków, bo musicie dognać dwadzieścia lat budowy socjalizmu. Ale jak ci będzie trudno, nie potrafisz rozwiązać jakiego problemu, idź do partii, ona ci pomoże.

Posiłili się u chłopa i zwiad ruszył z powrotem do jednostki.

Zapaść zmierzch, kiedy motocyklista zatrzymał się na środku drogi:

- Dalej nie można, strefa zabroniona.

- Rozumiem, rozumiem - Artur zsiadł z maszyny.

Na pożegnanie motocyklista objął Artura i pocałował go w usta.

Artur poczuł gorzyc machorki i kwaśny odór wódki.

x

Po raz pierwszy od tygodni padał deszcz. Drobnym, ledwo skraplał kurz gościńca. Sylwetki żołnierzy i czołgu zginęły w ciemności.

Rozglądał się dokoła. Którędy pójść, żeby nie wpaść w wojskową strefę zakazaną. Trudno było odróżnić chmury od lasu.

Schronił się pod drzewem, a żeby przeczekać deszcz. Będzie tu siedział do świtu. Dobrze, że jest sam. Pan Ohren należy do innego świata, jest związany z żydowskim drobnomieszczaństwem. Był określa świadomość... Nawet Rachel... Choć starał się wpłynąć na jej poglądy. Miała antykomunistyczne opory. Nie chciała rewolucji. Zresztą nie wierzyła w nią. Kto ją zrobi? Rosja dla Polaków to symbol niewoli. Ciągnął nic dobrego przynieść nie może. Nawet bezrobotni Polacy po większej części odrzucali komunizm. A więc kto? Garstka żydowskich komunistów, jeden Polak na dziesięciu Żydów. Żydokomuna? Czy to nieprawda? Zostaje trochę żydowskiej inteligencji. Bezrobotnej. Lask zwany proletariatem żydowski, którego nie ma. Są szwacy i krakwcy, a oni wierzą bardziej w rabina niż w Marksa. Ciekawe, co ona teraz myśli? A Gold? Nie miał racji. Polska władza kapitalistyczna przestaje istnieć. Armia Czerwona spełniła swój obowiązek. Przyniosła nam wolność bez rozlewu krwi. To nie był po-

## X

Kolumna jeńców posuwała się wolno.

Ślady po zatartych dystynkcjach na zakurzonych mundurach zdradzały, że byli to oficerowie. Płaszczki luźne, bez pasów. Pod nimi widać było obcisłe bluzy, wcięte w talię. Na nogach wysokie buty używane w błocie.

Artur poznał kolegę ze studiów:

- Kolego Grubecki! - krzyknął.

Jeniec odwrócił się, szukał oczyma człowieka, który zawołał go po nazwisku. Chciał się zatrzymać, ale sowiecki żołnierz uderzył go kolbą w plecy. Oficer ręką odtrącił konwojenta.

Artur podbiegł, lecz krasnoarmiejec i na niego zamachnął się karabinem z długim, cienkim sztykiem.

Jeniec dawał znaki, wołał coś, ale Artur nic nie zrozumiał.

W mieście spotkał tę samą kolumnę jeńców. Krasnoarmiejec zrzucił z ciężarówki chleb. Oficerowie chwytali bochenki, łamali je, dzielili między sobą i zaraz zjadali.

Nieznane miasto, dziwne, jak ze snu.

Beładnie rozrzucone domki, czarne i małe, ulice krzywe, kamienice piętrowe tuż przy jezdni, nie oddzielone chodnikiem, jakby nad wodą, o spiczastych dachach. Nieznane miasto pękało od tłumów.

Artur przeciskał się przez masy wlokących się brodatych i brudnych uchodźców. Szli tam i z powrotem, jak dwie rzeki płynące w przeciwnych kierunkach. Cofano się pod ściany domów, aby przepuścić wzięte do niewoli pułki plechoty. Arturowi zdawało się, że to wciąż ci sami oficerowie. Zarośnięte twarze, wychudłe ze zmęczenia i głodu. Maszerowali sprężystym krokiem, obrzętkę nogi wybijały mocny takt, mieli zaciśnięte usta i wzrok utkwiony w przestrzeń. Jakiś kobleczy głos krzyknął coś do nich, czyjaś ręka rzuciła papierosy. Żaden z jeńców nie podniósł ich. Paczka pękła i rozdeptały ją buty.

Wisiały czerwone sztandary. Niektórym domalowano sierp i młot.

Mieszkańcy miasta wyglądali przez uchylone firanki, przerażeni słocznym tłumem.

Okiennice i drzwi były zatrzasknięte.

Przed piekarnią rozległ się krzyk żołnierzy, którzy karabinami opierali natarcie kobiet i mężczyzn.

- Dawaj nazaad!

Żołnierze w jednym dniu wykupili wszystkie grzebyki, sznurówką, wodę kolońską, którą wypijali, papier listowy, igły i nici, gwoździe, całą galanterię damską i męską, jaką można było dostać w mieście.

Krasnoarmiejcy kręcili się po ulicach grupkami, pojedynczo się nie pokazywali. Raz tylko Artur widział samotnego żołnierza w bramie, wymieniającego chleb na wódkę.

Drugą szukał, zanim zniknął ulicę i numer domu. Zapukał do drzwi. Rzucili się sobie w objęcia. Opowiedzieli, co każdy robił od wyjścia z więzienia.

Artur namyślał się, czy wspomnieć o spotkaniu Joachimka z Iasią twarzą tuż przed wybuchem wojny. I zrezygnował.

Stefan śpieszył się:

- Jestem w kontakcie z sekretarzem r a j k o m a partii. Fajdziesz ze mną. Nie bardzo się oni tutaj orientują. Potrzebują naszej pomocy. Ty też się możesz przydać.

Stół przykryty czerwonym suknem, karefka wody i szklanka, na ścianie portret Stalina.

Sekretarz rozwałk ramiona:

- Stepan Samożkiewicz, czekamy na was. Jak widzę przyprowadziliście nowego towarzysza. Jak wasze imię i imię ojca - zwrócił się do Artura. Zacięrał ręce i grzebał w czeratowej teczce. - Właśnie dostałem z Mińska pismo w sprawie - znalazł wreszcie. Wyciągnął papier i zaczął powoli odczytywać: - "Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom..." - sekretarz zatrzymał się.

- MOPR - dokończysz Stefan.

- A ty, brat, skąd wiesz? Tu właśnie tak jest napisane, nu, wiesz!

- Partia komunistyczna też była nielegalna.

- Nu, to ja wiem, i ty, bratku, o niej nie opowiadaj. Nie ma się czym chwalić. Sami szpieczy. Ale były, ma się rozumieć, wyjątki.

- Iowarzysz Artur Abramowicz i ja byliśmy razem w jednej jacejce, a potem przez jakiś czas siedzieliśmy razem w jednej celi. Potem mnie wywieźli do innego więzienia. Komunistyczna partia Zachodniej Ukrainy była tam, a tutaj Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi...

- Ja was o to nie pytam. To ja wiem. A jak się nie pyta, nie trzeba mówić. - Sekretarz mahał sobie wody z karefki. - Ale nie szkodzi. Będziecie dobrze pracowali, będzie wszystko w porządku.

- Czekaliśmy na ten dzień - odezwał się Artur.

- Wiem, wiem... - sekretarz rajkomu kiwał głową - nu i przyszliśmy.

- Chciałbym tylko... - Stefan urwał.

- Mów, mów, Stepan Samożkiewicz! Ty ze mną jak z rodzonym bratem. Zacięch tajemnic. Szczerze, po prostu, po bolszewicku.

- Właśnie, po bolszewicku - lekko skłonił się Stefan. - Chodzi mi o przywrócenie partyjności, z zaliczeniem ośmiolatego stażu. Wiecie, towarzyszu sekretarzu, w trzydziestym ósmym rozwiązali partię. To było dla uczciwych partyjniaków straszne. Straszny cios! Wiecie?

Sekretarz wywał wargi.

- Pewnie, że wiem - potrząsnął papierem, który trzymał w ręku. - Więc co oni piszą z KC? Żeby Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom pomagała naszym ludziom... O to właśnie chodzi. A do tego trzeba nam tutejszych, żeby pokazali, kto jest wart, a kto niewart pomocy. Musimy mieć towarzyszy sprawdzonych, takich, którzy by nie zawiedli naszego zaufania. Jak powiedział towarzysz Stalin: "Ufaj, ale sprawdzaj". Ty, moi drodzy, nie macie jeszcze doświadczenia. Dlatego damy wam naszego człowieka. On wam powie, co i jak. On pomoże jak towarzysze. No cóż, niełatwo będzie wam dogonić nasz kraj po dwudziestu latach socjalizmu. Wam też nie poszło łatwo. Ale wam już nie będzie tak trudno. U was wejść do wychodka, z przeproszeniem, bryszczy od niklu, ale tanków nie mieliście.

- To prawda - przyznał Stefan. - Ale tanków nie komuniści nie mieli, tylko polski rząd faszystowski.

- Zuch z ciebie, Stepan Samożkiewicz - sekretarz rajkomu partii poklepał go po ramieniu. - A widzisz, u nas są tanki i samoloty, a to ważniejsze niż wszystko.

- Stuszenie towarzyszu sekretarzu - powiedział Stefan.

Sekretarz podszedł do drzwi:

- Walentin Iwanowicz, pozwólcie, no na chwilę!

Walentin Iwanowicz wszedł w czapkę z kaczym daszkiem, obciążając bluzę wypuszczoną na spodnie, ściągniętą pasem. Cmil koniec rozbiegł nóżki.

Scisnął rękę Stefana i Artura:

- Witam was przyjaciele.

- Teraz już wy, Walentin Iwanowicz, zajmijcie się nimi. Wiecie, o co idzie.

- Rozumiem - Powiedział Walentin Iwanowicz.

- Pomóżecie im w tym...

- MOPR-ze - dokończył Stefan.

x

Pociąg włókł się powoli, ale jechał. Pokonywał przestrzeń. Już raz na zawsze skończyło się chodzenie piechotą.

Drzwi wagonu towarowego nie domykały się i przy ruchu otwierały się na oścież. Zatrzaszkiwano je, ale bez skutku.

Artur zmarzył jak nigdy. Nigdy nie było tak zimno pod gołym niebem, w polu, ani w lesie.

Skulone postacie kiwały się oparte o dudniące ściany.

Majaczył ciemny krajobraz z czarnymi plamami łasków. Czasem mignęło światło w oknie dalekiej, ciepłej chaty. Na stacjach w izbie naczelnika ruchu paliła się lampa naftowa.

Kojsko wsiadało i wsiadało ze szczękiem. Cywile przemykali się jak oienie.

Artur z zimna nie zmużył oka przez całą noc. Zjadał powoli chleb i skoninę. Skulone postacie budziły się z dreszczem i pilki wódkę prosto z butelki. Stefan chciał mu dać wódkę na drogę.

- Weź, może się przydać - namawiał. - Za wódkę można wszystko załatwić i wszystko dostać. Namawiał go też, żeby został. Brak ludzi. Trzeba sprostać gigantycznemu zadaniu, jak mówił sekretarz rajkomo partii. Tutaj katwo o odpowiedzialną pracę, godną przedwojennego komunisty, można się rozwinąć. A tam zjechało całe byłe kierownictwo partyjne, członkowie byłego KC, sekretariatu, obwodowcy, dawni funkowie, którzy odsiadywali wysokie wyroki. A co my? Najwyżej dwa, trzy lata. - Wiesz jak to jest... Ty wprawdzie studiowałeś na uniwersytecie, ale sam wiesz, praktycznie nie ma to wielkiego znaczenia...

## ROZDZIAŁ TRZECI

Szklany dach, chluba lwowskiego Dworca Głównego, był rozbity. Ocalało trochę płytek, przyprószonych przedwojenną sadzą, na żelaznych łukach i korcikowej siatce.

Tyle razy jeździł do Lwowa. Tyle razy pociąg z hukiem wpa-  
czał się ze słonecznej jasności w półmrok tunelu. Pamiętał kształt  
drzwi i okien zadymionej fasady. Pamiętał strach przed obojętnoś-  
cią miasta i przeczucie beznadziejnej przyszłości po studiach.

Wsiadł do tramwaju i wśród ciągłego ówzwonienia wzdłuż alei  
Pocha, zgrzytania na zakręcie Gródeckiej patrzył na brzydkie uli-  
ce. Wsiadł na Zygmuntofskiej. Dalej odbył drogę pieszo.

Ulice pełne były uchodźców. Miasto pękało w szwach. Spojrzył  
na zegar dyrekcji kolejowej: dochodziła dwunasta. Przeciął Ogród  
Jezuicki, zasłany żółtymi liśćmi kasztanów. Jasną kwitły tu szpa-  
lerami białe i fioletowe bzy. Otwarte okna Uniwersytetu Jana Kazi-  
mierza chronęły zapachy. Kolumny u wejścia jaśniały w słońcu.

"Dziś jest dzień bez żyć!" Pod kolumnami stali korporan-  
ci w kolorowych czapkach i grozili łaskami. Artur miał tego dnia  
kolokwium u profesora Chylińskiego. Stali zwartą masą. "Ani kroku  
dalej!" Słania nienawiści. Poznawał twarze znajome, spotykane na  
korytarzu, przed dziekanatem. Zawsze uprzejme, uśmiechnięte. Rigdy  
by nie przypuszczał, że mogą się tak zmienić. Przekrwione oczy, wy-  
krzywione usta. Barbarzyńcy spragnieni ofiary.

Ale minął wasz czas, jak pył zdmuchnięty wiatrem. Niżej te-  
go już nie będzie.

x

Tizytówka była ta sama. Zapukał do drzwi. Pani Huttenowa wy-  
dała okrzyk i poprosiła Artura do środka.

Racheli nie było. W pierwszym dniu wojny wyjechała do War-  
szawy. Pokój jest wolny. Artur może w nim zamieszkać. Woli jego niż  
jeszcze jednego zakwaterowanego sowieta. Bo jeden już u niej  
mieszka. Sowiet, ale porządny człowiek.

- Sowiet?

- A jak?

Wykąpał się, włożył garnitur. Otrzymał go dzięki Stefanowi  
od KOPRu. Stare ubranie pani Huttenowa wrzuciła do pieca. Było w  
strzępach i cuchnęło brudem.

W szafis wisiły sukienki Racheli.

x

Ulicą Legionów płynął zwarty tłum. Na Piekarskiej przeredziło się. Nie pamiętał numeru. Była tam na parterze restauracja, gdzie żyd mógł jeść tylko raz. Drugi raz nie przychodził, tak go obsługiwano. Matka Grubeckiego mieszkała na piętrze.

W pokoju było ciemno, z okien nie zdjęto jeszcze czarnego papieru.

Pani Grubecka płakała:

- Wolałabym, żeby wpaść do niemieckiej niewoli.

- Ależ co pani mówi!

- Czy pan nie widzi jaka to dzicz?

- Są raczej prości, proszę pani.

- Pan ich jeszcze bierze w obronę?

- Oni przybyli tu jako przyjaciele.

- Czy pan nie jest komunistą?

- Tak.

- No to panu powiem, żaden Polak ani żaden porządny Izraelita nie uważa bolszewików za przyjaciół. Zadali nam cios w plecy.

- Rozumiem pani rozgoryczenie, ale nie ma pani racji.

- Czy mój syn orientował się, jakich pan jest przekonani?

- Myślę, że tak.

- Więc dziwię się, że pana do mnie przysłał.

Pani Grubecka wstała i skierowała się do drzwi. Artur poszedł za nią. Nie podała mu ręki.

x

Wśród posuwającego się tłumy Artur ujrzał Leona Hubla. Leon chwycił go za ramię. Głośno się z nim przywitał.

- Czy nie wie pan, gdzie jest Rachel? - spytał Artur.

- Nie wiem. Gdzieś zginęła w drodze do Warszawy. Odradzałem jej, prosiłem, żeby nie jechała. Mówisz do mnie "pan"? Kto dzisiaj w ogóle mówi "pan"? Zresztą ja zawsze byłem sympatykiem, pamiętasz mój drogi? Mój drogi, ty jako były więzień polityczny... Na pewno nieźle się urządziłeś. Gdzie pracujesz, jeśli to dla ciebie jest tajemnica?

- Jeszcze nigdzie.

- Nigdzie? To niemożliwe! Chcesz pracować w "Czerwonym Sztandarze"? Ja tam jestem kierownikiem administracyjnym.

- W "Czerwonym Sztandarze"?

- Podoba ci się? Mogę cię zarekomendować. Zgadzasz się?

- Ale jak pana przyjęli?

- Jak? Zwyczajnie. Naszym ustroju socjalistycznym trzeba się wykazać zdolnością i pracą. Każdy ma prawo do pracy. Nie znasz stalinowskiej Konstytucji? To na razie, na początek, reszty dowiesz się sam.

- Nie rozumiem.  
- Pytam, czy chcesz pracować w naszym dzienniku? Będziesz redaktorem.

- Ja redaktorem?  
- Dlaczego nie?  
- Nie mam kwalifikacji.  
- Jeśli tylko o to chodzi, to się nie martw. Ja to załatwię. Leon Hubel wziął Artura pod ramię i przediskając się przez tłum przechodniów zaprowadził go do redakcji. "Czerwony Sztandar" mieścił się w gmachu dawnego "Wieków nowego" przy ulicy Sokoła.

Redaktor naczelny, Mańkowski, przeprosił Artura, że nie umie mówić po polsku. Ale wszystko rozumie.

- My, bracia Słowianie - uśmiechnął się. Kręgnął jednym okiem do Leona Hubla. Nazywał go "darogoj Liowa".

Arturowi kazał natychmiast przystąpić do pracy. O wynagrodzeniu pomówi z nim później. Będzie tłumaczył artykuły z centralnych gazet moskiewskich. "Izwestii" i "Prawdy". Nie zna rosyjskiego? Nie szkodzi. Nauczy się. Liowa też z początku nie umiał. To nie trudno, polski język ma dużo słów wziętych z rosyjskiego. Tak jak ukraiński. Oprócz tłumaczeń będzie kierownikiem działu listów. To bardzo ważny dział. Kontakt z masami. Podejrzane listy będzie oddawał jemu osobiście albo towarzyszowi Fedorenko. Wróg nie śpi. Im bardziej pokonany, tym wścieklejszy.

- Towarzysz Artur Abramowicz należał do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i za czasów pańskiej Polski siedział w faszystowskim polskim więzieniu - powiedział Leon Hubel.

Naczelny redaktor cmoknął językiem niezadowolony i zrobił uspokajający ruch ręką.

- Chciałbym o coś spytać, towarzyszu redaktorze - odezwał się Artur - czy można?

- Pytajcie, towarzyszu, pytajcie! Jeśli macie jakieś trudne problemy, zwracajcie się do mnie albo do towarzysza Fedorenki. To my tutaj jesteśmy.

- Czy jest przewidziana reaktywacja naszej partii?

Leon Hubel chrząknął.

Redaktor naczelny ściągnął brwi i lekko cofnął w tył głowę. Po chwili marnysku powiedział:

- Można być dobrym bezpartyjnym bolszewikiem. Nie wszyscy muszą być w partii. U nas właśnie tak jest. Blok komunistów i bezpartyjnych. A do wyborów idą razem. W ten sposób mamy za sobą cały naród. Czy teraz dla was już jasno?

Artur kiwnął głową.

- Nu, dobrze, darogoj Liowa, zaprowadź go do towarzysza Fedorenki. Powiesz mu, że ja jestem zajęty... Właśnie - redaktor naczelny podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu. Oczami dał znak, żeby obaj wyszli.

Artur minął pokój redaktorski, zastawiony biurkami, jedno stało przy drugim. Redaktorzy siedzieli w milczeniu nad dużymi płachtami "Prawdy" i "Izwestii". Obok leżały otwarte, grube słowniki. Jedna głowa podniosła się. Miała duże, czarne, ciężkie oczy, krzacaste brwi, zakrzywiony nos i grube wargi. Oczy przyjrzały się Arturowi podejrzliwie i jakby cien uśmiechu rozjaśnił ponurą zalemną twarz. Na ramionach zwisała ciemna szarotka, mimo że było ciepło. W kącie siedziała stenotypistka i stukotała na maszynie pod dyktando wysokiego, chudego bruneta z zapadniętą pierśią, o wypukłych, przyszyronych oczach krótkowidza. Pod oknem grzebał się w papierach redaktor w rozchełstanej koszuli i szarej, brudnej marynarce. Dwaj inni redaktorzy pisali ręcznie na żółtym conceptowym papierze.

- Nasz nowy współpracownik - przedstawił Artura Leon Hubel. Nikt się nie odezwał. Tylko redaktor w narzuconym na ramiona płaszczu teraz wyraźniej się uśmiechnął.
- Kto to jest? - spytał Artur, gdy weszli do drugiego, pustego pokoju bez mebli.
- Pisarz - odparł Leon Hubel i podał znane nazwisko.
- Tu jest wolny pokój, a tam cisną się wszyscy razem - powiedział Artur.
- Innych zmartwień nie masz? Są ważniejsze sprawy.
- Artur obejrzał się i przez otwartą drzwi zobaczył jeszcze lekko przekrzywioną głowę na sztywnym karku. Znany pisarz. Słyszał o nim. Pierwszy raz w życiu widział prawdziwego pisarza.
- Leon lekko zapukał do drzwi obitych skórą.
- Tak - odezwał się głos Fedorenki.
- Towarzysz Fedorenko zajmował pokój sam jeden jak redaktor naczelny. Siedział w wysokim, wyściełanym krześle.
- Tak... tak... - skłuchał Fedorenko.
- Gdy Leon Hubel skończy, zapytał:
- Sądzi pan, że ten pokój jest wolny. Wstawi się stół i krzesła. Ja się tym zajmę. To już jest moja sprawa.
- Dział listów jest bardzo ważny. Potrzebne jest osobne pomieszczenie - głośno zastanawiał się towarzysz Fedorenko - ale ten sąsiedni pokój będzie mi też potrzebny. Mają przyjechać trzej towarzysze z Kijowa.
- To może pokój obok korektorów?
- Dobrze - zgodził się Fedorenko. - Byliście u redaktora na czelnego, towarzysza Markowskiego - zwrócił się do Artura - on wam mówił, jaka to robota? Jakie to ważne stanowisko? I że to jest dowód zaufania? Jesteście żonaci? Nie? Dlaczego? Kim byli wasi rodzice? Wszystko to napiszcie w życiorysie. Gdzie pracowaliście, co robiliście. Szczegółowo i dokładnie.
- Czy podać przynależność partyjną? Byłem członkiem Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy.
- Nie trzeba - Fedorenko podał Arturowi biały arkusz papieru.
- Artur chciał go złożyć i schować.
- Nie, nie - Fedorenko pokazał pod oknem mały stolik - tam macie pióro i atrament. Siadajcie i piszcie. Macie czysto tutaj, wygodnie.
- Życiorysu starczyło na pół stronnicy.
- Tak mało? - zdziwił się Fedorenko. - Zaprowadźcie towarzysza do towarzysza Szmera - schował papier do szuflady i przekroczył kłozę.
- Na drzwiach był napis: "Sekretarz redakcji tow. Szmer".
- Przystojny wysoki szatyn uściśnął mocno jego rękę.
- A to zastępca naczelnego, towarzysz Lonarski.
- Chudy, tyśy blondyn o wodnistoniebieskich oczach podał mu cienkie palce.
- Proszę siadać, towarzyszu Salz. - Szmer pokazał mu krzesło.
- Kiedy wyszliście z Warszawy?
- Wyjechałem pociągiem, ale nas pod Kozami zbombardowali.
- Byliście w partii?
- Tak.
- Do chwili rozwiązania?
- Tak.
- Byliście w KPP?
- Nie. W KPZU.
- Coście robili w chwili rozwiązania partii?
- Byłem nauczycielem w Płocku. Siedziałem przedtem w więzie-



niu, w Brygidkach lwowskich i Wronkach.

- Czy po wyjściu z więzienia wróciliście do nielegalnej pracy?

- Nie udało mi się złapać kontaktu.

- Może unikali was?

- Nie przypuszczam.

- Był to już okres dużego zamieszania w partii - odezwał się towarzysz Konarski, były członek KC KPP.

- Nie wysuwano przeciw wam żadnych zarzutów?

- Nikt mi nie nie zarzucał.

- To nie znaczy, że nikt nie miał żadnych zarzutów - oczy Szmery przesłoniła kokieteryjna mgiełka.

Artur poczuł mróz z tyłu głowy.

- Skąd znacie Hubla?

- Był mężem mojej kuzynki. Racheli Marcus.

- Co możecie o nim powiedzieć?

- Znałem go przelotnie z uniwersytetu. A gdy był mężem mojej kuzynki Racheli Marcus, siedziałem w Brygidkach. Potem się rozeszli.

- Czy Leon Hubel był w partii?

- Nie.

- A wasza kuzynka?

- Też nie. Nie interesowała się polityką.

- A teraz?

- Nie wiem, gdzie się teraz znajduje.

- A żona?

- Nie jestem żonaty.

- A macie kogoś? jakąś dziewczynę?

- Jak by to powiedzieć... ale czemu właściwie służą te pytania? Czy to potrzebne do reaktywizacji partyjnej?

- Ach! Kie! - Smer się głośno roześmiał. - Na razie jeszcze nie. Jeśli się coś zacznie, dany znać.

- No, dosyć już - odezwał się towarzysz Konarski - chyba nie będziemy zatrzymywać towarzysza, jak myślisz, Antek?

Smer wstał i uroczyście podał rękę Arturowi:

- Życzę wam sukcesów w waszej odpowiedzialnej robocie.

X

Jedyny list od czytelnika, jaki Artur otrzymał, był anonimem. Rebus: "Nie widziałam dupy słońca, ogorzała od miesiąca". Zamiast dupy była karykatura Stalina.

Artur usiadł. Oparł twarz na dłoń i wpatrywał się w karykaturę. Geniusz ludzkości. Przyszłość całego świata na jego barkach. I jakiś mały szczur! Podłość! Podłość! Co począć? Wyrzucić tę ohydę? Ale tego nie wolno. Pójść do naczelnego? Do Fedorenki? Raczej do Szmery. Wymy już widzieli takie karykatury, ale tamci. Smer da naczelnemu albo Fedorence. Już lepiej sanemu. Karykatury przed wojną robili jawni wrogowie... ale anonim? Pokazać się Leonowi Hubla? Pomysł! Czy nie wie, kim był Hubel? Właściwie jest zgnikłym drobnomieszczańcem, skoro nie deklasuje tego syjonisty. Może przeszedł ewolucję ideową? Niewykluczone. Trzeba mu dać

szansę...Nie odrywał wzroku od karykatury...Może to nie Stalin...  
Najlepiej zniszczyć.Pierwszy raz w życiu trzymał w ręku anonim.  
Na dole adres:

ulica Szukaj-wiatru-w-polu,nazwisko: Icyk Bolsze-  
wicyk...Opanował go dojmujący strach.Jakby czuł na sobie rękę,  
która to pisała.Anonim wciągnął go w występłą tajemnicę.Czytając  
anonim nieznanego wroga doznaje się mętnego uczestnictwa.Częstka  
winy przechodził na człowieka.Stał się adresatem,czytelnikiem.Do-  
tychczas życie było jak...w ogólnej celi więziennej: z jednej  
strony kryminaliści,z drugiej ludzie walczący o wielką ideę.Ie-  
raz stanie się dostawcą obrzydliwości.

Najbardziej może obrzydliwe było, że Joachimek doniósł...

Artur wstał i zaczął chodzić po pokoju jak w celi.Znowu  
usiadł.Karykatura Stalina była wyraźna,nie mogło być pomyłki.Wło-  
żył ją do rozdartej koperty.

Redaktora naczelnego nie było.

Przed gabinetem Fedorenki musiał poczekać,dopóki lekkim kro-  
kiem nie wyszedł sekretarz redakcji,uśmiechnięty Szmer.

Klepnął Artura po ramieniu bez słowa.

- Co towarzyszu przynosi? - spytał Fedorenko.

Artur pokazał list na biurku.Fedorenko wyjął kartkę z koper-  
ty.Nie rozumiał, o co chodzi.Nie wiedział, co ten rebus znaczy.Nig-  
dy takimi rzeczami nie widział.

- Trzetkumacz mi - powiedział.- Co to jest? - pokazał kary-  
katurę.

- Nie mogę - wzdragął się Artur.

- To po coście przynieśli?

- To straszne.

- Gadajcie! Gadajcie! - niecierpliwiał się Fedorenko.

- To ma być towarzyszu Stalin.

Fedorenko wtrząsnął oczy:

- Towarzysz Stalin? A reszta co znaczy? - Fedorenko opano-  
wał się.

Artur wiał się i szukał najdelikatniejszego sposobu.Słowo  
"dupa" nie mogło mu przejść przez gardło.Wreszcie narysował ją  
jednym pociągnięciem ołówka.

Fedorenko zrozumiał.Totaż ręką twardą szczecinę na policz-  
ku:

- No cóż! Nie przejmujcie się towarzyszu,myśmy nie takie  
rzeczy widzieli. pierwszych latach po rewolucji.Ale dzięki nam  
będzie was lżej.

Schował anonim do szuflady i przebrał kluczyczk.Ocno uś-  
cisnął rękę Artura.Na potęganie dodał:

- Nie martwcie się,towarzyszu,ty już tego gada znajdziemy,  
mamy na to sposoby."Zyskicie takie listy przynosiście mnie.Rozu-  
miecie?

Godziennie przychodził jeden albo dwa anonimy.Artur zano-  
sił je do Fedorenki.Najbardziej skąlowano Stalina."Nie na ta-  
kiego skurwego syna,który by wierzył w Stalina".Im większa wul-

garność, tym znóśniejsza. Ale bywały też dokuczliwe, jak na przykład o Nurim, który popełnił samobójstwo, a gdyż nie mógł dogonić uciekających żołnierzy sowieckich na froncie fińskim. Oczywiście wróg posługiwał się kłamstwem. W Finlandii zwyciężyła Armia Czerwona. Jak donosiły "Prawda" i "Izwestia", poświęcając zresztą tej marginesowej wojnie mało miejsca. Kaligrafia i błędy ortograficzne często wskazywały, że pisała to, niestety, ręka robotnicza. Ile czasu potrzeba, żeby w tych mózgach się rozjaśniło? Były też próbki poezji inteligentnej "Na 17 września / odpowiemy pieśnią/ Jeszcze Polska... /bolszewicka szczerze dzieć mongolska".

Fedorenko zamykał wszystko pod klucz do szuflady.

- Znajdziemy wszystkich do do jednego - powtarzał.

Raz obecny był przy tym naczelny. Jego tłusta twarz nabiegła krwią. Arturowi zdawało się, że towarzyszowi Mańkowiakemu zatrzęsł się przez ułamek sekundy tłusty brzuch od śmiechu.

Ale jednego anonimu nie ujawnił.

Był to donos na Leona Hubla. Że jest synem bogatego kupca, nacjonalistą żydowskim. I że wybierał się do Palestyny, ale przeszkodziła mu wojna. I teraz, kiedy inni komuniści wierni idei są odsuwani, taki wróg jest w łaskach, bo potrafi się wkręcić podarunkami.

Artur zniósł list i wrzucił do kosza. Ale natychmiast go wyjął. Widział, jak Fedorenko przeszukiwał śmiecie w koszu, otwierał szuflady redaktorów...

Cały dzień chodził, jakby miał w kieszeni bombę.

W domu anonim spalił.

- Co panu jest? - spytała go pani Hutten, gdy wychodził z kuchni. - Pan się tym wszystkim martwi? Nie dziwi się. Dlaczego w pańskiej gazecie o tym nie piszą, żeby sowici nie zabierali bez kolejki chleba i cukru. I że ci, co godzinami stoją w ogonku, odchodzą z niczym.

Leżał z otwartymi oczami. Anonim powinien być oddać Fedorenko. Przepadko. Co go obchodzi Hubel? Były mąż Racheli. Jest synem bogatego kupca. Działacz syjonistyczny. Sympatyk? Może. Jak to łączyć? U Żydów - inteligentów wszystko możliwe. Choć nie-normalne. Cały naród nienormalny. Nienormalne warunki. Płynne granice. Nie na ziemi, tylko gdzieś w powietrzu. Jak u Szalom Alejchemy: luftmensch, luftgaszef. On też był kiedyś szomrem. W gimnazjum nosił szarą koszulkę z lilijką na rękawie. Najlepsza młodzież komunistyczna, najlepsi komсомолцы wyszli z szeregów szomru. Naprzód czytał Herzla "Altneuland", Maxa Nordau "Paradoxen". A potem Bucharina. Z jednej strony syjonizm, z drugiej materializm. Długo się bronili. Zwyciężył Bucharin. To było jeszcze zanim został zdemaskowany jako szpieg imperializmu. Wyparł się Herzla, hebrajskich poetów, własnych wierszy, hebrajskiej mowy, sentymentalnych piosenek żydowskich, śpiewanych na wycieczkach w Gorgany. "Kto raz był szomrem, zostanie nim na całe życie" - mówiła komendant Małka Leibowicz... Oblak się potem... Nie wszystko nspisać w życiorysie. I starszy brat, kibucnik, w Palestynie, też nacjonalista żydowski. I matka w Palestynie... Czy zrebilby na Menesa donos? W ZSRR dzieci donoszą na swych rodziców. To jest nowy człowiek epoki socjalizmu, wychodowany przez partię. Ale on, były szomrem? Syn drobniomieszczańskiej rodziny? Przy pierwszej próbie zakęsał się. Wielek na to pracowały. I nawet ta cała "Teoria materializmu historycznego"? Czy to nie była burżuazyjna pułapka, jak się potem okazało? Dłaczego Leon Hubel zdobył sobie zaufanie Mańkowskiego, redaktora naczelnego? Redaktor naczelny nikogo do siebie nie zapraszał, ani byłego

członka KC Komunistycznej Partii Polski Konarskiego, ani sekretarza redakcji Szmera, ani nawet sowieckich redaktorów... Trzech przyjechało z Kijowa. Aby podnieść poziom ideologiczny gazety, właściwie polskiej ekipy redaktorskiej. Redaktorzy polscy wymyślili się spojrzzeniami, kiedy jeden z trójki "muszkietarów", jak ich nazywał korektor, Robert Link, pouczak, że dobry socjalistyczny dziennikarz idzie ulicą i obserwuje. Aha! tu jest za mało warsztatów s... wskich, a tu przydałby się jeszcze jeden zakład fryzjerski, potem pisze na ten temat "zamietki". "Najgorszych nam posyła" - kręcił głową zasmucony sekretarz redakcji Szmer. "Trzeba muszkietarami" zapiekował się od razu Leon Hubel. Znalazł im mieszkanie, ubrał ich w jednakowe granatowe garnitury, a ich żonom zakatwał pantofelki na wysokim obcasie. Przychodziły do redakcji i pytały, gdzie "daragoj Liowa"? Gdyby Hubel był Polakiem albo Ukraińcem... Ale Żyd? Naślany? Kto może naślak Żyda? Jaka organizacja? To wykluczone. Nic nie jest wykluczone. Na przykład Radek, Zinowiew. Na przykład Gold. Nie wierzył w ich winę. "Więc rozstrzelano niewinnych?". "Tek". "Czy nie przyznali się do winy? A jeśli przyznali się i byli niewinni, gdzie był ich hart, w końcu nie zwykłych, szeregowych komunistów, ale stojących na czole partii?". "W ZSRR panuje terror, nie trudno sobie wyobrazić, do czego doprowadził tam, jeśli tutaj towarzysze bali się własnych myśli". "Tak mówi człowiek ścisły, który na pierwszym zakręcie odpada". "Kiedy mnie nazwano prowokiem, milczałem i głosowałem razem z innymi. Głosowałbyś nawet za wyrokiem śmierci". Ssewa przerywała dyskusję histerycznym krzykiem.

Usnął z postanowieniem, że jutro po bolszewicku przynęca się do drobnomieszczańskich pozostałości, nacjonalistycznych uczuć, oraz do zniszczenia anonimu.

Ale tego nie zrobił.

Była dziesiąta, to jest dwunasta według obowiązującego czasu moskiewskiego. Termometr wskazywał minus trzydzieści stopni. Temperatura podniosła się o dziesięć stopni, nocą było czterdzieści. Brakło opadu. Ludzie spali w płaszczach. Kto miał, ogrzewał mieszkanie maszynką elektryczną. Z piwnicy Artur przynosił wiadra węgla z przedwojennych zapasów pani Huttenowej. Ale już się kończyły.

Wiatr, na szczęście niezbyt silny, rozmiatał od dawna nie sprzątane śmiecie. Nad niebieskawą od mrozu ulicą z głośników, przytwierdzonych do latarni, unosiły się dźwięki krasnoarmiejskiej wesołej "Taczanki".

W końcu migotały srebrnym pyłem kryształki zmarzniętego powietrza.

Przed piekarnią tłum tupał nogami z zimna, tłoczył się bezładnie, a mali mongolscy krasnoarmiejcy o płaskich twarzach kotów starali się zorganizować kolejkę. Trzymali w rękę długie karabiny i krzyтели: "dsej nazadi" z szajatykim akcentem. Sklepy były zamknięte jak w dzień świąteczny, bo nie było towarów. Część ukryli właściciele, a resztę wywieziono na ciężarówkach nie wiadomo dokąd. W pustych witrynach wystawiono portrety Stalina, kolorowe obrazki

z roześmianymi kołchoźnicami na tle złotych ranów i wspaniałymi robotnikami jakby wykutymi z kamienia. Przed Stalinem, ubranym w zwykły sznyel, szczęśliwe dzieci wymachiwały buketami kwiatów i kłosów zboża. Na plskatach kwitły winnice, leżały góry jabłek i pomarańcz. A egzotycznie ubrane Gruzinki zbierały je do koszy. To wszystko przywoła niedługo ze skłonecznych krajów Kaukazu i Azji Środkowej. Piękna była i wieża Kremla z zegarem i złotymi wskazówkami: na samym szczycie jaśniała czerwona

gwiazda z prawdziwych rubinów. Dekoracja, zbudowana na ulicy Legionów, w samym centrum Lwowa, zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej, kształtem imitowała wieżę Kremla moskiewskiego. Ale czerwone płótno zbladło na jesiennych deszczach, podarło się od wiatrów i odesłoniło wypeczoną dyktę ścian, na których zatknięte, gęsto, jedna przy drugiej, furkotały postrzępione chorągiewki.

Gdy ze smutkiem przypatrywał się Pomnikowi Wyzwolenia, tak mało odpornemu na kaprysy pogody, usłyszał strzał. Na chwilę zagłuszył skoczną melodię z głośników. To było jak we śnie. Ujrzał twarz rosyjskiego żołnierza. Była blada, w rozszerzonych oczach śmiertelny strach. Uciekał klucząc jak zając. Drugi strzał. Nagonka rozwijała się ze wszystkich stron placu. Przechodnie ukryli się w bramach. Artur nie ruszył się z miejsca. Stał jak wryty. Uciekający miał twarz dziecka, usta skrzywione jak do placzu. Jest-cze jeden strzał.

Nie poszedł do Fedorenki.

Usiadł w swoim pokoju, nie tknął listów.

Obłąkana ze strachu twarz. Jak to możliwe? W środku miasta polowanie na człowieka. Krasnoarmiejców na krasnoarmiejca! Polski żołnierz nigdy nie uciekał przed własnym patroliem. Polski patrol nigdy nie strzelał do własnego żołnierza. W kapitalistycznej Polsce. Straszne muszą być powody, żeby uciekać przed swoimi.

## I

Wszedł Mandel od nasłuchu radiowego. Od niego dowidywano się w ściśniętej tajemnicy, co podawało radio londyńskie. Straszne wiadomości z kraju pod hitlerowską okupacją... Teraz Fedorenko posłał go po Artura. Pod Arturem ugięły się kolana.

Fedorenko przyjął go z uśmiechem. Chodziło o tłumaczenie, które było właściwie jego zasadniczą robotą. Ale zostawili mu czas, żeby się poduszyc rosyjskiego. Idzie o przełożenie bardzo odpowiedzialnego tekstu, referatu towarzysza Stalina na temat dalszego bójnego rozkwitu rolnictwa kokchózowego oraz o zapewnienie stalinowskiego urodzaju w roku 1940. O dośnięcie i prześnięcie w obecnej pięcioletce państw kapitalistycznych, a w szczególności Ameryki, jeśli idzie o zapotrzenie w zboże, mleko, mięso, jaja i pszę dla bydka. Fedorenko podkreślał ważność tego problemu również dla wyzwolonej Ukrainy Zachodniej.

Referat Stalina zajmował wszystkie cztery strony "Prawdy" i "Izwiestii". Gazety pokrojono i podzielono między redaktorów polskiej ekipy. Arturowi przypadł rozdział o gospodarce wodnej, a więc o zakładaniu stawów, zbiorników wodnych oraz zarybianiu. Dostał grubą słownik rosyjsko-polski. Korzystali z niego razem z redaktorem o wypukłych oczach krótkowidza i przygarbionych, długich plecach. Był to poeta Gażeczki. Przed wojną pisywał w "Sygnalach" rozprawy o marksizmie, a przede wszystkim proletariackie wiersze w stylu Majakowskiego, co przeszkadzało mu w tłumaczeniu prozy o płodozmiarach. Drugi poeta, redaktor stylistyczny, w wiecznie tej samej, szarej i poplamionej marynarce, znany z surowości, otrzymał tłumaczenie i poprawiał je. Tłumaczenia Artura uznają za najlepsze. Artur nie spodziewał się tego. Był to jego wielki dzień. Odnoszone się do niego jak do odkrytej gwiazdy. Sekretarz redakcji Szmer zaczął mówić do niego po imieniu. Fedorenko zaproponował, żeby przeniesiono go do działu reportaży, ale Szmer był zdania, że to za szybki awans, i uważał, że należy przenieść go na razie do korekty.

Na drugi dzień Artur przeczytał na tablicy komunikatów w ko-

rytarzu, że został przeniesiony do korekty, a towarzysz Mandel poszedł na jego miejsce, łącząc dział listów z nasłuchem radiowym. Artur odetchnął z ulgą.

Pierwszy pogratulował mu Leon Hubel.

- Wiedziałem, co robię, kiedy rekomendowałem cię naczelnemu. Dam ci jedną radę. Trzymaj się mnie. Ja jestem swój chłop. Polegaj na mnie. I jeszcze jedno: nie pchaj się na afiaz. Trzymaj się w cieniu. Może ci czegoś trzeba?

- Nie. Dziękiuję, nic mi nie trzeba.

- Chodź, przedstawię cię korektorowi. Robert Link. Też Żyd. I poeta. Sami poeci. Nie ma komu naser skazały.

Na dyżury często przychodziła żona Roberta Linka, Teresa. Przynosiła mężowi kanapki z kiełbasą. Zostawała w pokoju korektorskim do późna, kiedy w redakcji nikogo już nie było prócz dyżurnego i "gławlita", któremu przynoszono kolumny do cenzury.

- "Gławlit" - śmiała się Teresa - zamiast powiedzieć po prostu: cenzor. Jak u prostych Żydów nie wolno wymówić pewnych słów, żeby nie ściągnąć nieszczęścia. A pan wie, co to znaczy "gławlit"?

- Główny literator - powiedział Artur.

Teresa zrobiła herbatę i wyspała do szklanek po życzenie cuku-

kru.

- To wszystko od towarzysza Leona Hubla - szeptęła przyzykając oczy. - Bardzo porządny człowiek.

- "Towarysz" - Robert Link uśmiechnął się kącikiem ust.

Na przemian jeden czytał tekst odbitki szcztokowej, a drugi wodził wzrokiem po maszynopisie:

- "Naprzód Polska, potem Francja i Anglia ze swymi licznymi wasalami i dominiami, rozpocząły wojnę z Niemcami..." - Robert przerwał czytanie.

- Ja nie mogę - miał udreńczony wyraz twarzy.

- Towarysz źle się czuje? - spytał Artur.

- Już lepiej mówmy sobie po imieniu. Skoro "pan" nie wypada.

Czy ty możesz spokojnie słuchać takich kłamstw?

- To jest tłumaczenie z "Prawdy" ... ale za to jest dalej: "Pokój i przyjaźń pomiędzy ZSRR i Niemcami leżą również w interesie wszystkich narodów Europy..." Nie wiem, co możesz temu zarzucić? To fakty.

- Najgorsze są fakty, które są kłamstwem.

- To soholastyka.

Teresa zaprosiła Artura na kolację. Mieli piękne, czteropokojowe mieszkanie sprzed wojny. Teraz został im tylko jeden pokój. W trzech zakwaterował się generał "sowiec", jak powiedziała Teresa. Ale "sowiec" generał nagle umarł. Przychodzili oficerowie do pokoju Linków, ażeby korzystać z telefonu: "On tołko szto wypikł stakan mołoka", odpowiadali przez dwa dni aż do porzebu.

- Dlaczego oni tak mówili? - zainteresowała się Teresa.

- Bo widocznie tak było trzeba - twierdził Artur. - Musiała być jakaś przyczyna, której my nie znamy, wojskowa tajemnica.

- Widzę, że pan jest prawdziwy komunista. Robert ma rację.

Pan musi być twardym człowiekiem.

- O tak! - zgodził się Artur.

- Ale jest pan porządnym człowiekiem.

Artur poderwał głowę, ale się nie odezwał.

- Tereniu, proszę cię, zostaw.

- Pan się niczego nie boi? - Teresa zignorowała prośbę męża.

- Czego miałbym się bać?

- Robert zrywa się w nocy z krzykiem. Śni mu się, że przyszli po niego.

- Kto?
- Pan nie wie, kto?
- Za co? Przypuszczam, że Robert nic złego nie zrobił.
- Czy musi się zrobić coś złego?
- Pewnie, czasem może się zdarzyć pomyłka.
- Pan im wierzy.
- Oczywiście.
- Tereniu, proszę cię... przerywał Robert.
- My z Robertem też wierzyliśmy, aż przyszli sowieci.
- Pani mówi "sowieci", "sowisci". To nic nie znaczy. Istnieje słowo "sowieci" - po polsku "rada". Rady robotnicze i chłopskie.
- Wszyscy mówią "sowieci".
- Czuć w tym niechęć.
- Pogardę - dodał Robert.
- Nienawiść - powiedziała Teresa.
- No więc? - zapytał Artur.
- Trudno sobie wyobrazić, jak oni są zniechęceni. Widziałem, jak konduktorka, zwykła kobieta, dała nieznamym pani, wytwornej jak z portretu, bukiet astrów. "Ten dobór kolorów" - powiedziała nieznamym pani, posyłając konduktorce porozumiewawcze spojrzenie. Bukiet był czerwono-biały.
- Nie dostrzegam w tym nienawiści do komunizmu - powiedział Artur.
- A cały tramwaj dostrzegł. Wielu miało żyć w oczach. Ja też ...
- Co panią tak wzruszyło?
- To kolory.
- Przysnęło, że ludzie są niezadowoleni. Są pewne braki, nawet trudności. Żaden początek nie jest łatwy.
- Nie chodzi o trudności. Komunizm pokazał swoje oblicze.
- Mów ciszej - Robert oczami pokazał na ścianę. Słychać było rosyjską mowę.
- Wielkie rozczarowanie... Robert drukował w "Lewarze". Większość kupletów w szopce akademickiej "Świetlicy" wyszła spod jego pióra. Piękna idea... a co oni z niej zrobili?
- Po tym, co opowiadał nasz lejtnant, to polskie więzienia były ...
- Teresa przerwała Robertowi:
- Lejtnant był pijany... Zresztą to nie był lejtnant - Teresa uśmiechnęła się do Artura.
- Artur też się uśmiechnął:
- Nie ma obawy. Nasz naczelny Mańkowski ma powiedzenia: "nie śmieję bież uroda". Zawsze się znajdzie czarna owca.
- Artur przypomniał sobie obłądny strach w oczach uciekającego krasnoarmiejca.
- Pan jest prawdziwym komunistą. Zawsze pan znajdzie wytłumaczenie. Jak pan to robi?
- W ZSRR też są wrogowie. Nie wszyscy kontrrewolucjoniści zostali wytypieni. Dwadzieścia lat w historii ludzkości to niewiele. Łatwiej zmienić system niż człowieka - powiedział Lenin.
- Pan tak spokojnie mówi o "wytypieniu". Czy pan nie pomyślał, że to są ludzie? Pan nigdy nie pomyślał, że wrogowie mogą mieć też trochę racji?
- Wróg nie może mieć racji.
- Czy do pana nie przemawiają fakty?
- Owszem, ale zależy jakie fakty.
- Rob, opowiedz panu, cośmy przeżyli na granicy w Tarnopolu.

- Ni. to okropne!

- Opowiedz - prosika Teresa.

Robert wzbraniał się, ale ponieważ Artur nie odezwał się słowem /widać obawiał się czegoś, czemu nie będzie w stanie zaprzeczyć/, potarł dłońmi skronie i na złość gościowi zaczął:

- Uciekliśmy oboje przed Niemcami...

Graniczne miasto, skąd widać było w połowie września nie skoszone jeszcze koźchozowe zboże. Niemcy do Lwowa nie weszli wówczas, taki był widocznie punkt w pakcie Ribbentrop-Mołotow. Gdyby to było wiadome, ludzie by nie uciekali. Tutaj schroniły się resztki polskich oddziałów. Szesnastego września przez radio przemówił starosta. Podał wiadomość, przechodzącą najśmielsze marzenie. Następnego dnia, na podstawie umowy z polskimi władzami, wkroczy do miasta Armia Czerwona, aby jako sojusznik przyjść z odsieczą i razem z oddziałami polskimi we wspólnej walce rozpocząć zwycięski bój z Niemcami, odwiecznym wrogiem słowiańskich narodów. Starosta apelował do społeczeństwa, aby godnie przywitało sprzymierzeńca Polski. Miasto ogarnął szal radości. Tej nocy nikt nie spał. Z gałęzi świerków zbudowano bramę tryumfalną. Robiono porządki, wywożono śmieci. Od wybuchu wojny nie sprzątno w mieście. Beczkowozy polewały wodą marszrutę, którą wkroczy Czerwona Armia. Wywieszono sztandary biało-czerwone i czerwone. Grupa miejscowych komunistów włożyła czerwone krawaty i opaski z namalowanymi czerwonym stramentem sierpem i młotem. Csły rane gran Szopens i Czajkowskiego. Na rogatce czekały poczty ze sztandarami, delegacje cechów rzemieślniczych z chorągwiami, wojsko, okywatele. Zjawili się też przedstawiciele duchowieństwa rzymskokatolickiego i mojżeszowego. Punktualnie o dwunastej nadleciały sowieckie samoloty i zatoczyły koło nad głowami zebranych. Wymachiwano na ich powitanie rękami. Zakołysały się sztandary. Potem powietrzem wstrząsnął huk. Nadjechały sowieckie czołgi. Było ich dwadzieścia. "Idą - wołano radośnie. Orkiestra odegrała hymn polski i "Międzynarodówkę". Najpiękniejsza panna w mieście, w stroju krakowianki, miała w ręku ogromny bukiet czerwonych róż. Żona starosty trzymała bochen żytniego chleba. Pochyliły się wojskowe i cywilne sztandary. Starosta wygłosił przemówienie. Polski dowódca z obnażoną szablą złożył raport rosyjskiemu oficerowi. Rozległy się okrzyki: "Niech żyje".

- Nie będę opisywał zabawy. Trwała cały dzień do późnej nocy. A gdy ludzie wrócili do domów... - Robert zamilkł na chwilę. - Patrzyliśmy, nie zeuważeni, przez szparę w bramie. Do wyglądających oknem Rosjanie strzelali. Wszyscy się stało nagle, zniecka. Usłyszeliśmy okrzyk: "Zdrada!" Rosjanie otoczyli polskie oddziały i zażądali złożenia broni. Usiłowali rozbrajać przemoą. Natrafili na opór. Rosjanie oddali salwę z odległości kilku metrów. Polacy odpowiedzieli bezładną strzelaniną. Walka trwała krótko. Zbyt wielka była przewaga Rosjan. Nadjechały ciężarówki. Na jedne ładowano trupy, na drugie jeńców. Czołgi nie brały udziału w akcji. Stały u wylotu ulic na ryłku.

Artur słuchał z opuszczoną głową.

## X

Podczas nocnego dyżuru do pokoju korektorskiego wpadł sekretarz redakcji Szmer. Był wzburzony po sprzeczce z gwałcicielem. Gwałcił obdarzony był szóstym zmysłem, który zastępował mu znajomość języka polskiego. Przyszłany został w Winnicy, gdzie pewnie natk-



nał się na Polaków mówiących po polsku. To musiało mu na razie wystarczyć, póki się nie poduczy. Z nim było więcej kłopotów niż z innymi radzieckimi towarzyszami. To on kazał wprowadzić "Jewrej" zamiast "Zyd". A więc musiało być "jewrejski" teatr Idy Kamińskiej, albo pogrzeb towarzysza na "jewrejskim" cmentarzu. "Zyd" jest obraźliwe, a w Kraju Rad każda nacja, nawet Cyganie, pisze się z dużej litery i jest otoczona szacunkiem. Albo wyrażenie "socjalistyczny". Dlaczego nie "socjalist cki"? Powinno być "socjalistcki", bo to jest bliższe oryginałowi rosyjskiego. Szmer dzwonił do Wandy i jej interwencja zawsze pomagała. Zgodzono się natomiast pisać "bojownik", zamiast "żołnierz", co rzeczywiście brzmiało trochę jak "sołdet", słowo po rewolucji usunięto z języka rosyjskiego, zastąpił je szlachetny i bardziej odpowiedni dla czerwonoarmisty "bajec". Szmer pokłócił się dziś z gławliem z powodu artykułu Boya-Zeleńskiego o "Panu Tadeuszu". Gławlił zarzucał autorowi pominięcie walki klas w pańskiej Polsce, nieuwzględnienie przodującej roli proletariatu i znaczenia pierwszego w świecie państwa socjalistycznego. Poza tym ani razu nie pojawiło się w artykule imię Stalina. To nie jest przypadek ani przeoczenie. Wanda była w domu, "A to idiotka!" - krzyczała do słuchawki. "Odstraszy nam Boya, z takim trudem zgodził się napisać do "Czerwonego Sztandaru". Wanda Wasilewska zadzwoniła do Hryszczuka, a on do maczelnego.

- Na szczęście im wyższa instancja, tym szerszy horyzont - powiedział Szmer. - To jest pewne. - Sekretarz redakcji nie ukrywał że często mamy do czynienia z tępotą niższych szczebli. Dwadzieścia lat socjalizmu to niewiele w historii ludzkości. Trzeba jeszcze poczekać dziesięć, dwadzieścia lat. Trzeba wziąć pod uwagę, że rewolucja dokonała się w Rosji, " w tym morzu chłopstwa", jak powiedział Lenin, a nie w wysoko uprzemysłowionym kraju, jak Niemcy albo Anglia. Trzeba pracować w warunkach, jakie istnieją.

- Właśnie! - urędownął się Artur i spojrzął na Roberta. Szmer mówił jak natchniony. Nasze wysiłki i trudności są śmieszne w porównaniu z Krajem Rad. Siedemnasty września zaoszczędził nam wielu strasznych rzeczy... Myśmy rewolucję dostali w poderunku. Bez rozlewu krwi. Nikt się nie kłodził, że w Polsce, z przewagą drobniuszczanstwa, które swym wpływem ogarniało znaczną część proletariatu... te wszystkie wsteczne siły...

- Faszyzm, ONR, antysemityzm - przypominał Szmerowi Artur.

- Wiem, wiem... - niecierpliwiał się Szmer.

- Ale... - przerwał swoje milczenie Robert.

Wszyscy czekali co powie.

- Ale... - powtórzył Robert.

- Rozumiem - Szmer zrobił ruch ręką. - Ale... powtórzył po jedynawczo - oczywiście w przyszłej Polsce... naszej komunistycznej Polsce... badziemy mieli własną partię. Wtedy wszystko będzie zależało od nas. Żeby nie powtarzać pewnych błędów. Pamiętam jeden twój wiersz o tych, co przyjmą światło, przygniecione kamieniem nieludzkiego wieku. Tak, potrafimy wielu przyciągnąć, jeśli im pokażemy wzór nowej Polski, wolnej i sprawiedliwej. Za nami pójdzie większość narodu. A nieprzejednanych będziemy musieli odizolować. A część może się przekona, a może nie... Jednak Polacy są inni. Weźmy takiego towarzysza Konarskiego... to jest poziom.

- Ale jest małomówny - Robert Link uśmiechnął się kącikiem ust i potarł dłonią akronie.

- Za to potrafi powiedzieć, kiedy trzeba, co należy i jak należy.

- Właśnie - podokwycił Robert - na ostatniej "letucze"

trzeba było się odezwać. Przy omawianiu kolumny poezji, posłali się Bolesława wierszyki! Okropnie! I stawać je nam jako wzór, bo zostały przetłumaczone z ukraińskiego. Było mi wstyd. Jak nazwać takie zbiorowe milczenie?

- "Ciii. - Szmer zamachał rękami. - Ty, mój Robertcie, jesteś poetą. Dlaczego ty się nie odezwałeś? Miej o to do siebie pretensje, a nie do Konarskiego. To nie Konarski, ale wy poeci, tłumaczyliście te wiersze i zrobiliście tę kolumnę.

- To był materiał polecony z góry, przez naczelnego - powiedział Robert. - Ja nie mogłem, ale Konarski powinien się być odezwać... Jako były członek KC. Jego głos się liczy.

- Mnie się też te wiersze nie podobały - odezwał się Artur - ale pomyślałem sobie, może ja się na tym nie znam. Zresztą czy to jest najważniejsze?

- Masz rację, Artur, są rzeczy ważniejsze.

- Dla mnie to jest najważniejsze - Robert zarumienił się. - Za dobry wiersz warto nawet cierpieć.

- Owszem - przyznał Szmer - przydałby się dziś nowy Majakowski.

- Ale, niestety, Majakowski, wiadomo jak skończył - powiedział Robert.

- Niestety - Szmer wstał, aby się pożegnać.

x

Po nocnych dyżurach Artur sypiał dłużej.

Spał jeszcze mocno, gdy poczuł, że ktoś go budzi. Była to / pani Huttenowa. Wzywano go do redakcji.

Drżącymi rękami wciągał spodnie i sweter, z trudem zasznurował buty. Co to mogło znaczyć? Sprawa spalonego anonimu? A może czegoś gorszego...

Gdy wszedł do gabinetu, uspokoił się. Szmer przywitał go żartując:

- Sniło ci się coś słodkiego? Po minie poznać, że wręcz przeciwnie.

Artur odpowiedział bladym uśmiechem. Nie proszony usiadł. Serce wciąż mu jeszcze waliło. Z czoła starł pot.

- W taki mróz poty?

- Szybko biegłem - tłumaczył się Artur.

Sekretarz redakcji był w dobrym humorze. Radosny i życzliwy.

W mieście trwała wielka akcja organizowania nowych związków zawodowych. "Profspizok", jak mówił edoreńko. Zmobilizowano wszystkich redaktorów poza ponurymi "trzema muszkieterami". Nawet naczelnicy ich tak nazywał. Wiedzieli, ile są waroi, że nic nie robią, że zajęli pokój obok gabinetu Fedorenki i nudzą się. Chodzili po korytarzu i zaglądali do gabinetu Mańkowskiego, żeby trochę pogadać.

W mieście odbywało się wiele zebrań. Trzeba je obsługiwać. Nic tak dobre nie robi człowiekowi, jak bezpośredni kontakt z klasą robotniczą. Trzeba zobaczyć fabrykę, nieznaną świat pracy. A kto potrafi, niech napisze reportaż.

- Reportaż - wykrzyknął Artur. To dowód zaufania dla jego talentu pisarskiego. Egon Erwin Kisch nigdy z niego nie będzie. Ale w ogóle czy da radę? Nigdy nie przypuszczał, że spotka go takie wyróżnienie.

Otrzymał ołówki i notatnik.

- Będą z ciebie jeszcze ludzie. Artur - Szmer uściśnął mu mocno dłoń. - Ja ci to przepowiadam. Ty się tylko postaraj i nie

zawiedzi naufania.

Tak samo przepowiedziała mu pani Peczenikowa, matka rudego Juliusza, kolegi szkolnego, której dawał swoje pierwsze nowelki do czytania. "Zobaczysz, będziesz pisarzem" - mówiła - znanym człowiekiem. W przedpokoju w skórzanych fotelach będą czekali ludzie, żebyś ich przyjął". Był wtedy w szóstej gimnazjalnej.

x

Kobieta zełoga fabryki czekolady /dłatego Szmer pytał, czy mu się śniło coś słodkiego/ "Branka" znana była z boheterskiego strajku przed wojną.

Maszyny stały, nie było surowca, ale robotnice przychodziły do pracy jak dawniej.

Na podium postawiono stół i przykryto go czerwonym sukmem. Błyskawicznie rzucono szklone karafki z wodą. Obok stała szklanka.

Przyszły wszystkie robotnice i hala maszyn była pełna.

Przed zebraniem Artura zaproszono do gabinetu dyrektora, gdzie młodszy lejtnant z dwoma rombami na epoletach sprawdził jego legitymację "Czerwonego Sztandaru", wydrukowaną w języku polskim i ukraińskim.

Lejtnant zasiadł w prezydium, a obok niego robotnica w czerwonej chustce na głowie. Powiedziała po polsku, że dzięki Stalinowi robotnice będą mogły należeć do związku zawodowego.

Potem przemawiała mała czarna dziewczyna z płonącymi oczami. Nie należała widocznie do załogi, bo nikt nie wiedział, jak się nazywa, a może nie chcieli Arturowi powiedzieć, widząc że jest uzbrojony w notes i ołówek.

Wreszcie jedna robotnica siedząca w ostatnim rzędzie obok Artura szepnęła mu:

- To przecież ta Żydóweczka, czarna Dorka, co rozdawała nam przed wojną ulotki w fabryce.

Przemówienie jej było krótkie.

- Nowa profspółka "Branki" powstaje dzięki niezwykłej Krasnej Armii, dzięki wielkiemu genijowi ludstwa, naszemu ukochanemu wodzowi i rodzonemu ojcu - Josifowi Wissarionowiczowi Stalinowi, który przyjął nas do swojej drużby narodów...

Artur przestał notować.

Jakaś inna robotnica wstała i objaśniła, że będą głosować przez podniesienie rąk. Każda będzie przyjmowana osobno. Wszystkie mają prawo należeć do profspółki oprócz tych, które podczas psńskiej Polski okazały się niesolidarne. Można zadawać pytania. Przyjmowanie odbędzie się przez imienne wywoływania, według alfabetu.

Robotnica w prezydium w czerwonej chustce podniosła ze stołu arkusz papieru i zaczęła wywoływać:

- Antczak Barbara...
- Była solidarna - odpowiedziała cała sala. Wszystkie podniosły ręce.
- Butrym Zofia...
- Była solidarna - wszystkie podniosły ręce.
- Czech Idalis...
- Była solidarna - wszystkie podniosły ręce.
- Droczek Eugenia...
- Była solidarna.
- Florkowska Maria...
- Była solidarna.

Zaczęto już szurać krzesłami, zbierano się do wyjścia, kiedy mała czarna Dorka zawołała podnosząc rękę do góry:

- Towarzyszek, bądźcie godne dzisiejszego święta, żeście zostali przyjęte do profspiłki i poczekajcie jeszcze trochę, bo towarzysz lejtnant chce wam powiedzieć parę słów w tak uroczystej chwili.

Lejtnant wstał, obciągnął bluzę wokół pasa i podziękował zebranym. Pochwalił wysoki poziom świadomości, jaki wykaże zgodę kolektywu na przyjęcie wszystkich w stu procentach. Ani jedna robotnica nie pozostała poza związkami.

- Życzę sukcesów w pracy i życiu osobistym. Jestem pewny - zakończył lejtnant - że swym codziennym trudem okażecie wdzięczność Armii Czerwonej za wyzwolenie z wielowiekowej niewoli pańskiej Polski oraz wierność dla ukochanego wodza narodów, który prowadzi nas ku szczęśliwemu życiu, dla drogiego wszystkim ludzium pracy Józefa Wissarionowicza Stalina. Niech żyje Czerwona Armia! Niech żyje geniusz ludzkości, Józef Stalin!

- Niech żyje. - podchwyciła mała czarna Dorka. Za nią robotnica z prezydium w czerwonej chustce na głowie, a za nią parę głosów na sali.

x

Artur nie poznał swego króciutkiego artykułu.

Robotnice masowo brały udział w dyskusji. Wygłaszały przemówienia dziękując towarzyszowi Stalinowi za podanie bratniej dłoni i wyzwolenie Ukrainy Zachodniej spod jarzma kapitalizmu. Podejmowały entuzjastyczne zobowiązania uczciwą i wyteżoną pracą wnieść cegiełkę do budowy socjalizmu. Robotnice fabryki czekolady "Branka", które za czasów ucisku, nędzy i bezrobocia przysparzały swym trudem zwykłym kapitalistom, czują się teraz wolne i wzywają robotników innych zakładów pracy, żeby również poświęcili wszystkie siły dla przyspieszenia i zrównania kroku z naszymi braćmi budującymi zwycięsko socjalizm Kraju Rad.

Nie zmieniony był tylko podpis.

W drodze do gabinetu Szmera spotkał Mandla, nowego kierownika działu listów i nasłuchu radiowego.

- Czytałem twój reportaż - bardzo dobry.

- Nie ja to napisałem, idę właśnie w tej sprawie do Szmera. Wszystko było nie tak. Robotnice nic nie mówiły.

- Nie bądź śmieszny. To pierwsza lekcja, jak należy pisać. Niejedno jeszcze napiszesz - Mandel zniżył głos. - Nie ważne. Sikorski przemawiał przez londyńskie radio. W Warszawie rozstrzelania... wzywał do oporu.

Na korytarz wyjrzała ponura twarz jednego z "trzech muszkieterów".

- W czym dzieło?

- Niczego - odpowiedzieli równocześnie Artur i Mandel. Szmera nie było w gabinecie.

x

Artur usiadł w pustym pokoju korektorskim. Wpatrywał się w nie swój artykuł... To wszystko była prawda, każde zdanie było słuszne. Szkoda tylko, że robotnice tego nie powiedziały. Ale powinny były powiedzieć. Na tym polega słuszność. Słuszność idei. Tak należy pisać wrogom na przekór. Odczytywał swoje nazwisko.

Pierwszy raz widział je w druku. Artur Saiz - to on. Odcyfrowował każdą literę z osobna. Może gazeta dotrze do Racheli. Szkoda, że tego podpisu nie widzi ani Gold, ani Chren. Czy można wysłać wycinek do Palestyny? Matka i brat by się ucieszyli.

Pani Huttenowa usłyszała jego nazwisko przez radio, kiedy stała w ogonku po chleb.

- Czy pan naprawdę tam był? Ale te robotnice kochają światów. Pan tak musi pisać, inaczej by nie wydrukowali. A jak pan już jest taki redaktor, to niech się pan postara, żeby zabrali te głośniki z latarni. Ludzie nie wytrzymują nerwowo tego gadania od czwartej w nocy cały dzień.

X

Na "letuczce" redaktor naczelny Mańkowski pochwalił kolumnę reportaży, które pokazały entuzjazm wyzwolonych mas Lwowa. Między innymi wymienił Artura.

X

Pęczką przyszła koperta na jego nazwisko. Był w niej numer "Czerwonego Sztandaru" z 28 października i krótki liścik:

"Po przeczytaniu Pańskiego świetnego reportażu przesyłam dokument, z którego będzie Pan mógł czerpać dalsze natchnienie".  
Podpisany: "Życzliwy".

28 października 1939 roku Artur pracował już w redakcji, ale jako kierownik działu listów, i pamiętał tę datę, w tym dniu wybrani delegaci z całej Zachodniej Ukrainy głosowali za dobrowolnym przyłączeniem się do Ukrainy Radzieckiej. Uroczystość ta odbyła się w Teatrze Wielkim i mimo usilnych starań nie otrzymał karty wstępu na salę. Otrzymali ją tylko wybrani.

Artur zaczął czytać. Były to przemówienia delegatów:

"Jak nam dziś radośnie. Noc stała się dniem. Słońce świeci w nocy. To słońce stalinowskiej Konstytucji, najszlachetniejszej na świecie. Jest to prawdziwa konstytucja, nie taka jak polska, stworzona dla panów. Konstytucja stalinowska daje prawo robotnikowi i chłopu, żeby mógł głosować i żeby każdy mógł być wybrany. Dlatego moi wyborcy powiedzieli: chcemy stanowczo należeć do Radzieckiej Ukrainy, która jest krajem najpiękniejszej gospodarki wiejskiej na świecie..."

X

"Haniebny rząd Polski wszczął wojnę z Niemcami, naszymi sprzymierzeńcami..."

X

"Polscy panowie zmuszali Ukraińców, Białorusinów i Żydów do przyjęcia katolicyzmu..."

X

"Nad naszymi ziemiami, nad sieniami Zachodniej Ukrainy wze-

sza jasna zorza nowego życia. Rozpałło się szturcznie utworzone państwo polskie. Jego nikczemni kierownicy wolałi kraj krwawą i bezmyślną wojnę. Mienwyciężona Armia Czerwona uratowała nas na zawsze od krwawego okrucieństwa zdziczonej władzy polskiego państwa, od egzekucji, od mordów i tortur. Otwarto przed nami świetlaną drogę do szczęśliwego, kwitnącego życia, gdzie nie będzie nad nami świstał knut pana i jego zbirów. Uważano nas za bydko, określano nas pogardliwym mianem "chłop".

"Zapytuję wszystkich uczonych i filozofów: czy jest taka konstytucja, która zapewnia wolność słowa, wolność pracy, wolność zebrań, wolność pochodów ulicznych i demonstracji? /Okrzyki: "Niech żyje stalinowska Konstytucja."/ I dlatego w imieniu robotników Ukrainy Zachodniej wzywam was, towarzysze, przyjmijcie tę wielką konstytucję stalinowską. /Oklaski, okrzyki: "Hurra!"/.

"Życie nasze wydaje się nam przepiękną bajką, ale bajką nie jest, tylko rzeczywistością. Dziękujemy ci, mądry Stalinie, za to życie..."

x

"Ciężka była dola kobiety pracującej w pańskiej Polsce. Była bita, kałowana, zakuwana w żelazne kajdany/okrzyki na sali: "Hańba."/ Swój suchy chleb zraszała krwawym potem i łzami. Niech nasze kobiety pod kierunkiem naszego wielkiego nauczyciela i wodza wyzwolonych narodów, towarzysza Stalina, wejdą do kraju szczęśliwości, na spotkanie złocistego słońca..."

"Nie wstanie już z powrotem to dawne prawo, nie podniesie się nahałka, która siekła nasze ciało..."

x

Kto to mógł być? Robert? Teresa? Mandel?

Zmiał gazetę... Czy tylko on dostał taką pocztę?

Wszedł do pokoju redaktorskiego. Nie zauważył na żadnym biurku podobnej koperty.

x

Pani Huttenowa uchyliła drzwi, kiedy usłyszała kroki w korytarzu.

- Dobrze, że pan wrócił dzisiaj wcześniej do domu. Ma pan gościa.

Na tapczanie, przykryta kocem, leżała kobieta. Poczuli, że ktoś się zbliżył i otworzyła oczy z przerażeniem.

Była to Rachel.

- Z trudem ją poznał. Wyglądała jak po przebytej ciężkiej chorobie.

Pani Huttenowa przyniosła herbatę z cukrem i kanapki:

- To od komandira, kapitana Rybakowa, zakwaterowanego w sennionie. - Nie powiedziała o nim "sowieci".

Rachela dostała się do Warszawy pociągiem, furmanką a potem piechotą. O wyjeździe Artura z Ohrenem dowiedziała się od Golda. Doremnie nakłaniała szwagra, żeby z Szewą i córeczką wyszli z bombardowanego miasta. Szewa nie mogła wzięć Halinki i zostawić męża samego. Rachela przeżyła razem z nimi obłędnie i wkrótce nie Niemców. Ohren, któremu udało się wrócić, powiedział jej, że

Artur jest w części Polski zajętej przez Rosjan i że na razie granica nie jest strzeżona. Można chodzić bez obawy tam i z powrotem. Na nieszczęście zatrzymała ją rosyjska straż graniczna. Dopiero wczoraj wypuścili ją z więzienia. Niespodziewanie. Siedziała pod zarzutem szpiegostwa. Z początku byli bardzo grzeczni, radzili jej przyznać się od razu, im wcześniej, tym lepiej, aby sobie zaoszczędzić przykrości. Wszyscy się przyznają prędzej czy później. Podejrzany powinien pomagać w śledztwie dostarczając dowodów winy. W ten sposób niejeden uratował sobie życie. Wydając współwinnym okazuje prawdziwą skruchę. Pytali się, co oznaczają cyfry w jej notesie. Jaki to szyfr? Nie wierzyli, że to numery telefonów. Niemożliwe, żeby tylu znajomych miało telefony. Po paru przesłuchaniach skończyły się grzeczne słówka i zaczęły się groźby. Trzymano ją w te straszne mrozy w zimnej celi z kamienną posadzką, bez śniennika i koca. Wzywano ją nocą i odyškano nad ranem. Oficer śledczy wracał do dwóch pytań: Jakże było jej zadanie szpiegowskie - gospodarcze czy wojskowe? Za gospodarcze kara jest mniejsza, całkiem mała, prawie żadna, to po prostu szansa, którą daje ustrój socjalistyczny przestępcom. W przeciwieństwie do ustroju kapitalistycznego. Rozumie się: kto przyznał się do szpiegostwa gospodarczego, nie podpada już pod szpiegostwo wojskowe. I drugie pytanie: jakich ma znajomych? Bliższych i dalszych, z dokładnym adresem, wszystko jedno, czy są po tej stronie czy po niemieckiej. Podać profesję i w miarę możliwości dokładne życiorysy, zamknięcia, słabotki itd. Te życiorysy może pisać w celi. Dostanie papier i pióro, ale życiorys własny należy pisać w śledztwie, podczas przesłuchania. Życiorysy pisała codziennie, wciąż na nowo, Zmienione lub spuszczone słowo było dowodem obciążającym. Póki nie nauczyła się tekstu na pamięć. Raz odprowadzono ją pod ścianę straceń. W ostatniej chwili przybiegł oficer śledczy i zabrał ją do swego pokoju. Przyrzekł, że zostanie zwolniona, jeśli podpisze "nieważny papierek". Nic nie chciała podpisać. Naza jutrz zwolnili ją. Ale przedtem musiała zobowiązać się, że o swoim pobycie w więzieniu nic nikomu nie ópowie. Nikt nie może wiedzieć, że była aresztowana. Za niedotrzymanie tego przyrzeczenia grozi kara.

- I co ty na to? - spytała Rachela.
- Przykre, ale skończyło się dobrze.
- Tylko tyle?
- Dobrze, że przyjechałaś. Cieszę się. Bardzo się cieszę.
- Naprawdę?
- Czekałem na ciebie.
- Naprawdę?
- Naprawdę.
- Tak... Ale czy cię nie oburza?
- Co?
- Te ich metody.
- Nie zaczynajmy dawnych dyskusji. Rzeczywistość je rozstrzygnęła.
- Na czyją korzyść?
- Moją.
- Tak uważasz? Mam wrażenie, że jest przeciwnie.
- Jest jak jest, i tak być musi.
- Ja tego nie rozumiem. Może mi wytłumaczysz.
- To, co ciebie spotkało, jest przykre, już powiedziałem, Nie każdego to spotyka.
- Na szczęście - Rachela położyła rękę na jego dłoni.
- Zmizerniałeś.

- Pracuję po nocach. Jestem korektorem.
  - To wyczerpująca praca. Czy nie mogłeś sobie znaleźć innej?
  - Mam nadzieję, że mnie przeniosą na robotę dziennikarską.
- Może zacznę pisać reportaże.
- .. Tak? To dobrze. Cieszę się...
  - Dzwisz się? Myślisz, że nie potrafię?
  - Powiedziałam, że się cieszę. Zawsze miałeś pociąg do pi-sarstwa.
  - Pociąg? Tak to nazywasz?
  - Nigdy mi nie pokazywałeś, co piszesz. Wolałeś pokazywać swe nowelki jakiejś starszej pani. Dopiero jak się ukazało coś w "Chwili"...
  - Lepiej o tym nie wspominać.
  - Dlaczego?
  - To był organ żydowskiej burżuazji.
  - Aha! Masz rację... Powiedz mi lepiej, czy pani Huttenowa była dla ciebie dobra.
  - Owszem.
  - Mówiła, że czasem mnie wspominaliście.
  - Owszem.
  - Nie zimno ci?
  - Nie.
  - Poproszę o jeszcze jedną szklankę herbaty.
  - Dziękuję, nie trzeba.
  - Nie pytasz ani o Kubę, ani o Szewę.
  - Kuba? No cóż? Teraz dopiero pozna swą omyłkę. Pod Hitlerem.
- Teraz się przekona, co to jest hitleryzm.
- On nigdy nie mówił dobrze o Hitlerze.
  - Ale mówił źle o kimś innym...
  - I nie miał racji?
  - Rachel!
  - No dobrze. Masz rację..
  - To, co ty mówisz, jest straszne!
  - No dobrze... dobrze... Przepraszam cię. Czy musimy się kłócić przy pierwszym spotkaniu?
- Artur milczał.
- Jesteś zmęczony.
  - Dlaczego mi nie opowiesz o prześladowaniach, przede wszystkim Żydów... Musiałeś to widzieć w Warszawie. To czekało nas wszystkich, gdyby nie Związek Radziecki....
  - Spij - okryła go kocem. I tak w ubraniach przytulili się do siebie.

## x

Sylwestra obchodzili nad mokrymi płachtami gazety. Rachel i Teresa zaprzyjaźniły się i mówiły sobie po imieniu. Artur używał formy "wy", kiedy zwracał się do Teresy. Miał trudności z liczbą mnogą: "Byliście" czy "byłyście".

O północy wszyscy wypili "bruderszaft". Życzyli sobie wszystkiego dobrego. Tylko Artur nie zapomniał o Stalinie i wypił kielich za jego zdrowie.

Było wesoło. Rachel opowiadała o ideowym dokształcaniu kadry nauczycielskiej. Profesor uniwersytetu z Charkowa, historyk, mimo wyjaśnień audytorium, twierdził, że w Polsce faszystowskiej kobiety nie miały prawa głosu, a Lwów do wkroczenia Armii Czerwonej, należał do Austrii.

- Anglicy uważają, że Warszawa leży w Rosji - powiedział Ar-



tur.

- Ale oni nie wykładają historii na uniwersytecie w Oksfordzie - odparła Rachel.

- Llyod George nie miał pojęcia o geografii Europy wschodniej, kiedy była mowa o linii Curzona - bronił się Artur.

- To nie jest najgorsze - odezwała się Teresa. - Wczoraj w nocy zabrano z oficyny naszej kamienicy listonosza. Wystarczy, że ktoś był urzędnikiem państwowym, żeby został aresztowany. Nieraz słyhać krzyki na pustej ulicy. To wloką kogoś do ciężarówki.

Do pokoju korektorskiego zajrzał znany pisarz o krzaczastych brwiach i przekrzywionej głowie na sztywnym karku. Uchylił drzwi i spytał, czy można. Miał nocny dyżur. Spytał, czy korekta przewiduje jeszcze jakieś poprawki.

Zaproszono go do środka. Robert nalał mu kieliszek wódki. Teresa poczęstowała go kanapką z kiełbasą i ogórkiem.

Robert znów się z nim trącił. Lubił wypić. Teresa liczyła każdy jego kieliszek.

- Dziś Sylwester - usprawiedliwił się Robert.

Wkrótce butelka była pusta.

- Dlaczego ich wiersze są takie straszne? - spytał Robert znanego pisarza.

- Czas Chlebnikowa minął - odparł znany pisarz. - Pług historii cwałował bruzdę i na powierzchnię wydobyła się warstwa denną. Uczą się dopiero alfabetu wiersza. Za dwadzieścia lat, a może więcej, wybuchną talenty większe niż Puszkina. Nastanie złoty wiek poezji. Nowa poezja zawojuje cały świat i utoruje drogę naszej ideologii. Na początku było słowo.

- A Majakowski?

Znany pisarz zastanowił się, podtrzymał palcem wysoko podniesioną brew.

- Czy była to nieszczęśliwa miłość? - pytał Robert.

- Nie wiem.

- Akt rozpaczny?

- Jak każde samobójstwo. Jesienin...

- Mnie chodzi o rzeczywistość... rozczerwanie...

- Na to nie ma dowodów.

- Pasternak? Mandelstam?

- Przegrana przeszłość.

- Puazkin to też przeszłość. A jednak wyauwają go jak wywle-

szkę.

- To kulturalne dziedzictwo.

- Babel, Borya Filniak,.. dlaczego o nich głucho?

- To magma,.. Jest Szochow, Ilija Erenburg.

- Dostojewski?

- Ze swoim mistyczno-monarchistycznym zamroczeniem? To nie na dzisisj.

- Dlaczego? To też dziedzictwo.

- "Biesy" to pamflet na rewolucję i rewolucjonistów. To wariaci, prowoktorzy.

- Dziwnie mi to coś przypomina - uśmiechnął się Robert.

- Ostro sobie poczynasz, bratku - znany pisarz kłynał białkami oczu - bardzo dziękuję. Muszę zajrzeć do drukarni, zecerzy przytąskali morze wody. Potem ja będę odpowiadał.

Aresztowano redaktora Gałęckiego. To był ten wysoki poeta z garbionych plecach i czarnych, wypukłych oczach, który pisywał

do "Sygnałów" rewolucyjne, rozwichrzone wiersze. Jego przedwojenne eseje, bardzo wysoko cenione, spodobały się też Wołodi Bojmowi, którego przyjeżdżono do redakcji z Odessy: on jeden spośród radzieckich towarzyszy mówił i czytał po polsku: podnosił oczu do sufitu: "marksistowska analiza... bardzo... bardzo..."

Artura razem z redaktorem Gałęckim wydelegowano, aby obsłużyli zebranie studentów Politechniki. Miał przemawiać profesor Bartel, ale się nie zjawił. Zastąpił go profesor z Kijowa. Potem zabrał głos student trzeciego roku, Tomasz Wilk. Zaczął po ukraińsku, ale po paru zdaniach przeszedł na polski. W auli zaklaskało parę osób. Wilk przypomniał straszne czasy polskiej reakcji, kiedy na wyższych uczelniach hulala banda paniczków z zielonymi wstążeczkami i mieczykiem Chrobrego w klapie, a teraz nawet wielu z tych, co stali po drugiej stronie barykady, skupia się coraz bardziej pod zwycięskim sztandarem rewolucji. Bo socjalizm i nauka to jedno. Wiele nas czeka jeszcze trudu, zanim dorównamy przodkującej nauce Związku Rad. Po nim występowali inni mówcy. Wszyscy deklarowali swe przywiązanie do idei komunizmu, a jeden zwrócił się do przewodniczącego zebrania, profesora z Kijowa, z pytaniem, kiedy przewiduje się założenie Komsumołu na uniwersytetach i wyższych uczelniach. Na sali znowu rozległy się tu i ówdzie słabe oklaski. Pod koniec zebrania uchwalono rezolucję, wyrażającą wdzięczność niezwykłej Armii Czerwonej za przyniesioną wolność. Studenci Politechniki Kwowskiej, zapewniają Stalina, że gotowi są oddać wszystkie siły, a jeśli trzeba będzie, życie za szczytne ideały Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina. Rezolucję po ukraińsku z trudem odczytała młoda dziewczyna z pierwszego roku studiów.

Rezolucja została przyjęta jednogłośnie. Nikt się nie wstrzymał, nikt nie głosował przeciw.

- Skurwysyny! - powiedział Gałęcki, kiedy znaleźli się na ulicy Sapiehy.

- Kto? - spytał Artur.

- Wszyscy poza Tomaszem Wilkiem i paru innymi, których spotykałem w akademickiej "Świetlicy". Widziałeś, jaką miłością zapakali do Stalina? - Gałęcki odwrócił się i pogroził Politechnice pięścią - Żyletkarze! Ja o tym pisać nie będę.

Artur zrobił małą notatkę, którą jeszcze bardziej skrócili.

## X

Wokół pustego krzesła zrobiło się cicho. Nikt nie wymieniał jego nazwiska. Na całą redakcję padł strach. Na korytarzu nie zatrzymywano się, żeby pogadać. Unikano się nawzajem. Smer przybladł, ale rzucał uśmiechy na prawo i lewo. Były członek KC, Kornarski, nie chciał przyjąć żony redaktora Gałęckiego. Dostała się do naczelnego. Kazał jej siadać. Żona Gałęckiego powtarzała wciąż że jej mąż jest niewinny, że był prawdziwym komunistą. Naczelny zapewniał, że jeśli jest niewinny, nie spotka go żadna krzywda. I dodał "prawdziwy" komunistą? Wystarczy - komunistą.

## X

Stanowisko po Gałęckim zaproponowano Robertowi Linkowi. Link odmówił.

- Nie rozumiem - powiedział Fadorenko - u nas takich rzeczy nie ma.

- A ty byś przyjął? - spytała go Rachel.

Artur nic nie odpowiedział.

x

Artur napisał reportaż z fabryki.

Na marginesie maszynbpisu redaktor stylistyczny, poeta w szarej, brudnej marynarce i rozchełstanej koszuli, napisał: "dobry kawałek prozy".

Artur opisał sąd nad młodym robotnikiem za spóźnienie się i opuszczanie w pracy.

Oskarżycieli sprowadzono z miasta, na miejscu nie znalazł się nikt chętny / o tym Artur nie wspominał/ - dwóch byłych członków Komunistycznego Związku Młodzieży Zachodniej Ukrainy, rozwiązanego razem z partią. Chłopiec miał osiemnaście lat, dziewczyna dziewiętnaście, a więc tyle, co podstępny. Obrońców nie było. Dyrektor fabryki, towarzysz radziecki/ w gazecie ustalono, że zamiast "sowiecki", ma być "radziecki", na modłę ukraińskiego "radiańskij", poza tym bardziej w duchu języka polskiego/, zapytał, czy ktoś z obecnych nie chce się podjąć obrony, ale nikt nie chciał, co dyrektor ocenił potem jako przejaw świadomości klasowej oraz słusznego stosunku do szkodników wszelkiej maści. Jego propozycja wyniknęła z szeroko pojętej demokracji socjalistycznej, gwarantującej obronę dla przestępców nawet nie zasługujących na żadne względy. Ten passus wydrukowany był kursywą. Po pierwszej zmianie drugiej nie było, zamknięto bramę i robotników sprowadzono do hali maszyn. O tym szczególnie reportaż też nie wspominał. Żywo zostały opisane grupy mężczyzn, jak zbiorowe rzeźby rozmieszczone w różnych miejscach hali. Niektórzy nawet fantazyjnie usadowili się na maszynach jak na scenie teatru. Przerazenie porażające się ze strachu oskarżonego zostało w reportażu wytłumaczone szczerą skruchą i obawą, żeby nie zostać wypłutym z kolektywu jako obce ciało. "Oskarżony ujrzał nagle swoją samotność na tle zespolonej pogardą gromady. I patrząc na swe duże jak łopaty dłonie zrozumiał, że grozi im śmierć, i z jego robotniczej piersi wyrwał się okrzyk: co ja teraz z nimi zrobię?" Był to punkt kulminacyjny. Od tej chwili wszystko potoczyło się w stronę szczęśliwego rozwiązania. Okrzyk młodego robotnika powitany został oklaskami. Była to atmosfera sukcesu znamionująca życie i walkę w socjaliźmie. Końcowe zdanie: "Zbłąkama owieczka wróciła do zespołu" zdjął gwałt.

Artur znowu był bohaterem dnia.

- Szmer poklepał go po ramieniu. On od razu powiedział, że będą z niego ludzie, może nawet literat. Redaktor stylistyczny przyrównał ten obrazek do pawnej sceny w "Doli człowieczej" Andre Malraux.

Rachela spytała go, czy rzeczywiście było tak, jak to opisał.

Robert Link nic nie powiedział.

x

Artur myślał, szukał, ale nie mógł znaleźć tematu. Nagle, zupełnie niespodziewanie, doznał ośnienia. Zaczął pisać drząc z uniesienia. Wspomnienie z więzienia o mordercy z miedzianym krzyżkiem. Zeniósł opowiadanie do redakcji "Nowych Widnokręgów" Spodziewał się odpowiedzi natychmiast. Widział tytuł wydrukowany dużymi literami, a pod tekstem, swoje imię i nazwisko. To nia było już tłumaczenie ani reportaż!

Minał dzień, drugi, trzeci. Minał tydzień.  
 Redaktorem w "Nowych Widnokregach" był redaktor stylistyczny z "Czerwonego Sztandaru". Unikał wzroku Artura.  
 Artur milczał. A więc nie umie pisać. Trudno. Nie będzie pisarzem. Ale sam nie zapytał. Nie wytrzymał jednak i spytał.  
 - No, wiecie, towarzyszu Salz... - redaktor stylistyczny kręcił głową - coś w tym jest, ale...  
 Choć przygotowany był na najgorsze, mroz przeszedł mu po plecach. I po drodze do domu powiedział:  
 - Czekał, ja ci jeszcze pokażę.  
 Ale pisać przestał. Brakło mu tamatu.

x

Między Arturem a Rachelą dochodziło do sprzeczek.

x

Mroz nie popuszczał. Termometr wskazywał wieczorem minus czterdzieści stopni. Węgiel z piwnicy pani Huttenowej skończył się. Gayby nie kapitan Rybakow, nie byłoby czym palić.  
 - Sowiast, ale dobry człowiek - mówiła pani Huttenowa.  
 - nie skyszeliście nic tej nocy? Nie spałam, zbudził mnie ruch na korytarzu i jakias stukania. Otworzyłam lekko drzwi, patrzę: NKWD. Dobijają się do państwa Pilatów z naprzeciwnka. Zabrali całą rodzinę. Tylko staruszkę zostawili. Jak pan myśli, czy nie poprosić kapitana Rybakowa o interwencję? Co oni zrobili złego? Epokojni, skromni ludzie. Pan Pilat wysłużony już oficer, pani Pilatowa, nauczycielka w gimnazjum Strzałkowskiej, dzisei dobrze ułożone. Rybakow wie, że pan pracuje w redakcji, gdyby pan chciał być tak dobry i z nim pogadać. Panu by nie odmówił.  
 - Niestety, nie znam państwa Pilatów. Oficer...  
 - No to co, że oficer? - spytała Rachelą.  
 - Jak to? Ja ciebia nie rozumiem! Zadajasz dziwne pytania.  
 Oficer to wróg!  
 - A co winne żona i dzieci?  
 - Ja ciebie nie rozumiem.  
 - Jesteś fanatyk, jak twój dziadek. Krażyły o nim w rodzinie legendy. Ja ciebie też nie rozumiem. Niestety.  
 - Moja droga, rewolucja to rewolucja. Nie bawi się w subtelności.  
 - Tu nie było żadnej rewolucji. Przyszli do obcego kraju i zabierają niewinnych ludzi.  
 - Do obcego kraju?  
 - Moje dzieci, nie kłóćcie się - Huttenowa wyszła.  
 - Powtarzam: do obcego kraju.  
 - Wolałabys, żeby hitlerowcy przyszli?  
 - Nic bym nie wolała.  
 - Nie rozumiesz, że uratowali nas przed hitleryzmem?  
 - Dla Pilatów wszystko jedno.  
 - Ale nie dla mnie i nie dla ciebie.  
 - Może... Ale na resztę jesteś ślepy. Nic nie widzisz. Nie chcesz widzieć. Czy nie potrafisz...?  
 - Reszta? Reszta historia skazana na zagładę...  
 - Daj spokój z historią. Od waszych wielkich słów człowieka mdli. Przykrywacie nim nędzę.  
 - To etap przejściowy.

- Ile lat trwa ten etap? Tam, w kraju socjalizmu. Zresztą nie o tę nędzę mi idzie, ale o kłamstwo, do którego zmuszają, żeby wierzyć, i o krzywdę ludzką.

- Tak rozumuje mieszczański kołtun...

- Dziękuję.

- Masz przestarzałe poglądy.

- Co robić...

- Musisz je zmienić.

- Nie zmienię ich, nawet dla ciebie.

- To bardzo źle.

- Dla kogo?

- Dla ciabie i dla mnie.

- To znaczy, że...

- To nic nie znaczy.

- ... to znaczy że...

- Heł, to nic nie znaczy - Artur położył dłoń na jej rękę. - Proszę cię, nie gniewaj się.

- Czy ty myślisz?... Czy ty myślisz?...

- Że co?

- Że hic... że nic... - Rachelę zatrzymała dłoń, którą Artur chciał usunąć.

x

Ilekród wzywano go, padał na niego strach.

W gabinecie Szmera siedział były członek KC KPP Konarski i gość z młasta. Był to towarzysz Alles. Znali się ze spacerów po podwórzu Brygidek. Był źle ubrany, schudł, poszarzał na twarzy. Miał ostrożne ruchy - efekt długich lat konspiracji i więzienia. Silił się na dowcip. Chciał zobaczyć nowego literata.

- Kurczę wykluko się z jajka - mówił poprawną polszczyzną z żydowskim akcentem. - Dobrze napisany kawałek o tym "łodyrze". Z partyjnych pozycji.

Kiedy przaszadł na poważny temat, zniżył głos do szeptu. Z Konarskim był na "ty".

- Już od dawna szykowałem się, żeby się z tobą spotkać. Ty-le się nazbierało, że już czas, abyśmy porozmawiali ze sobą jak towarzysze z towarzyszem, szczerze i otwarcie.

Konarski spojrział kątem oka na Artura.

- Nie szkodzi. Znam towarzysza z więzienia. Może zostać. Alles wyjął paczkę "Biełomorów" i podsunął ją Konarskiemu, Szmerowi i Arturowi. Wszyscy odmówili. Byli niepalący. Alles zaciągnął się mocno dymem. - Tak, postawmy sprawę pohanbionej - Alles usmiechnął się - partii. Było, minęło, tak stać się musiało i tak dalej... Nie dochodzono wtedy przyczyn, tym bardziej nie będzie-my tego robili teraz. Dialektycznie godziliśmy wiarę w nieomylność Kominternu z wewnętrznym oporem przeciw komentarzowi o prowokato-rah i szpiegach imperializmu.

- Do czego zmierzasz? - spytał Konarski.

- Do tego, co my wszyscy. Do wszczęcia kroków w sprawie re-habilitacji KPP.

- Na to jeszcze nie czas. Władza radziecką musi okrzepnąć na tych ziemiach. Na wsi i w mieście różne są żywioty. Nie wolno na to zamykać oczu.

- Powiedz to radzieckim towarzyszom. Faworyzują ukraińskich nacjonalistów, oduwiają polskich komunistów, którzy do końca będą wierni partii. Nie dopuszcza się ich do ważniejszych stanowisk.

- Zdaje się, że to byłś główna przyczyna dzisiejszego spot-

kania - przez cały czas milczący Szmer odezwał się wreszcie.

- Owszem. To też. Wielu wybitnych komunistów spełnia podrzędne funkcje, bywają towarzysze w ogóle bez pracy.

- Bo każdy z nich myślał, że po rewolucji zostanie komisarzem - powiedział Szmer z lekkim grymasem ust.

- Nie widzę w tym nic złego - odparł towarzysze Alles.

- Natomiast jest upokarzające, że niektórzy towarzysze radzieccy wolą kombinatorów i spryciarzy.

- Nasz naczelny redaktor, Mańkowski, mówi na to: "niez sie-mji bez uróda", prawda? - zwrócił się Szmer do Komarskiego.

- Wasz naczelny - Alles machnął ręką - ale mniejsza z tym. Jesteście gazetą komunistyczną, która musi być czuła jak sejsmograf, dlatego sygnalizuję wam duże niezadowolenie.... Nasi sympatycy sprzed wojny są rozczarowani, niektórzy towarzysze też. Władza radziecka traci najlepszy materiał ludzki. Na którym mogłaby się oprzeć w krytycznym momencie. Nikt nie może przewidzieć rozwoju wydarzeń.

- Co to znaczy? - były członek KC KPP, towarzysze Komarski, pogłaskał się po łysinie. Wodniste oczy zmętniały. - Czy idzie ci o Niemcy? Byłoby to niewiara w słuszność stalinowskiej linii politycznej. Wojny z Niemcami, na którą liczy imperializm angielsko-francuski, nie będzie. Zostały zbudowane fundamenty trwałej przyjaźni między ZSRR i Niemcami. A jeśli idzie o nacjonalistów ukraińskich, to są pewnie przegięcia, ale ich trzeba pozyskać, a to jest kwestią czasu. Niektórzy nasi kochani towarzysze są zbyt niecierpliwi, typowa nerwowość pewnej części byłych towarzyszy partyjnych.

- Dość dużej - z uśmiechem dodał towarzysze Szmar.

#### X

- Priwiet maładomu czełowieku - Szmer naśladował gruby głos naczelnego. - Towarzyszu Szalz, czeka was odpowiedzalne i zaszczytne zadanie. We wsi Hurnie czy Durnie - sekretarz redakcji błysnął kalamburem - pod Sokalem, tuż nad granicą niemiecką, powstała pierwsza komsomolska organizacja. Trzeba zobaczyć, pogadać, napisać. Mam nadzieję, że zrobisz to jak należy. Pojedzie też redaktor ukraińskiej gazety "Wilna Ukraina". Samochód szynowej marki radzieckiej "Amo" zepsuł się, więc do Sokala pojedziecie pociągiem, a tam będą na was czekać sanie albo inny środek transportu.

Na dworcu w Sokalu nikogo nie było. Do wsi mieli niedaleko, niecałe dwie godziny piechotą.

W Hurniach nikt się ich nie spodziewał. Ale wiadomośc, że przybyli redaktorzy ze Lwowa, rozszalała się mielęm.

Wylegitymował ich miejscowy milicjant w czerwonej czapce. Kręcił głową, ale pokazał im, gdzie wójt mieszka.

Gospodarstwa były zasobne. Bielone chaty, białe ściany, zielone ramy okien. A w ogródkach przysypane śniegiem krzaki bzu. Z furkotem wlatywały gołębie, psy szczekały na uwięzi, a przez zamaznięte szybki z oddechanyimi planami patrzyły oczy.

Wójta nie zastali. Pojechał gdzieś. Żona nie wiedziała dokąd. Wpadł zziębnięty młodzieniec, zdjął futrzana czapkę i przeczeszał palcami wiechę włosów. Był to syn wójta.

Spytał, w jakiej sprawie przyjechali. Ojca nie ma i szybko go nie będzie. Szkoda czekać. We wsi byli już NKWDowcy i szukali u chłopów, ale nic nie znaleźli. Młodyjciec nie podnosił oczu, przyglądał się swoim paznokciom.

- Jak to... szukali? Czego szukali? - spytał Artur.

- Nie wiem - powiedział młodzieniec - szukali.
- Czego szukali? - powtórzył redaktor "Wilnej Ukrainy".
- A ja skąd wiem?! - odparł syn wójta.
- Ale my nie jesteśmy od szukania - Artur starał się mówić po ukraińsku. - Przyjchaliśmy jak przyjaciele do młodych towarzyszy. Chcemy z nimi pogadać. Po komsomolsku. Tutaj powstała pierwsza organizacja Komsomolu, prawda?
- Sekretarzem jacezkiej komsomolskiej był właśnie syn wójta.
- Jeśli trzeba, można raz dwa zwołać zebranie - powiedział.
- W sieni ktoś strzepywał śnieg z butów.
- To właśnie oni - ucieszyl się syn wójta.
- Do chaty weszło pięciu rósłych, śniadych chłopców. Byli podobni do siebie. W rękach trzymali futrzane czapki. Zatrzymali się przy drzwiach. Spoglądali na swego sekretarza i na gości.
- Moi towarzysze - przedstawił ich syn wójta.
- Artur podszedł do nich, każdemu podał rękę z mocnym uściskiem i uśmiechał się. Redaktor "Wilnej Ukrainy" zrobił to samo.
- Komsomolcy odwracali oczy albo patrzyli w sufit.
- Artur nie wiedział, od czego zacząć. Cekał, aż odezwie się redaktor ukraiński. On pierwszy powinien przemówić. Ale miał rozbiegane oczy.
- Zagaik Artur:
- Przyjechaliśmy do was... Posłały nas redakcje "Czarwonego Sztandaru" i "Wilnej Ukrainy".
- Siadajcie - syn wójta pokazał im stół na środku izby.
- Wójtowa wyciągnęła przypieczone pierogi z pieca.
- Spróbujcie - zachęcała - spróbujcie.
- Otwierajcie przed siebie, towarzyszu sekretarzu - Artur zwrócił się do syna wójta. Mówił po polsku. - Jako porządek dzienny proponuję, jeśli zostanie przyjęty głosowaniem, jeden punkt: zadania organizacji komsomolskiej na wsi na tle ogólnej sytuacji. Są jakieś inne wnioski?
- Nie rozumiem - syn wójta siedział z opuszczonymi oczyma. - Wony także nie rozumieją.
- Skuszenie. Wolałem mówić po polsku, niż kaleczyć piękny język ukraiński. Dam tylko krótki zarys sytuacji międzynarodowej a towarzysze redaktor z "Wilnej Ukrainy" posłuchajcie nam za tłumacza.
- Tu jest Ukraina i nie chcemy słuchać polskiego języka - syn wójta podniósł głowę i błysnął czarnymi oczami.
- Het z polskojęzycznego - krzyknął młody człowiek w rozpiętym kożuchu i bogato wyszywanej koszuli.
- Żydzi po polsku umieją, a po ukraińsku nie - powiedział syn wójta.
- W zasadzie towarzysze ma rację - Artur starał się uśmiechnąć. - Będziemy musieli opanować język Tarasa Szewczuki i Iwana Franki, ale na razie nie należy zapominać o międzynarodowej solidarności proletariatu bez względu na narodowość. Rozumiem, byliście pod polską okupacją, ale to była burżuazyjna Polska, robotnik polski był i jest waszym sprzymierzeńcem. Należy pamiętać, że nasza ideologia potępia wszelki szowinizm. Lenin najsurowiej potępiał wielkoruski szowinizm...
- To już lepiej gadajcie po żydowsku - przerwał Arturowi syn wójta.
- Piątka chłopców zachichotała. Ale natychmiast uciszyl się, kiedy spojrzeli na nich syn wójta.
- Może wy byście zabrali głos - Artur zwrócił się do redaktora "Wilnej Ukrainy".
- Zapadło milczenie.
- Artur znów przemówił:

- Moi drodzy - zaczął łamanym ukraińskim językiem - jsk dawno istnieje wasza komsomolska organizacja?  
 - Nie bardzo dawno - odpowiedział syn wójta.  
 - Jaki jest cel tej organizacji?  
 - Wiadomo jaki...  
 - Ale konkretnie jaki? Jesteście młodzi, nie macie doświadczenia. Chcemy wam pomóc.  
 - Bardzo dobrze, ale na razie nic nam nie trzeba.  
 - Co robicie?  
 - Zależy...  
 - Prowadzicie propagandę? Agitujecie wśród młodych? A może wśród starszych też?  
 - Rozumie się.  
 - Czy pomagaliście w akcji wyborczej i wyjaśniającej historyczną ważność przyłączenia Ukrainy Zachodniej do Radzieckiej?  
 - Rozumie się.  
 - Czy już wtedy byliście zorganizowani w Komsomole? - spytał redaktor "Wilnej Ukrainy".  
 Syn wójta udawał, że nie słyszy pytania.  
 Wyreczył go Artur:  
 - Nie musieli należeć do Komsomolu. W agitacji brało udział wielu nie zorganizowanych i bezpartyjnych.  
 - Właśnie - powiedział syn wójta.  
 - Czy przerabialiście stalinowską Konstytucję z 1935 roku?  
 - Tego jeszcze nie robiliśmy, ale zrobimy.  
 - Macie tekst? Jeśli nie, przysłamy wam ze Lwowa - Artur zanotował sobie na kartce. - Czy nie odczuwacie jakichś braków? Na przykład broszury o życiu kolchozowym w ZSRR?  
 - Dostajemy z miasta gazety.  
 - Jakiej?  
 - "Radiańska Ukraina".  
 - Z Kijowa? - spytał redaktor "Wilnej Ukrainy".  
 - Nie, z Sokala.  
 Redaktor "Wilnej Ukrainy" uśmiechnął się.  
 - A "Wilną Ukrainę"? - spytał Artur.  
 - Też. Ale wolimy "Radiańską Ukrainę".  
 - Tak? - spytał redaktor "Wilnej Ukrainy", ucieszony.  
 - Czy organizujecie wspólną "czytkę"?  
 - Co to znaczy?  
 - Wspólne czytanie gazet.  
 - Tak czasem.  
 Mołojec w rozpiętym kożuchu i bogato wyszywanej koszuli podniósł dwa palce.  
 - Czego? - spytał syn wójta.  
 - Chciałbym wiedzieć, czy redaktor "Wilnej Ukrainy" jest stąd, nasz tutejszy, czy stamtąd?  
 - Jaka różnica? - uśmiechnął się Artur.  
 - Bo jego mowa jest inna niż nasza.  
 - Jestem z Żytomierza.  
 - Opowiadają, że tam rozstrzelują prawdziwych Ukraińców.  
 - To kłamstwo! - krzyknął redaktor "Wilnej Ukrainy".  
 - Bzdura - Artur schował kartkę papieru do kieszeni.  
 - Tak słyszeliśmy - odezwał się inny chłopiec, w wysokich, wygłancowanych butach, jakie nosili polscy oficerowie.  
 On pierwszy poderwał głowę. Zbliżył się łoskot maszyny. Młody chłopiec pokręcił okiennicę, wychylił głowę i natychmiast cofnął się. Przytrzymał palcami i syn wójta, a za nim reszta, jeden po drugim, znikli za drzwiami drugiej izby.



Kiedy wpadli NKWD-owcy z rewolwerami w rękę i krzykiem "ruki wlicher!", zastali tylko wójtową i obu redaktorów. Po wylegitymowaniu ich kazali im stanąć pod ścianą. Filnowaś ich jeden NKWD-owiec, a czterej przeszukiwali dom, piwnicę pod kuchnię i gospodarckie zabudowania. Nikogo jednak nie znaleźli.

Redaktorów zabrali ciężarówką do Sokala. Badano ich, póki "Czerwony Sztandar" i "Wilna Ukraina" nie potwierdziły przez telefon, że obaj są ich pracownikami.

Młodszy lejtnant postawił butelkę wódki. Żalił się, że nie ma czasu na czytanie. Też bardzo by chciał coś napisać. W ZSRR pisarze są szanowani, zarabiają masę pieniędzy, mają dache pod Moskwą, dostają stalinowskie premie i nic nie robią.

- Macie szczęście, żeśmy przyszli w porę - młodszy lejtnant stuknął się z Arturem kieliszkiem i zakąsił kwaszonym ogórkiem. - Wczoraj znalezione w lesie hurniowskim dwóch zabitych Polaków. Przede wszystkim zabijają komunistów. To banda dywersancko-szpiewgowska. Udawali komsomolców, żeby zmylić.

- Od razu mi tam coś śmierdziało - powiedział redaktor "Wilnej Ukrainy".

- Kto was tam posłał? - spytał młodszy lejtnant. - Jakiś duren albo szpieg.

- Może zwykły brak czujności - odezwał się redaktor "Wilnej Ukrainy".

- U nas nie ma takiego tłumaczenia: brak czujności. Ale wszystko się wykryje. Winny się znajdzie - zapewnił młodszy lejtnant.

- U nas nie było, żeby winny się nie znalazł. W tym rzecz. Wielkie szczęście. Prawda nie spodziewali się redaktorów ze lwowa i nie wiedzieli, co z wami zrobić. Wójt uciekł do Niemiec przez granicę. Ale jego też dostaniemy. Ale o tym wszystkim nikomu ani słowa. Tylko na śledztwie.

## X

- Ja ciebie nie posyłałem - Szmer był błydy jak ściana. - Był telefon z "Wilnej Ukrainy", że od nich też ktoś jedzie. Niach się "Wilna" zajmie dochożeniem. Stamtąd był telefon i oni mają większe możliwości. Zresztą spotkała nas nieprzyjemność. - Sekretarz redakcji podsunął mu gazetę z felietonem Konarskiego.

Artur już o tym wiedział. Po powrocie z Sokala wszystko opowiedziała mu Rachel. Była chora z przerażenia. Leon Hubel znał szczegóły, bo był podczas nalotu NKWD w lokalu. Między innymi aresztowano Broniewskiego. Właśnie jemu był poświęcony prawie cały felieton byłego członka KC. Wielki poeta proletariacki okazał się zamaskowanym zdrajcą, dwójkarzem, oficerem Piłsudskiego.

- Co o tym sądziesz? - spytał cicho Szmer.

- Co ja mogę sądzić?

- No a ten?... - Szmer pokazał palcem nazwisko znanego pisarza.

- Nigdy bym nie uwierzył.

- Dlaczego?

- W Sylwestra zaszedł do pokoju korektorskiego. Mówił bardzo ciekawie o poszji, o Majakowskim, rzeczy skusne, z naszego punktu widzenia. W naszym duchu. Na linii. Robił pozytywne wrażenie.

- Trockista.

- Na pewno prawda, choć trudno uwierzyć.

- Bo się maskował. Radzę ci, bądź ostrożny. Nigdy nie mów "trudno uwierzyć".

Zaterkotał telefon. Dał się słyszeć gruby głos Mańkowskiego. Szmerowi zadrzała ręka:

- Da, słuszaj, Nikołaj Pawłowicz, se jczas budu - Szmer powoli odłożył słuchawkę. - Sokal - mrugnął powiekami - poczekaj tutaj, może będziesz potrzebny.

Po dziesięciu minutach Szmer wrócił od naczelnego. Miał rację.

- Jesteś proszony - Szmer zrobił nieokreślony ruch ręką - potem zajdź do mnie.

Naczelnicy ssal mokry ustnik zgaszonego papierosa. Fedorenko przerwał pisanie. Obok niego opierając się o blat stołu, siedział młody człowiek w czapce zsuniętej na tył głowy, w wojskowej rubaszce i w wysokich butach. Był to jednak cywil.

- Opowiedzcie nam, jak to było w Sokalu - zaczął Mańkowski. - Nic nie opuszczaj, każdy szczegół może być ważny. Wszystko po kolei, dokładnie.

Relacja Artura była krótka.

Wszyscy trzej mieli niezadowolone miny.

- Zaczniemy w takim razie od końca - zażartował Fedorenko. - Czy towarzyszu, będąc w Sokalu, starał się dowiedzieć, kto pomógł bandzie dywersantów zorganizować komsomolską jacejkę?

- Nie dowiadywałem się.

- A redaktor "Wilnej Ukrainy" też się nie dowiadywał?

- Zdaje się, że nie.

- "Zdaje się" nie nie znaczy - odezwał się cywil w wojskowej rubaszce. - Trzeba wiedzieć. Wiedzieć dokładnie. I na pewno.

- Czy byliście z Hrycenką o cały czas razem? - spytał Fedorenko.

- Tak.

- Czy Hrycenko ani razu nie wychodził w Hurniach albo w Sokalu? Na przykład za potrzebą? - cywil w wojskowej rubaszce nasyłał szeroki daszek czapki na oczy. - Może tego też nie pamiętacie?

- Dobrze pamiętam, że w Hurniach towarzyszu Hrycenko nie wychodził z chaty wójta.

- A w Sokalu?

- W Sokalu czekaliśmy kilka godzin na pociąg. Więc mógł na chwilę się oddalić.

- Czy u wójta nie zauważyliście nic podejrzanego? Czy Hrycenko nie dawał dywersantom jakichś znaków oczami albo w jakiś inny sposób?

- Nie zauważyłem.

- Jak się zachowywał? Co mówił?

- Mówił bardzo mało. Przeważnie milczał.

- Mało mówił? Ale jego głos przez telefon poznałibyście?

- W telefonie głos się zmienia.

- Czy nie mówił, kto telefonował z "Wilnej Ukrainy" do towarzysza Szmera, do redakcji "Czerwonego Sztandaru"?

- Nie mówił.

- Czy dywersanci mieli broń przy sobie?

- Nie było widać. Mogli mieć broń ukrytą. Byli w kożuchach.

- Ile upłynęło czasu od ucieczki dywersantów do chwili przybycia przedstawicieli władzy radzieckiej?

- Niedużo.

- Dokładnie ile?

- Pięć minut.

- I tak od razu sześcieli? Jak to możliwe? Zimą? Bez śladów na śniegu?

- Jest to dziwne. Rzeczywiście.
- A więc wy sami uważacie, że to dziwne. Czy nikt nie strząśnął się wprowadzić pogoni w błąd? Przypomnijcie sobie dokładnie, jaka była sytuacja.
- Zostaliśmy postawieni twarzą do ściany z rękami założonymi na tył głowy. Nie dali się nam wylegitymować.
- Czemu Hrycenko nie powiedział kim jest? Że nie jest tutaj szyć? A wy jako redaktor nie spisaliście się. Jak na redaktora za mało wykazaliście czujności. Co o tym sądzicie, Nikołaj Pawłowicz?
- cywil w wojskowej bluzie zwrócił się do naczelnego.
- Okrągła, tłusta twarz Mańkowskiego zrobiła się czerwona jak burak.
- Rozumie się.
- Na razie tyle - cywil w wojskowej rubaszce znów nasunął sobie czapkę na oczy. - Jeśli trzeba będzie, wezwiemy.

Szmer czekał u siebie w gabinecie.

- No jak tam było?
- To było prawdziwe śledztwo.
- Pytali o mnie?
- Nie. O Hrycenkę. Czy poznałbym jego głos przez telefon.
- Mnie też o to pytali. Na pewno jest już aresztowany. Bo inaczej nie wypytywaliby tak o niego. Czy ty nie zauważyłeś u niego nic podejrzanego?
- Nie.
- Tak powiedziałeś?
- Pewnie.
- Szukają przeciw niemu materiału.
- Mówili, że mnie jeszcze wezwą.
- Nie przejmuj się. Cała sprawa nie trzyma się kupy. Ktoś musiał równocześnie dzwonić do mnie i do "Wilnej". Kto posłał Hrycenkę do Sokala? Gdyby dzwonił do mnie Hrycenko, toby on nie pojechał do Hurniów. Powiedziałem im to. Tego ty masz się też trzymać. Zresztą zadzwonię do Wandy.

Kolumny brano na kalendar i korektorzy byli wolni.

Artur wracał do domu. O tej porze było wciąż poniżej czterdziestu stopni. Zapierało dech w piersiach.

Według nowego, moskiewskiego czasu była siódma. A więc na zegarze świt. A wokoło panowała głęboka, styczniowa noc. I tylko przez niedopatrzenie, a raczej złośliwość kleru wieża kościoła bernardyńskiego wybijała piątą.

Pani Huttenowa przeklinała tę dwugodzinną różnicę. Dobrą mo- że dla azjatów, ale nie dla Europejczyków. Żeby tylko ludziom o- brzydzić życie.

- Oni się z nikim nie liczą - potakiwała Rachelą.

Latarnie paliły się tylko na rogach. Głośniki na skupach po- dawały dziennik poranny po ukrańsku, a potem po polsku. Ich treść dodawała otuchy na cały dzień. Kraj Rad rozkwitał coraz bardziej, zbliżała się era całkowitego dobrobytu, ZSRR prześcigał w wielu dziedzinach Amerykę i otwierała się droga do komunizmu. Część mu- zyczna tchnęła radszcią - skoczna, ludowa i dziarska pieśń żół-

nierska.

Rzadko jeździły przepelnione tramwaje. Spieszono do kolejek, przeważnie kobiety, mężczyźni szli do fabryk. Przed sklepami z chlebem ogonki ustawiały się już w nocy.

Rachela wstała i zaparzyła herbatę. Potem w szlafroku wróciła pod koc na tapczan.

Artur zgasił światło, położył się obok Racheli, zamknął oczy i udawał, że zasypia.

- Spisz? - spytała Rachela.

- Nie.

- Nie mogą ci przecież nic zrobić.

Artur nic nie odpowiedział.

- Gdyby mieli cię zabrać, nie czekaliłoby tak długo.

- Tak sądzisz?

- Hrycenko wcale nie został aresztowany.

- Skąd wiesz?

- Od Leona.

- Gdyby tak było Szmer by wiedział.

- Szmer nie wszystko musi opowiadać.

- Ale to by powiedział.

- Hrycenko został odwołany.

- Tak. Co oni tam z nim zrobią, nie trudno się domyślić.

Tutaj nie chcieli robić hałasu.

- Mówisz zupełnie, jakbym słyszała Leona. On właśnie mówił, że nie mogli go tutaj aresztować, bo wyobrażasz sobie jakie by to zrobiło wrażenie. Taki skandal w samej "Wilnej Ukrainie".

- Ale Broniewskiego nie wahali się aresztować - powiedział Artur.

Zrobili z tego awanturę pijacką.

- Konarski w felietonie nazwał rzecz po imieniu.

- To oszczerstwo. Wolisz oszczerstwo od kłamstwa? - Rachela usiadła i objęła rękami kolana.

- Czy Broniewski nie był Oficerem Piłsudskiego?

- Tyś oszalał!

- To są fakty!

- A cała jego poezja się nie lioży?

- Liczy się przeszłość polityczna, a z tego całkowicie wyzwolić się nie można. Niestety!

- Jak przeszłość? Cóż złego w tym, że był w Legionach? Zresztą słyszałam, że nawet Wanda Wasilewska była złą z powodu artykułu Konarskiego. Szmer się z nim też nie zgadzał.

- Oni mogą sobie na to pozwolić, nie ja - wyrwało się Arturowi.

- Dlaczego? Czy u was wszyscy nie są równi?

- Równość to pojęcie burżuazyjne.

- Ciekawe!

Artur wybuchnął:

- Ciekawe! Ciekawe! Tak, ciekawe!

- A wywózki też uważasz za słuszne?

- Mogą wydarzyć się pomyłki.

- Kiedy byłeś w Sokalu, z naszej ulicy wywieziono setki ludzi. Wpadali do wszystkich domów równocześnie, wyciągali z łóżek i wsadzali do ciężarówek. Wszędzie bałagan, a tu nagle doskonała organizacja.

- Owszem, zgadza się.

- To ci sprawia radość?

- Do pewnego stopnia. Jesteś zadowolona?

- Noc w noc zabiera się tysiące ludzi. Oddziela się męża od

żony, rodziców od dzieci. Naprzód kazano im głosować za przyłączeniem do Rosji, a potem...

- Niebezpieczny element. No cóż...
  - Widziałam na dworcu ten niebezpieczny element.
  - Coś ty tam robiła?
  - Rzuciałam chleb do otwartych wagonów. Żołnierze rozpędzali nas, ale wracaliśmy. Śmiałyśmy się. Udawałyśmy, że to zabawa.
  - Nie podoba mi się taka zabawa.
  - Tak jak oficerowi NKWD, który nas wypędził.
  - Nie rozumiem.
  - Doskonale rozumiesz.
- Zegar ścienny z mosiężnym wahadłem wybił siódmą. Ryko wciąż ciemno.

Rachela wstała, śpieszyła się na kurs doskonalenia pedagogów.

Teresa nie zostawiała Roberta samego. Przyprowadzała go jak dziecko i zostawiała z nim na dyżurze. Siedziała z boku milcząca i robiła sweter na drutach. W przerwie między jedną zesłaną na dół kolumną a drugą przyniesioną z drukarni starała się dodać mężowi otuchy. Robert ostanie jeszcze bardziej przybladł i coraz częściej krzywiąc się i zamykając ciemnobłękitne oczy pocierał silnie skronie.

- Wywożą tylko tych, którzy jako "bieżący" zapisali się na powrót - mówiła Teresa. - I nie dostali paszportów.
- Jeśli woła Hitlera - wtrącił Artur.
- Chcę wrócić do siebie, a nie do Hitlera - odparła Teresa.
- To jednak znaczy, że woła Hitlera.
- Woła swój kąt i swoje łóżko. A nie poniewierać się u obcych ludzi. O głodzie i chłódzie. To nie jest żadne przestępstwo, żeby za to wywożono na katorgę, diabeł wie gdzie. - Teresa odłożyła robótkę. - Leon Hubel przestrzegał, żeby się nie rejestrować.
- Robert chciał jechać do Warszawy? - spytał przerażony Artur.

- Wcale nie. Leon Hubel mówił tak w ogóle. U nich utrwalić nazwisko na kazonnym papierku to zguba. Widziałam, jak ludzie wychodzili z Urzędu NKWD i byli zdumieni ich grzecznością. Im bardziej grzeczni, tym gorzej. Lysiące "bieżących" stawały w ogonkach aby spełnić nakaz władzy. Wystawali po kilka dni z rzędu - Teresa wstała, żeby zaparzyć herbatę. - Znałeś Lenę Bursztyn? - spytała Artura.

Powinien być ją znać, znana komunistka z głośnych procesów. Raz była nawet skazana na śmierć. Teresa ostrzegała ją, żeby nie szła się rejestrować, a kiedy już się to stało, błagała ją, żeby przez jakiś czas nie nocowała u siebie. Postawiła łóżko polowe w pokciu. Ale ona powiedziała, że to nie są sanacyjne czasy i nie ma powodu ukrywać się przed własną władzą. Dziś widziała ją w towarowym wagonie w szczerym polu, daleko od dworca. Drzwi były otwarte, ale nikt nie próbował uciekać. Za paczkę papierosów żołdat pozwolili Teresie zbliżyć się do Eszałonu.

- Wczoraj zabrano Mandla z nasłuchu radiowego i działu listów - Robert skrzywił się i potarł dłonią skronie.

- Szmer dzwonił w jego sprawie do Wendy - powiedział Artur.
- Z jakim skutkiem? - spytała Teresa. - Kańkowski zrugął Szmera, nie widzi powodu do paniki.

- Polaków w redakcji jest coraz mniej. Przyślą nam nowych muszkieterów.
- Nie widzę w tym nic złego - Artur odruchowo potarł dłoń ręką.
- Chwilami zaczynam się Ciebie bać - Robert rzucił na stół kartkę maszynopisu. - Albo jesteś...
- No co? Mów, co?
- Nie słuchaj tego - Teresa pogłaskała Artura po ramieniu
- Robert wcale tak nie myśli. To nerwy. Ale ty też. Wszyscy są dziś tak zdenerwowani.
- Przepraszam Cię Artur. Jednakże o Mandla Szmer się upomniał. A jak mnie zabrają, nikt się nie upomni. Nie gniewaj się, Tereniu.
- To już jest u Ciebie mania. Zupełnie jak dziecko. Mówiłam Ci, że oni nie mają nas w spisie "bieżących". Zrozum to wreszcie!
- krzyknęła Teresa. - Przecież oboje mamy paszporty! Nam nic nie grozi.
- W tej grze nie ma reguł. Przyjrzyj się im. Czy tak wyglądają ludzie? Zgarną Cię nie wiadomo kiedy i dlaczego. Po to, żeby paść strach. Ludzie muszą się bać. Wszyscy wszystkich.
- Co za bzdury! - oburzył się Artur.
- Myślę, że to nie bzdury - odezwała się Teresa. - Ilu komunistów ukrywało się u nas przed wojną! A jednak nie baliśmy się wtedy jak dziś. Robert nie krzychał w nocy. Teraz zapraszam Lenę Bursztyn, ale byłam zadowolona, kiedy odmówiła. Stałiśmy się gorsi. To nie są bzdury. Robert ma rację.
- Terror nas wykończy... - Robert przerwał.
- Wszedł Fedorenko. Tej nocy miał dyżur. Przyszedł napić się herbaty. Bo jemu się skończyła.
- Dziś numer wyjdzie wcześniej - Fedorenko siadł przy stole.
- O tak - zgodził się Artur.
- Mniej dziś oficjalnego materiału.
- Jest rocznica Armii Czerwonej - przypomniał Artur. - Jest wstępniak, parę mniejszych tekstów, wspomnienia dowódców - weteranów Rewolucji Październikowej.
- No tak - uprzytomnił sobie Fedorenko - nie powiedziałem, że nic nie ma, tylko mniej. Nie ma na przykład przemówienia Stalina.
- Może towarzysz coś przekąsi? - spytała Teresa. - Są kanapki z kiełbasą.
- Dziękiuję barzo - odpowiedział Fedorenko po polsku.
- Towarzyszu Fedorenko! - zawołał nagle Artur.
- Słucham was.
- Mandel był dobrym towarzyszem. Dwa lata siedział w więzieniu w faszystowskiej Polsce... - własny głos wydawał się Arturowi martwy.
- Fedorenko wyjął wargi.
- ... mają go wywieźć... towarzyszu!
- Fedorenko chwilę przeczekał. Kręcił głowę:
- Nu wiecie, towarzyszu Salz...
- Towarzyszkę Bursztyn, która była skazana na śmierć przez faszystowski sąd w Polsce, też mają wywieźć.
- No i co? - Fedorenko patrzył zdumionym wzrokiem na Artura i Roberta.
- Eszażon jeszcze nie odszedł. Należałoby coś zrobić.
- Co?

- Interweniować. Iowarzysz by mógł. Jak myślę...
  - Interweniować?
  - To szczyrzy komunisci. Dobrzy towarzysze, oddani...
  - A ty, bratku, skąd wiesz? W środku człowieka siedzisz? A naszej władzy ty nie ufasz? A, niedobrze.
- Ieresa postawiła przed Fedorenką szklanekę herbaty:  
 - Cukru chwilowo zabrakło. A w ogóle mamy cukier. Jak na złość, akurat dzisiaj... - uśmiechnęła się.  
 - Nie szkodzi, mam cukierki - Fedorenko wyciągnął z kieszeni zlepione landrynki. - Poczęstujcie się, dameczko!

Następnego dnia Artur odczytał na tablicy komunikatów, wiszącej w korytarzu, ogłoszenie: "Zawiadamiamy, że z dniem dzisiejszym zostaje zwolniony z pracy Artur Abramowicz Salz". Redaktor naczelny: Nikołaj Pawłowicz Mańkowski.

U Szmera dowiedział się, że przyczyną był błąd korektorski. Zamiast XXXIII Rocznica Armii Czerwonej było XXIII.

Minęły mrczy. Nastęła wiosna. W maju zaczęły się upalne dni. W parkach wieczorem ławki zajmowali zakochani. Za dnia bawili się dzieci. Coraz częściej i głośniejsze rozbrzmiewała mowa rosyjska. Polskie dzieci stroniły od rosyjskich. Robiły to same. Nie trzeba było nic im wpajać. Nienawiść do Sowietów przenikała wszystkich. Mimo, że w sklepach pojawiły się towary przywiezione ze Związku Radzieckiego. "Kosztem łani" - mówili Sowietci. Ale tych towarów nikt nie kupował. Były tandetne, szare, jakby obłe, workowate, nawet zabawki dla dzieci, zajaczkę i niedźwiadki z żółtego pluszu, krasnoarmiejcy i tanki z tektury albo z pomalowanej na czerwono blachy. Najlepsze, co mieli. Aprcwizacja poprawiła się, co podkreślali w swoich przemówieniach agitatorzy na zebraniach. Pokazała się tuszonka, to jest wieprzowina w puszcze, zalana tłuszczem i cukier. Ale najczęściej przywożono materiałów propagandowych. Afisze i plakaty ze Stalinem i Kremlem w kolorze czerwonym i pomarańczowym. Podobne do siebie, różniły się rozmiarami. Były małe, średnie, duże i bardzo duże, na całe okno wystawowe. Półki w księgarniach uginęły się pod broszurami i książkami w oprawie z szarej tektury. Dzieła Lenina i Stalina. Poza tym o obróbce metali, wielkich piecach Magnitogorska, Dnieproprosie, bohaterskiej budowie kanału Siełomorskiego.

Artur był bezrobotny. Żądano od niego zaświadczenia z ostatniego miejsca pracy. Ale redakcja "Czerwonego Sztandaru" nie wydawała żadnych "udostwieredeń". W ZSRR są książeczki pracy, gdzie wszystko się zapisuje. Jak dany obywatel spełniał swe obowiązki, czy starał się, czy był oddany, czy nie. Ale na razie na nowo przyłączonych ziemiach takiego dokumentu jeszcze nie było. Nie było biura pośrednictwa pracy ani zasiłku dla bezrobotnych. W ZSRR nie ma bezrobotnych.

Artur był na utrzymaniu Racheli.

Zakęsał się po Wałach Hetmańskich, ocienionych drzewami, od Teatru Wielkiego, dziś Teatru Opery i Baletu im. Iwana Franki, aż do pomnika Sobieskiego i dalej, do pomnika Fredry. Stał miał niedaleko do Biblioteki Uniwersyteckiej z atmosferą nadającą się do kontemplacji i z napisami pod szklaną kopułą: "Speude braeeos" i "Ars longa, vita brevis est". Tu mógł pisać. W domu, odkąd przyjechali Marcusowie, rodzice Racheli, wypędzeni z mająteczku przez "selsowiet", trudno się było skupić.

Artur przerabiał odrzucone przez "Nowe Widnokreği" opowiadanie "Miedziany krzyżek". Młodociany morderca zdjął z szyi miedziany krzyżek i zawiesił go nad łóżkiem. Modlił się do niego. Trwało to dość długo, aż zajęli się nim towarzysze. Morderca zaczął się zmieniać, coraz bardziej przybliżał się do idei komunistycznych. A kiedy dojrzał już całkowicie, wyraził chęć przystąpienia do komuny więziennej. Przed śmiercią. Czy morderca może zostać przyjęty do komuny więziennej? Takim pytaniem kończył się utwór. Rozstrzygnięcie pozostawia się czytelnikowi. Tym razem opowiadanie schował do kieszeni.

Wujek Artura, stary Marcue, kpił z bolszewików.

- Mój parobek wyglądał przy nich jak baron.

- Przesadzasz Zisie - uspokajała go żona.

- Bolszewik to rabuś, takie jest jego prawo. Wszystko przewrócili do góry nogami. Wprowadzili nieporządek, który nazywają rządem. Co moje, to moje, a co twoje, to też moje. My nie mamy nic, to i ty nie miej nic. Żeby wszyscy stali się biedni, można zrobić, ale niech pokażą, żeby wszyscy stali się bogaci, jak powiedział Churchill. Wpuścić ich do porządnego kraju, to jak wpuścić świnie do salonu.

- Przesada - ciotka pokazała oczyma Artura, pochylonego nad książką.

- Słuchaj no, ty mój komisarzu, widać nie jesteś dla nich dobry, jesteś bezrobotny. Taki jak ty, jeśli już wlażesz w ten trefny interes, powinien być u nich ministrem. Tego, co ty masz za pąznokiem, oni nie mają w głowie.

Artur nie odpowiadał.

- Ty uważasz, że to sprawiedliwość zabierać człowiekowi to, na co pracował przez całe życie? Po to siedziałeś w więzieniu, żeby oni przyszedli i wyrzucili mnie z mojego własnego domu?

- Futro ze mnie zdarli - powiedziała ciotka Artura.

- Nie udawaj, że nie słyszysz. Teraz ci powiem coś takiego, co na pewno usłyszysz. Tam u siebie w Rosji możecie sobie żyć bez ślubu z kobietą, ale nie tutaj. Jak długo ja żyję!

Artur wyprowadził się.

- Jak chcesz - powiedziała Rachel.

Chciała mu dać pieniądze, ale Artur nie przyjął. Pożyczył tylko walizkę. Zapakował dwie koszule i kilka książek: Marksa "18 Brumaire'a Ludwika Bonaparte" i "Manifest Komunistyczny", Lenina "Co robić?" i po rosyjsku "Materializm i empiriokrytycyzm", kilka broszur Stalina po rosyjsku - "Marksizm i kwestia narodowa",



"O podstawach leninizmu", "Przyczynki do zagadnień leninizmu", "O materializmie dialektycznym i historycznym", Juliana Bruna "Stefana Żeromskiego tragedia pomysł", Gładkowi "Cement" i Erenburga "Dzień wtóry". Na sam koniec wrzucił swoje dziesięciostronnicowe opowiadanie "Miedziany krzyż", z poprawionym końcem. Sekretarz komuny więziennej zabiera w dyskusji ostatni głos i stwierdza, że mordercy nie można przyjąć, bo rzuca to ciek na twarzyszy.

Zamieszkał u Munda. Kilkadziesiąt lat temu Mund był cudownym dzieckiem i miał zrobić karierę drugiego Fritza Kreislera. Przybrani rodzice wysłali go w tym celu do lwowa. Ale po latach rozczarowań został skrzypkiem w orkiestrze teatru Wielkiego. Artur jako dziesięcioletni chłopiec brał u niego lekcje muzyki, ale po kilku próbach został odesłany do domu z bilecikiem do pani Salzowej, w którym miejscowy wirtuoz wyrażał żal, że nie może się dłużej zajmować jej synkiem, gdyż nie ma on słuchu za grosz. Kiedy Artur pracował w "Czerwonym Sztandarze", spotykał często Munda na Zimorowicza, niedaleko ulicy Sokoła, gdzie mieściła się redakcja. Mund narzekał na ciężkie czasy, nędzną płacę w teatrze. Nie pracował już w orkiestrze opery Teatru Wielkiego, tylko w Polskim Państwowym Teatrze Dramatycznym, który został usunięty ze swej dawnej, wieloletniej siedziby w okazałym gmachu na Wałach Helenskich, do pomieszczenia zajmowanego poprzednio przez żydowską trupę Gimpla przy Jagiellońskiej. Mund pytał go, czy nie zna jakiegoś solidnego mężczyzny na sublokatora. Bał się, że zakwaterują mu całą rodzinę z za Zbrucza, która zajmie jeden pokój, a potem całe mieszkanie.

Mund był starym kawalerem i gospodarstwo prowadziła młoda jeszcze kobieta, potężna jak kariatyda. Mówiła po polsku, żeby zastrzeć swoje wiejskie pochodzenie. Skrzypek mówił do niej: "Pani Heleno".

Dawny nauczyciel muzyki postarał się dla Artura o posadę w teatrze. Funkcja "organizatora widowni", oznaczała zejście o parę szczebli w dół, mimo to Artur bardzo się ucieszył. Sumiennie wypełniał swe obowiązki, ale nie wszystkie, jak się okazało.

Został wezwany do NKWD. Oficer usiłował mówić po polsku, z czego musiał jednak zrezygnować.

- Dostaliśmy o was dobrą charakterystykę - uśmiechnął się oficer. - Sumiennego pracownika, uczciwego towarzysza, oddanego naszej wspólnej ideologii. Dlatego zgodziliśmy się, żeby postawić was na tak odpowiedzialnym odcinku w Polskim Państwowym Teatrze Dramatycznym. Stanowisko mało płatne - przyznał oficer. Ale w ustroju socjalistycznym można awansować. Wiadomo, że socjalistyczne państwo ogromnie ceni pracowników kultury, że popiera teatr, przeznaczając ogromne sumy na specjalne widowiska. Bo teatr ma spełnić poważną rolę w wychowaniu ideologicznym mas. Dlatego pozostaje pod kontrolą i opieką partii. On sam jest pochodzenia polskiego i żałuje go fakt, że Polacy na dobrowolnie przyłączonych terenach okazują mało wdzięczności za wyzwolenie tych ziem przez niezwykłą Armię Czerwoną. Oficer roześmiał się nagle.

Artur zwrętniał.

- Cóż to, bratku - opanował się oficer - pomyliliś się i odczytałeś Armię Czerwoną jeden rok? Wiem, wiem, to nie było umysłne. Ale nie mogli zestawić cię w pracy. Rewolucyjna sprawiedli-

wóść.

- Odbitka była niewyraźna, mokra kolumna.  
- To drobiazg. Choć u nas gorzej by się skończyło. Szczerze mówię. My jesteśmy szczerzy i żądamy od drugich tego samego. Prawda?

- Tak.  
- Aby przekonać się o mojej szczerości, zdradzę ci tajemnicę: domniemano mi, że w Teatrze organizują się wrogie elementy.  
- Nie o tym nie wiem.  
- Właśnie. A my wiemy. Sygnali już są od dawna. Czy nie słyszałeś wrogich wypowiedzi aktorów, pracowników technicznych?  
- Ja się z nimi nie stykam.  
- A to źle. Trzeba się z nimi stykać. Opowiadają dowcipuski anegdoki. Milion takich anegdotyczków zbudowało u nas kanał Białomorski. My wszystkich potrafimy na nowo wychować. Deszko do nas, że szerzą się plotki o mającej wybuchnąć wojnie niemiecko-rosyjskiej.

- Właśnie. Niemcy weszli do Paryża. Słyszeliście? Jakże jest wasze zdanie w tej sprawie?

- Moje zdanie? Coż ja mogę powiedzieć?  
- Dobrze się stało czy nie dobrze?  
- Zależy...  
- Włóż ja wam powiem: dobrze.  
- Dlaczego? Ja wiem, że jest tak, jak towarzyszu mówi, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego jest dobrze.

- Nie czytasz bratku, naszych gazet? Jest dobrze, bo upadło kapitalistyczne państwo.

- Rozumiem.  
- Ale z drugiej strony nie jest tak dobrze... trzeba myśleć dialektycznie.

- To najważniejsze.  
- Najważniejsze może nie, ale ważne... Ale wracajmy do naszej rozmowy. A więc zgodziliśmy się, że Państwowy Teatr Polski ma leżeć poddane szczególnej obserwacji. Muszą się tam znaleźć ludzie na których moglibyśmy polegać. Po to właśnie was wezwaliśmy. Zgadzaście się? Jeśli tak, wszystko w porządku. Tylko jeszcze drobniostka, czysta formalność: podpis.

Papier był czysty, nie zapisany i palec oficera wskazywał, gdzie należy zrobić podpis. Pióro zamoczone w kałamarzu czekało na rękę Artura.

Artur potrząsnął głową. Major patrzył na niego zdziwiony.

- No, coś ty?

Artur czuł, że blednie.

- Na... - szepotał oficer.

- Ja... ja... - bełkotał Artur.

- Na, co "ja", co "ja"? - usmiechał się oficer.

Artur potarł czołmo czoło.

- Ja nic nie wiem.

- Na początku wszyscy tak mówią. Zawsze się tak mówi.

- Ja tego nie wiem! - krzyknął nagle Artur i przeraził się własnego głosu.

Oficer odłożył pióro, potarł zapalną i przytknął ją do zgaszonego papierosa. Zaciśnięte wargami mokry ustnik, patrzył na Artura spod okularów.

- Ja bardzo proszę - głos Artura zakłamał się.

- O co idzie? - zwrócił się oficer.

- Nie gniewajcie się na mnie, towarzyszu majorze.

Oficer roześmiał się.

Artur usmiechnął się.

- My nikogo nie zmuszamy. Uważamy to za dowód zaufania.

Szczególnego zaufania, można powiedzieć za zaszczyt. Ja się nie gniewam, ja się tylko dziwię... Do nas przychodzą setkami....Mówię to tylko wam, w zaufaniu... Każdy z nich byłby szczęśliwy, gdyby znalazł się na waszym miejscu. Majakowski powiedział...był taki poeta, nazywał się Majakowski, on już umarł, więc Majakowski powiedział...

- Majakowski popełnił samobójstwo - niebacznie odezwał się Artur i od razu tego pożałował.

Major spojrzał niechętnie na Artura. I nie przytoczył już tego, co powiedział Majakowski.

- Może się jeszcze zastanowisz, towarzyszu. Pójdziesz do domu, pomyślisz. Ale nikomu ani słowa. Masz decydować sam. Wszystko, co było powiedziane, ma zostać w tych czterech ścianach. Sam sobie wytłumaczysz, a potem przyjdiesz i powiesz, co postanowiłeś. Jestem pewny w stu procentach, że odpowiedź będzie brzmiała "tak". Powiesz: "chcę służyć socjalistycznej ojczyźnie".

- Bardzo chcę służyć socjalistycznej ojczyźnie.

- No więc?

- Każdy ma swoje powołanie.

- Jakie jest twoje powołanie?

- Chcę być pisarzem.

- Jedno drugiemu nie przeszkadza, ilu jest pisarzy... - major machnął ręką - a co do "majakowskiego, jesteś pewien, że popełnił samobójstwo?

- Przecież tak było.

- Czy o wszystkim, co było, trzeba mówić?

- Nie rozumiem.

- No, żegnam, idź sobie.

x

Na Zyblikiewicza zaczęli go Leon Hubel. Artur nie zauważył go.

- Co się z tobą dzieje? Wyglądasz jak trup.

- Rozmawiałem w majorem NKWD. Nie chciałem...

- Racheli mi mówiła, że dostajesz pracę.

- Tak.

- No to możesz się z nią pożegnać.

- A co miałem zrobić?

- Żeby się tylko skończyło na pracy.

- A co jeszcze?

- Kto to może wleźć? Dlaczego nie chciałeś się zgodzić?

- Leon Hubel skrzywił się w uśmiechu. - Przecież jesteś przekonany komunistą. Z tym Polskim Teatrem... gorzej wpaść nie możesz. Oni Polakom nie wierzą. I słusznie. Nawet komunistom. Wciąż im się zdaje, że będzie wolna Polska.

- A ty nie wierzysz?

- Ja mam inne ideały. Żydowskie.

- Wiesz, że Paryż padł?

- Padł? Giesz się.

- Tyś oszalał.

- Nie krzycz. Uspokój się. I nie opowiadaj o NKWD. Racheli możesz....

- Już nie mieszkamy razem.

- Możesz już do niej wrócić. Rodzice się wyprowadzili.

- Nieprawda!

- Przekonaj się.

- Leon, powiedz, czy ty nie zamierzałeś do niej wrócić?

- O co ty mnie podejrzewasz? O co ją podejrzewasz?
  - Je jednak nie wrocę. Tak będzie dla nas obojga lepiej.
  - Twoja sprawa. Uważam, że Rachela jest ci potrzebna.
  - Nie jest mi potrzebna.
  - Ona ciebie kocha.
  - To nieprawda. Nie znosimy się. Ciągłe się kłócimy.
  - Polityczne powody?
  - Mniejąca z tym.
  - Może nie podobają się jej pewne rzeczy. A tobie wszystko się podoba? Czy ty jesteś ślepy?
  - Nie jestem ślepy. Nie sztuka apróbować, kiedy się wszystko zgadza, jak w rachunku.
- Leon wyciągnął rękę:
- Zaczyna padać.

x

Położył się na tapczanie z rękami pod głowę.  
 Ściany malowane w wirujące figury geometryczne zdawały się ruśzać.

Na korytarzu w gmachu na Pełczyńskiej mignęła mu twarzyczka małego Joachimka. Może mu się przywidziało? Może to było we śnie? Już mu się zaczął mieszać sen z rzeczywistością. Obłąkał go pot. Zdarzało mu się to, kiedy szli z nim szpicle. Wilgotniały mu ręce i między łopatkami pełzały krople potu. Człuk do siebie wstręt. Co on może mu zrobić? Czego się boi? Nic mu nie może zarzucić. Nikt mu nic nie może zarzucić. Jest komunistą i zostanie. Do końca... Nie zejdzie z tej drogi, uszanej kołcami, których mu nie szczedzą najbliżsi. Rodzice Racheli się wyprowadzili. Niech im będzie na zdrowie. Jakich trzeba nerwów, żeby wytrzymać napór ze wszystkich stron. Musi wytrzymać, choćby został ogokochony z wiary. Boże! Boże! Gdy atęsta wyzwa Boga, to albo przed śmiercią, albo ze strachu. Nawet Rachela nie wie o tym strachu. Próbował pokonać ten strach, jak się zamawia czarę, postanowił popełnić samobójstwo, jeśli się ktoś o tym dowie. To go uspokajało, ale na krótko. Wiedziało, że tego nie robi. Czy lisa twarzyczka mu się przysniła? Kto wchodzi do tego gmachu z wieloma piętami kosmaru, może ulec halucynacji. Owiązają go opary jak gazowe bandaża. Chcesz uciekać, a pełzasz jak dżdżownica po deszczu, ślepa, łada but może ją rozdeptać. Chcesz uciekać i nie możesz. Joachimek jedzie na Waszkowiaku jak na koniu. Wyciągają się blade drobne rączki i duże łapy jak łopaty, aby cię schwycić. Duszą cię za gardło. Zbudził go z drzemki dzwonek.

Pani Helena przestała trząskać w kuchni garnkami i poszła otworzyć drzwi.

- Jest do pana jakiś mężczyzna - opisała jak wygląda, ale Artur nie domyślał się, kto to. Gdy wazedł, Artur zerwał się na równe nogi.

- Staś! - krzyknął.

Rzucili się sobie w objęcia.

- Jak mnie znalazłeś? "Mężczyzna", "jakiś mężczyzna" powiedziała gospodyni. Nigdy bym nie przypuszczał, że to ty. Rzeczywiście zmężniałeś.

Artur przypatrywał się gościowi, nie odrywał od niego wzroku. Te same jasne włosy, te same błękitne oczy. Dużo jednak zostało w nim z młodzieńca.

Gość siedział w plecionym fotelu. Dawny uśmiech błakał się

po jego twarzy. Ale szybko zniknął.

Rodziców wyrzucono z mieszkania. Całą willę zajął pułkownik. Nie odstąpił im ani jednego pokoju. Żona pułkownika nie zgadzała się, gdyż musieliby korzystać z jednej kuchni. Staś interweniował w rajkowie partii. Przesłaniec starał się, żeby sekretarz go przyjął, a gdy wreszcie go przyjął, powiedział: "Dotychczas wy mieliście willę, teraz my chcemy mieć. Przyjechał do Lwowa szukać sprawiedliwości u wyższych instancji. I żeby zobaczyć się z Arturem."

- Będem się przyjeżdżać do ciebie. Myślałem, że zobaczę obcego człowieka. Po mieście naszym chodzą o tobie legendy. Czytałem twoje artykuły.

- Nie było ich dużo...

- Musisz mi pomóc.

- Ja?

- Tak. Jeśli zechcesz, znajdziesz odpowiednie drzwi.

- Mylisz się, mój chłopcze.

- Rodziców galezda się u stróża, który ich przyjął z łaski. Artur milczał.

- Znasz ludzi z redakcji.

- Nic nie mogę ci pomóc.

- Uważasz to samo, co rajkom partii?

- Mylisz się. Tobie mogę, tobie chciałbym więcej powiedzieć.

Wierz mi, Nie mogę.

Staś westchnął. Opuścił głowę i dłonie ścisnął kolanami.

- Wierz mi, jest mi bardzo ciężko... Nie gniewaj się na mnie.

- Ważę się nie gniewać. Tego się najbardziej bąkam...

- Czego?

- Zmieniasz się, takie jest życie.

- Niestety, nie.

- Cóż? Takie jest życie...

- Co ty wiesz o życiu?

- Trochę już wiem.

- Oj, Stasiu, Stasiu...

- Zostawmy to...

- Kiedy przyjechałeś?

- Dzisiaj.

- Opowiedz mi coś o sobie. Co robisz? Gdzie pracujesz?

- Dziękuję, u mnie wszystko w porządku.

- Czy masz się gdzie zatrzymać? Mogłabyś nocować u mnie.

- Dziękuję - Staś westnął.

- Już uciekasz?

- Chęć zdążyć na podług.

- Musisz wracać dzisiaj?

- Tak.

- Po tylu latach... Zostan, pogadamy.

Gość wyłożył rękę.

- Bądź zdrow.

Artur przytrzymał ją.

- Możesz tu zostać. Proszę cię. Chęć z tobą pogadać... po-

gadać...

- Bądź zdrow.

Artur odprowadził go do drzwi.

- Właściwie dobrze robisz, że nie zostajesz.

Leon Kubel pomylił się. Artura nie zwolniono z pracy. Kiedy wchodził za kulisy, cichła rozmowa. Aktorzy odwracali się do niego tyłem, Garderobiane, szatniarki, bileterzy również milkli albo nagle podnosili głos zmieniając temat. Czyżby go ktoś widział, jak opuszczał gmach NKWD przy ulicy Pełczyńskiej?

Szybko zjadł coś przy bułecce i zniknął. Kłaniał się z uśmiechem napotkanym aktorom, którzy ledwo odpowiadali mu kiwnięciem głowy.

Nie unikała go tylko suflerka. Ona też przychodziła do bufetu, gdy nikogo nie było, i szybko zjadała kanapkę z kiełbasą. Zachęcony jej wzrokiem przysiadł się do niej.

Miała jasną twarz i prowe włosy. Dopiero gdy wymieniła swoje nazwisko, zrozumiał, że jest Żydówką. Marynà Dorfmannówna. Była nauczycielką w Warszawie. Z kursów pedagogicznych znała

Rachelę.

- Opowiadała mi o was.
- Mówmy sobie po imieniu.
- Chętnie.
- Dlaczego nie wróciłaś do zawodu?
- Wystarczyło mi, jak nas instruowali na kursach pedagogicznych. Nie chciałam nauczać dzieci kłamstwa i podłości.
- Rachela opowiadała mi raczej śmieszności.
- Bo ona nie przeżywała tego tak jak ja. Ona nigdy nie była w partii.
- A ty byłaś?
- Od piętnastego roku żyła. Przyjęto mnie bez stażu komсомolskiego.
- Wyjątkowe wyróżnienie! Wyjątkowe zaufanie!
- Napikabym się wódki.
- Ach taki - roześmiał się Artur.
- Ty nie pijesz? Nigdy nie pijesz?
- Nie miałem kiedyś. Zawsze byłem zajęty czymś ważnym.
- Nie miałeś nigdy żartów?
- Specjalnie.... nie
- Ostatnio się upiłam, kiedy padł Paryż. Zalaliśmy się z całą rodziną, w której mieszkam. Musisz kiedyś do mnie przyjść.
- Chętnie, ale ty przyjdź też do mnie.
- I teraz bym się upiła.
- Z jakiej intencji?
- Mado jest intencji? Rozejrzyj się dokoła. Nie widzisz, jak to koszmarnie?
- Tak uważasz? Więc co robić?
- Zmienić się.
- Ja już raz się zmieniłem. Żebyś wiedziała, jakie to trudne.
- Ale to jest konieczne.
- Komunistą trzeba być na przekór wszystkiemu.
- Nawet samemu sobie?
- To nam zostaje. Zresztą idee realizują ludzie niedoskonali. Komuniści są nościcielami idei społecznej, a nie ludzkiej doskonałości.
- Jak mi się to nie podoba!
- Ale to, co jest z drugiej strony, jest nieporównanie gorsze, zwłaszcza dla nas.
- A więc uważasz też zło, ale tamto jest gorsze.
- Wcale tak nie myślałem.
- Ale tak jest.
- Poczekajmy.

Dyrekcja, sekretariat, aktorzy żyli od dwóch miesięcy w gorączce. Premiera miała, miała się odbyć 7 listopada, w dniu święta Rewolucji Październikowej. Z początku były trudności z tłumaczeniem. W toku prób wciąż je poprawiano. Aktor nie mógł czy nie chciał wypowiedzieć pewnej frazy. Płatał mu się język. Nie trudno było się domyślić, że szło o coś więcej niż o słowa ze zbitkami spółgłosek: "nie będziemy szczerzyć naszych szczytów przez imperialistycznych bankrutów resztek wewnętrznych szczyrów kontrrewolucji". Gwiazdorzy uchylali się od przyjęcie roli Stalina. Skorzystali z tego słabsi i uchylili się szansy. Wykazili ze skóry, żeby sprostać zdaniom reżysera, który jednak pewnego dnia przerwał próby. "Można oskarżyć teatr o sabotaż" - argumentował dyrektor, "Z tą miernotą nie zrobi się przedstawienia. Na premierę ma przyjechać autor z Moskwy, odznaczony orderem Lenina" - reżyser był nieugięty.

- Przez niego pójdziemy wszyscy na Sybir - straszyla swe koleżanki w garderobie aktorka o wybitnie semickiej urodzie z krzyżkiem ukrytym na wszelki wypadek w dekolcie.

- On chce, żeby wielkie aktory babrali się w gównie - powiedział elektryk.

Dyrektor polski konferował z wybranymi aktorami w ukryciu przed dyrektorem sowieckim, któremu podlegał cały teatr. Wyzna- czył innego reżysera. Odbiło się to na próbach. Ponadto została zwolniona suflerka, Maryna Dorfmannówna. Dla dobra ogólnego stary reżyser wrócił do pracy. Wściekał się i krzyczał, najbardziej na Krystynę N., która dostała się na scenę dzięki stosunkom z przedwojennymi komunistami. Grywała w przedwojennych szopkach lewicowego zespołu akademickiego "Swietlica". Krystyna N. pła- kała w kąciuku, a potem z zapuchniętymi oczami grała szczęśliwą i bożą kołchoznicę.

Wspodziewanie, wielki aktor, znany z romantycznych krea- cji przed wojną, zgodził się zagrać Stalina. Za nim poszli inni. Obsada zmieniła się całkowicie. Nie ruszono tylko Krystyny N. W gabinecie dyrektora poszkodowani podnieśli krzyk. Tyle włożyli pracy i entuzjazmu, a teraz ich role otrzymują najbardziej reak- cyjni koledzy. Aby uspokoić najgłośniejszych, przyrzeczono im dublowanie. Twarz dyrektora błyszczała ze szczęścia, a reżyser znowu się zabrał do pracy. Teatr zbliżał się do uroczystej pre- miiery.

Sala została udekorowana portretem Stalina, transparentami z hasłami wziętymi z "Prawdy". Na balkonie załknęto sztandary. Nad wejściem frontowym od ulicy Jagiellońskiej świeciły się czer- wone żarówki 1917-1940.

W kasie nie sprzedawano biletów. Artur jako organizator wi- downi nie miał nic do powiedzenia. Na ten spektakl odebrano mu jego funkcję. Dano mu tylko spis zaproszonych. Jego zadaniem było zdobyć karton i zebrać zaproszenia w drukarni. I jeszcze tekst należało ocenzurować. Najtrudniej było o rosyjską ożcion- kę. Artur poszedł do "Wolnej Ukrainy". Redaktor naczelny odmó- wił. Maszyny są przeciążone innym materiałem. Świętecznym, waż- niejszym niż polski teatr. Pomógł telefon Wandy Wasilewskiej. Kie- dy Artur podał swoje nazwisko, zecer drapiąc się w nos szepnął:

- Hryceno został rozstrzelany. Po tym jak go odwołano.

Premiera stała się tryumfem reżysera i aktora grającego Ste- lina. Jego wyjście na scenę nagrodziła burza oklasków. Niektórzy nawet próbowali wstawać. Byli to młajscowi i natychmiast zawsty- dzeni usiedli, gdy radzileccy usidowie syknęli, żeby nie przeszą- kadzać. Teraz patrzyli na łożę i klaskali, gdy klaskał sekretarz

Obwodowego komitetu partii, Hryszczuk, siedzący wraz z małżonką, otyłą kobietą w różowej krepdeszynowej sukni. Obok nich siedziała Wanda Wasilewska w czerni, autor sztuki, radziecki dramaturg odznaczony orderem Lenina, i generał NKWD.

Aktorzy grali świetnie.

Stalin wyglądał jak na portrecie, w zwykłej bluzie, pykał fajkę. Mówił nie podnosząc głosu, wolno, z zastanowieniem i przezwą po każdym zdaniu.

Zbrodniczy szpieg, zdemaskowany na końcu przez kołchoźnicę, przemykał się chyłkiem, z podniesionym kockiem szarego pałta, w nasuniętym na oczy pilśniowym kapeluszu. Jego twarz koloru ziemi i rozbiegane oczy budziły antypatię.

Komandir n-tej jednostki wojskowej, wysoki, silny mężczyzna miał szczerzy, szeroki uśmiech, zdania kończył zdecydowanym ruchem dłoni zwinętej w pięść, jak na radzieckich filmach o Czajkowie albo innych bohaterach Wojny Domowej.

Prosta kołchoźnica rozmawiała ze Stalinem jak równy z równym. Na jej twarzy malowało się bezgraniczne uwielbienie. Jej kwestie były proste, nacechowane mądrością ludu rosyjskiego młującego pracą.

Wzruszająca była scena pisania listu przez starego uczonego. Dotychczas z nieufnością odnosił się do komunistycznej władzy, ale artykuł Stalina w "Prawdzie" pod tytułem "Zawrót głowy od sukcesów" w sprawie kolektywizacji przekonał go o słuszności linii partii. Profesor zrewidował swoje błędy i prosił o przyjęcie go w szeregi sławnej partii bolszewickiej, jeżeli oczywiście okaże się jej godnym. Całą swoją wiedzę przyrzekał poświęcić ostatecznemu zwycięstwu idei Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina. Słowa te zostały nagrodzone hucznymi oklaskami.

Było wiele innych wzniosłych momentów, jak na przykład sprawozdanie prostej kołchoźnicy, która awansowała w tym czasie na przewodniczącą, o przekroczeniu planu zbiorów zboża o 145%, udoju mleka zaś o 165%. Sztuka kończyła się wyborem kołchoźnicy na delegatkę do Rady Najwyższej ZSRR.

Po przedstawieniu wywołano aktora, który grał Stalina, oraz autora odnanzonego orderem Lenina. Dziewczynka w bieli wręczyła obu kwiaty.

Bileterki wniosły kosze z czerwonymi różami. Aktorzy klasowali wraz z publicznością, która powstała z miejsc. Autor sztuki ucałował aktora grającego Stalina. Wywołało to nową falę entuzjazmu. Aktorom gratulował sam sekretarz Hryszczuk, a kołchoźnicę pocałował w rękę. To samo zrobił potem generał NKWD.

Potem odbył się bankiet. Wznoszono toasty na cześć towarzysza Stalina. Wygłaszano krótkie i dowcipne przemówienia. Zwracano się do Wandy Wasilewskiej podnosząc w jej stronę kieliszki. Wasilewska dotrzymywała kroku w picie i powściągliwie przyjmowała komplementy partyjnych dygnitarzy. Chwaliła radziecki szampań, nie ustępując francuskiemu.

Wśród ogólnej wesołości podniósł się aktor, który grał Stalina. Kiwał się całym korpusem. Podniósł kielich z wódką i zawołał:

- Niech żyje Józef Piłsudski! Jeszcze Polska nie zginęła! Dyrektor pośpiesznie wziął śpiewającego aktora pod rękę i wyprowadził z sali.

Aktor, który grał komandira n-tej jednostki wojskowej, też się upił i rzygnął na biały obrus.

Wanda Wasilewska pierwsza wstała od stołu. Była wściekła. Wychadzając rzuciła polskiemu dyrektorowi:



- Skurwysyny!  
Sekretarz Hryszczuk spokojnie splótł palce i podziękował za "istotno charakterystyczny prijem".  
Generał NKWD cały czas stał tuż przy nim, trzymał rękę w kieszeni i uśmiechał się.

## X

Maryna Dorfmannówna pokazała kciukiem uchylone drzwi. Po korytarzu tam i z powrotem "kręcił" się pani Helena.

- Nie sukodzi - powiedział Artur - ona jest głuchawa.  
- Swoją drogą skandal, ale jaka była sama sztuka?  
- Okropna.  
- Przecież mogli wybrać coś innego. Dotychczasowy repertuar był przyzwoity. Polska publiczność była wdzięczna i przychodziła posłuchać polskiej mowy. Aktorzy mieli kontakt z widownią, grali jak urzeczni. Czuję się, że w podtekście pragnęliby powiedzieć znacznie więcej. Zarebińska, żona Broniewskiego, w "Pannie Maliczewskiej"... "Krakowiaczy i górale" w reżyserii Dąbrowskiego... kawał polskiej kultury w tym strasznym sowieckim świecie... Nawet Hajdaj z "Zagłady eskadry" po polsku w wykonaniu Jana Kreczmera stawał się strasny... Nie wiem, czy widziałeś spektakl "Książka Mickiewicza", oni nas Puzkinem, to my ich Mickiewiczem. Wanda

Siemiaszkowa mówiła "O roku ów", że się przeszedł dreszcz. Wiadomo, co każdy wtedy myślał...

Maryna zamilkła.

- Słucham... słucham... - zachęcał ją Artur.  
- Byłeś w NKWD? - Maryna zmieniła nagle temat.  
- Skąd wiesz? To było latem jeszcze.  
- Już wtedy szepmano po kątach, różne aluzje...  
- I uwierzyłeś?  
- Ja nie. Ale inni... To taktyka NKWD. Zrobi się dokoła ciebie pusto, wytworzy się odpowiednia atmosfera, to może sam im wpadnie w ręce, przecież wszystko jedno, w końcu. Wiedziałaś, że ty jesteś porządnym człowiekiem.

- Kto pracuje w NKWD, nie jest porządnym człowiekiem?  
- Więc dlaczego się nie zgodziłeś?  
- Nie wiem. Miałem osiem lat i nauczyciel kazał mi donieść rodzicom Mańka, że ich synek nie przyniósł wypracowania domowego. Odprowadziłem go aż pod dom, ale na górę nie poszedłem. Wieczorem moja matka poszła mnie. Nie wiem, kto jej o tym powiedział. Było mi przykro. Chciałem, żeby to zostało moja tajemnicą.

- Uważasz to za słabość?  
- Może...  
- Drobnomieszczoząską? Tak już byłeś uświadomiony jako ośmioletnie dziecko?

- Jesteś złośliwa.

- Przepraszam.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby robili to inni.

- Na przykład ja? Za ciebie? Jesteś wygodny.

- Ty byś się też nie zgodził.

- Tak przypuszczasz?

- Jestem pewien.

- Masz rację.

- Więc teraz powiedz ty, dlaczego?

- Bo ja też nie potrafię. Byłam na Pełczyńskiej.

- Wezwali cię?

- Poszłam sama, i to nie raz.

- Sama?  
 - Słuchaj to jest historia, jaką człowiek musi opowiedzieć komuś bliskiemu.  
 - Ja jestem ten bliski?  
 - Przepraszam, że mam do ciebie zaufanie.  
 - Nie gniewaj się... Ja czasem coś powiem...  
 - Chodziłam na Pełczyńska. Za każdym razem kazano mi przyjść za tydzień. Byłam we wszystkich gabinetach, na wszystkich piętrach. Już mnie wszyscy znali jak zły szeląg. Nie mogli sobie ze mną dać rady. Byli pewni, że brak mi piątej kleпки. Podejrzywano, że zaczęli się mnie obawiać. Dziwię się, że mnie nie aresztowano. Nie mogli zrozumieć prostej rzeczy, ale naczelnik, zdaje się, zrozumiał. Po wielu tygodniach dopuścili mnie wreszcie do niego. Przyglądał mi się, przyglądał, a potem powiedział: "listy do Stalina się pisze". Zdziwiłam się, skąd on wie, przecież list był do Stalina, nie do niego. Pozałam go pod adresem: Moskwa, Kremł i oczekiwałam odpowiedzi. Teraz rozumiem, że mogłabym jeszcze długo czekać. W Polsce kapitalistycznej nikt listów adresowanych do Piłsudskiego nie zatrzymywał. Pasyista Piłsudski wszystkim odpowiadał. "A więc o co chodzi?" - rozżłościł się naczelnik NKWD. Zaczął śledztwo na nowo, choć sprawę znał, na biurku leżał plik protokołów podpisanych przeze mnie. Mimo to opowiedziałam wszystko od początku. Umiąłem to już na pamięć. Naczelnik wysłuchał mnie spokojnie. Przez cały czas stałam. Naczelnik nie kazał mi siadać. Patrzył w papier i milczał. Podniósł na mnie oczy i milczał. Wreszcie odezwał się: "kto to jest Iza Winter?" Siostra? Bliska krewna? Daleka krewna?". "To moja przyjaciółka" - odpowiedziałam. "Jak to przyjaciółka?" Opowiedziałam, że znałam Izę jeszcze z czasów studiów, a potem pracowałyśmy razem w tej samej szkole w Warszawie. Dzięki Izie Winter wcześniej przejechałam się ideologią komunistyczną i zostałam przyjęta do partii. Byłyśmy w jednej komórze. Aż do rozwiązania KPP. Razem uciekłyśmy do Lwowa przed hitlerowcami. Ręczę za nią jako za uczciwego człowieka i oddaną sprawie towarzyszkę. Iza od dawna mieszkała w Warszawie, a rodzina we Lwowie. Jej brat został aresztowany jako trockiści, to znaczy podejrzany, bez sądu, bez dowodów. Przecież to może być pomyłka albo fałszywy donos. Rodzice zostali razem z Izą wywiezieni z jego powodu. A starzy ci ludzie nigdy nie interesowali się polityką. Ich świat skończył się wraz ze śmiercią austriackiego cesarza Franciszka Józefa. Więc za co ich wywieźli? Za niedowiedzianą winę syna? Który dawno z nimi nie mieszkał. Wszystko to wygląda jak koszmarny sen, a nie sprawiedliwość. Ale ja - mówiłam - wierzę w radziecką sprawiedliwość i dlatego zwracam się do was, towarzyszu naczelniku, uwielnicie Izę Winter i jej rodziców. Wywieziono ich do obozu w Archangielsku. Oni nie wytrzymają tamtejszego klimatu. Zapewniam was, towarzyszu naczelniku, że tak długo będę chodziła, aż ich zwolnicie". "Kto ona jest? Kim ona jest dla was?" - znów zaczął pytać naczelnik. "Przyjaciółka" - odpowiedziałam. "No i co z tego wynika?" - pytał naczelnik. "Jak to co?" - zdziwiłam się. "Przyjaciółka. Przyjaciółka." - irytował się naczelnik. Nastąpiło drugie milczenie. A potem stało się coś, czego się nie spodziewałam. I co muszę opowiedzieć. Naczelnik wstał, wyszedł zza biurka, ujął mnie za obie ręce i zaczął szeptać: "Dziecko zapamiętaj to sobie, dziecko. To, co ty robisz dla przyjaciółki, tego nie zrobi u nas dziś nikt. Matka dla syna, syn dla matki, żona dla męża, mąż dla żony, brat dla siostry ani siostra dla brata. Nikt! Nikt! Nikt! Dla nikogo! U nas do tego gnać nikt nie przychodzi, żeby ratować nawet najbliższego. Dziecko. Jak ja ci zazdrościsz. Jak ja wam zazdrościsz!" Zamilkł na chwilę, a potem znów odezwał się

szeptem: "A teraz uciekaj stąd. Obyś tutaj więcej nie trafiła".  
Usiadł z powrotem za biurkiem i bladą twarz ukrył w dłoniach.

- A potem? A potem kazał cię usunąć z pracy?

- Tak. Co on mógł dla mnie zrobić?

X

Premiera "Bartosza Głowackiego" Wandy Wasilewskiej przemieniła się w dużą manifestację wdzięczności dla autorki oraz dla Związku Radzieckiego. Przed przedstawieniem były przemówienia po polsku i po rosyjsku. Widownia, ilekroć padało imię Stalina, wstawała i klaskała. Po spektaklu odbył się bankiet, ale w hotelu George'a a i tylko z radzieckimi towarzyszami na odpowiedzialnych stanowiskach. Dla uniknięcia skandalu.

Już następnego dnia frekwencja była minimalna.

- Niech pan zadzwoni do fabryk - powiedział do Artura administrator teatru - niech wykupią spektakle. Musi pan o to zadbać, to pańskie zajęcie.

Artur połączył się z "Wielkym Żołtym". Zgodzili się urządzić "kultpochod": I tak zaczęły się "kultpochody" dzień po dniu.

Ale sztuka Wandy Wasilewskiej nie bardzo się podobała robotnikom. Bilety otrzymywali nie płacąc. Odliczano im to z zarobków.

- Niechby zagrali coś wesołego - mówili odbierając płaszcze w szatni.

X

Artur spotkał towarzysza Allesa przy kasie. Alles bezskutecznie domagał się biletu dla siebie i dla żony. Niestety, spektakl był zarezerwowany dla pracowników spółdzielni "Perwyj Trawnia".

Artur nic nie mógł poradzić. Zaprosił Allesa do bufetu. Akurat odbywała się próba i nie było nikogo z aktorów.

Usiedli przy stoliku.

- Po co kasa otwarta os samego rana, skoro nie ma biletów? Nonsens! - irytował się Alles. - Tak to wygląda wszędzie, czego człowiek się nie tknie, nonsens dookoła. - Rozmawiał z radzieckimi towarzyszami. "Spokojnie, spokojnie" - odpowiadali. Był kierownikiem fabryki, która przed wojną eksportowała za granicę meble. Teraz przestawiono produkcję na specjalne sianie do celów wojskowych. Ścisłe tajne. Od nocnego stróża do głównego inżyniera wszyscy byli sprawdzeni. "achowcom dańno mieszkania na terenie fabryki, żety mieć ich na oku. Co drugi dzień przychodzili z rajkomu i rejonowego NKWD. A tymczasem w samym sercu przyczaił się wróg. Alles siedział z nim kilka miesięcy, kiedy był w śledztwie w lwowskich Brygadkach. W tym samym czasie wyrok odbywał Artur i stąd się znali. Ukraińiec-nacjonalista został skazany za przynależność do podziemnej organizacji wojskowej. Był podejrzany o zamach na Pierackiego, ale nie mogli mu tego udowodnić, inaczej dostąby wyrok śmierci. Alles dał znać personalnemu. Usunięto go, ale nie aresztowano, jak domagał się Alles. Nie chciał wierzyć własnym oczom, kiedy po paru dniach znów zobaczył go przy rajzbrecie. Ponieważ jemu jako kierownikowi nic nie powiedziano, złożył dymisję. Lecz wtedy powiedziano mu: "unas samemu się nie odchodzi", po czym przeniesli go do "zarządu Zjednoczenia Związku Kooperatyw. Tutaj był białagan jeszcze większy. Zaczął chodzić po instancjach. Kazało mu wszystko napisać, dołączyć do życiorysu i

czekać na wezwanie. Nigdy żadne wezwanie nie przyszło. Kiedy opuszczał gabłnet trzeciego sekretarza komitetu rejonowego partii, usłyszał jak maszynistka przymilnym głosem mówiła: "Ci żydzi wyrzucają naszych, żeby zatrudnić swoich." "Wiadomo, my to znamy." - potwierdził sekretarz. Alles szedł coraz wyżej. Ale na każdym szczeblu warował ukraiński nacjonalista. Przeszali być już skromni i cisi, organizacja kazała im z początku obserwować, a kiedy spostrzegli się, że bolszewicy nie są tacy straszni, że można z nimi pogadać, zaczęli ich urabiać, a potem wciągać do interesów. Bolszewicy okazali się bardzo chętni. Długo nie trzeba było ich urabiać. Wiadomo; "błat wysze narkoma". Przekupstwo zależnie od rangi: butelka wódki, kupon "siniego bostończyka". Albo podział pół na pół. Organizacja ukraińskiej chodziła przede wszystkim o rozkład moralny, a co za tym idzie, i rozbrojenie ideologiczne. Alles przestrzegal towarzyszy z kierownictwa przed piątą kolumną, która tylko czeka na sygnał Hitlera. O matę nie poszedł za to do więzienia. Kto mówi o wojnie z Niemcami, jest dywersantem. Podyrwa przyjaźń rosyjsko-niemiecką. Takie nastawienie szło z góry, a z dołu "błat". W jednej z kooperatyw szewskich im. Botwina/cholewkarka, który zabił prowokatora Cechnowskiego, za co polski sąd burżuażyjny skazał go na śmierć przez powieszenie/pracował przedwojenny komunista Weiss. Dzięki niemu, pod hasłem "Dogonić i wyprzeżyć Amerykę", wykonano plan w dwustu procentach. Ale nikt tych butów w sklepie nie widział. Wszystko szło na lewo. Magazynier był w zmwowie z rsdzieckimi towarzyszami. Weiss przyszedł do Allesa i składał ręce jak do modlitwy: "Niech towarzysysz coś robi, już nie mówię, że to sabotaż, ale pójdziemy wszyscy do memra oprócz winnych". Alles przypomniał sobie jednego starego bolszewika-partyzanta z wojny domowej. Poznał go w szpitalu, gdzie leżała żona Allesa. Był lekarzem i prowadził resort służby zdrowia przy obwodowym komitecie miejskim. Po rewolucji zaczął się uczyć i skończył medycynę. Kiedy Alles powiedział mu, z czym do niego przyszedł, zaczął się. Przynęcił zainteresować sprawą, kogo należy. Ale nie wie wskórał. W ścisłej tajemnicy Alles zdradził Arturowi, że ten lekarz uratował swoje pielęgniarki od wywózki. Młodsi od niego, którzy nie wachali prochu walk rewolucyjnych, okazali się mocniejsi. Gdy komunista zetknie się z takim faktem, zaczyna zastanawiać się nad innymi. Nasuwa się przede wszystkim pytanie, czy Stalin o tym wie. Na pewno nie wie, nie informują go, a może nawet specjalnie przed nim ukrywają. Odbywa się to tak, że im wyżej, tym mniej przedostaje się krytyki. Stary lekarz-bolszewik powiedział mu raz: "U nas wszystko jest jak wstępniak "Prawdy" - gładki śkup, dokładnie odredagowana sosna". Wszystko, co dostaje się do Stalina, to dokładnie odredagowana sosna. Może takie jest obecne stadium rozwoju historycznego? Ale czy należy godzić się z tym? Przecież to oznaczałoby, że można się zgodzić na stadium kapitalizmu. Można się zgodzić na głód, ale nie na sprzeniewierzenie się ideologii w praktyce. W teorii ideologia jest w porządku, dopasowana jak w pudełku, alew praktyce? W teorii, w słowach wszystko się zgadza, ale w praktyce? Ważny zagadnienie narodowościowe. Ideologia przyznaje wszystkim narodom prawo do samostanowienia. Lenin zapewnił, że każdy naród będzie mógł się oderwać od Związku Radzieckiego, kiedy tylko zechce. Dotychczas jakos miłt nie chciał, dobrze, ich sprawa. Ale jak wygląda zagadnienie Polski? Kraju pod okupacją hitlerowską? Czy istnieje cicha zgoda w umowie niemiecko-radzieckiej? Skazałoby to Polskę na wieczną utratę bytu państwowego. Interes ZSRR wymaga pokoju z Niemcami, więc nale-

ży poświęcić naród polski. Masy pracujące Polski? Dla Związku Radzieckiego? Czy Polacy wyrazili zgodę? Nikt ich nie pytał. Czy wolno poświęcać naród, masy pracujące, dla czyjegoś interesu, nawet jeśli by to miał być Kraj Rad? Należy stanowczo powiedzieć: nie. Naród to nie jednostka. Od jednostki można wymagać ofiary dla wyższych celów. Taka ofiara jest dobrowolna. Wprawdzie nie ma o tym mowy w ideologii komunistycznej, ideologii kolektywu, w którym jednostka się roztopia, ale ofiarę jednostki milcząco się przyjmuje. Jednak nikt nie może tego oczekiwać od narodu, nawet gdyby to było jak najbardziej potrzebne, gdy naród się na to nie zgadza. Być może towarzysze z dawnej KPZU, do której zresztą sam należał, nie zaprzatają sobie tym głowy. Polska, ciemiężyciel ukraińskich mas ludowych przestaje istnieć. Koniec. Ale KPP? Niektórzy członkowie Komunistycznej Partii Polski marzą, żeby otrzymać "partybilet". Lecz WKP/b jakby pogrzebała już polski komunizm. A Polska Partia Komunistyczna na pewno się odrodzi. Będzie reprezentowała Polskę pod okupacją hitlerowską. Będzie dążyć do wyzwolenia kraju. To znaczy, że nasz cel będzie sprzeczny z interesami ZSRR. Są sygnały, że w kraju organizują się już oddziały partyzanckie bez udziału komunistów. Na szczęście grupa komunistów - Polaków wróciła do kraju, aby walczyć z okupantem. Niektórzy towarzysze z dawnego KC, jak na przykład towarzysze Konarski, są ostrożniejsi. Na wszystko przyjdzie czas, Ciężpliwość. Jeden towarzysz Żyd powiedział: "Czego ty się tak niecierpliwisz? Bardziej niż towarzyszką Wanda Wasilewska, która jest Polką". Decyzja, powiadają, i to jest słuszne, musi przyjść od góry. Hitlera, powiadają, nie wolno drażnić. Pokój z ZSRR jest ważniejszy niż wszystko. Dla ZSRR tak, ale nie dla Polski. W interesie Polski jest wojna. Wolność Polski nie pierwszy raz zależy jest od wojny. Ale Stalin mówi, że nie będzie, więc nie będzie. Ale czy tak samo mówi i myśli Hitler? Trzeba dobrze żyć z Hitlerem, udawać, że nic się nie stało, że nic się nie wie. Kiedy trzeba było, Związek Radziecki apelował do uczuć solidarności międzynarodowego proletariatu, aby był gotowy do obrony pierwszego państwa socjalistycznego, ojczyzny wszystkich pracujących świata. Ale kiedy Hitler morduje komunistów niemieckich, Stalin milczy. To jest "tatyka". Dlaczego Hitler nie stosuje żadnej tatyki? Nie nie wkrzywa, realizuje "ideologię" wyłożoną w "Mein Kampf". Bo Hitler jest mocny. A Związek Radziecki szafuje słowami, które nie odpowiadają rzeczywistości. Powtarzamy: "Niezwykła Armia Czerwona". Jak wyglądała ta armia w wojnie z Finlandią?

Alles nagle przerwał.

- To wszystko jest bardzo smutne - odezwał się po dłuższym milczeniu Artur.

- Ale niech to zostanie między nami. Mam do ciebie zaufanie. I lubię cię jako towarzysza. Jeszcze z czasów Brygidek.

x

Dużo upłynęło czasu od spotkania z oficerem NKWD na Petczyńskiej. Artur niepokoił się. Niepodaśwanke dyrektor poprosił go do swego gabinetu. Miał strapioną minę, nie wiedział jak zacząć.

- Mój drogi panie Arturze... - zaczął się.

Artur uścisnął mu ramię:

- Zwolnienie z pracy?

Dyrektor administracyjny rozłożył ręce:

- Nakaz z góry - pokazał oczami drzwi, za którymi słyszał było rosyjską mowę. Artur poznał głos radzieckiego doradcy repertuarowego. Był to raczej cenzor. Wpadał tylko raz na miesiąc, po

wypłatę.

- Przypuszczałem. Spodziewam się tego.
- Dlaczego? Pracował pan nieźle.
- Miko sięszczę.
- To nie wyszło ode mnie.
- Wierzę.
- Mówiłem, że jestem z pana zadowolony. Przedwojenny komuni-

sta ...

- To mogło mi tylko zaszkodzić.
- Pan żartuje. Gdybym ja miał pańską przeszłość, mógłbym dla teatru niejedno zrobić.
- To się panu tylko zdaje.
- I pan to mówi?
- Artur opuścił głowę.
- Bardzo mi przykro, panie Arturze.
- Nie ma powodu. Robota się dla mnie znajdzie, jak dla każdego zresztą.

X

Artur był u Maryny Dorfmannówny wciąż lata kilkakrotnie. Mieszkała przy Noskowskiego, niedaleko Ogrodu Jezuitckiego.

Szedł ścieżkami mokrymi od śniegu. Pierwsze straciły liście kasztany. Stady czarne i nagie. Na fioletowych astrach osiadały topniejące płatki śniegu. Ławki były puste. Przechodnie śpieszyli tędy, jak przez szeroki zimny pasek. Tylko matki popychające dzieciennie wózki wybiłszy zaczęły alejki.

Służąca nie chciała go wpuścić, mimo że go znała. Otworzyła drzwi na szerokość łańcucha.

- Nie ma nikogo.

Z sąsiedniego pokoju wyszła staruszka w wełnianej szarej chustce i wytartym futrze z kretów.

- Czy pan jest powinowatym państwa Pawłowskich? Wczoraj w nocy ich wywieźli.

Maryny Dorfmannówny nie widziała, nie znała takiego nazwiska, ale jeśli to była wysoka blondynka, to ją też zabrali. Wcale nie wyglądała na Żydówkę.

- Czy Żydów bolszewicy też wywożą? Pan też jest Izraelita? Tak, teraz przypominam sobie. To była ta paniątko.

Artur wskoczył w bieg do tramwaju.

Dworzec główny z rozbitym szklanym dachem roił się od żołnierzy i cywilów mówiących po rosyjsku.

Na peronie dymiły lokomotywy pociągów osobowych. Wagonów będących nie było. Kilka razy przeszła się tam i z powrotem, aż mężczyzna w czapce z kauczukowym daszkiem zaczął mu się przyglądać i chodzić za nim.

Artur podeszedł do konduktora. Z twarzy i ubioru wyglądał na Polaka.

- Czy eszafon z wczoraj odjechał? Zwykle stały po kilka dni.

- I dzisiaj stoją, ale w polu.

- Daleko?

- Będzie ze dwadzieścia kilometrów.

- Teraz już ciemno.

- Zabrali panu kogoś? Szuka pan kogoś?

- Tak.

- To niech pan wskakuje - konduktor wszedł na stopień wagonu. - Stajemy w Zimnej Wodzie. Eszafon znajdzie pan na bocznicy.

Przydałaby się panu flaszka wódki. Czego pan stoi?

Lokomotywa zagwizdała.

- Panie, szybko, bo za chwilę ruszamy.

- Bez biletu?

- Co pan? Pan nie tutejszy?

x

Na stacji Zimna Woda wyszedł on jeden.

Dał przenikliwy wiatr i sypał wilgotny śnieg. W gęstniejącym mroku majaczyły zarysy czarnych wagonów. Długi sznur bez początku i końca. Ze straży nie było widać nikogo.

- Dawaj nazad. - przed Arturem wyrosła postać w szynelu i z długim sztykiem - Kuda leziesz?

Artur zabełkotał coś po rosyjsku. Żołnierz pchnął go mocno kolbą.

Artur opanował drżenie nóg.

- Wy znajecie, kto ja? - sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. - Redaktor! Ja imieju prawo. U mienia...

- Idi ty na chuj!

- Tylko nie grubitnie! Buda żałowatsa. Ja polskij komunist.

- Polskij komunist. Padmajesz? Bud ty dażę narkom. Zapugiwał naszowego brata prziszod. A mozet byt ty szpion!

- Da kakoj że ja szpion? A zapugiwał ja was, towarzyszcz, nie chcacz. Ja polskij komunist, redaktor polskoj komunistycznej gazjety.

- Czewo ty ka mnie priwiazaksz? Idi kdrugim. Tam tożę wagony jssz. A ty ka mnie leziesz. Czewo tiebie zdies nada?

- U mienia tut niewiasta. Po oszybkje popała.

- Na da, pu oszybkje, pu oszybkje. Wsie wy edinnakowyje. Kaka ja niewiasta? Gawarij!

- Niewiasta, prosto niewiasta.

- Nu i szto chatisz? Czewo ty ka mnie priwiazaksz?

- Chacz papraszczatsa.

- A gdzie ana, znajesz?

- Najdu - Artur chciał uściskać rękę żołnierzowi - towariszcz!

- Najdiosz, da najdiosz... Da. Sztob ja tiebie zdies bolsze nie widiek, a nisz, szwiedu kuda nada.

Żołnierz odwrócił się i oddalił. Po chwili znikł we mgle.

Artur podbiegł do wagonu, zapukał w nie domknięte drzwi. Nikt nie odpowiadał. Artur zapukał znova.

- Kto tam? - w szczelinie ukazała się czyjaś twarz.

- Czy nie ma tam z wami Maryny Dorfmann?

Twarz znikła, po dłuższej chwili znów ukazała się w szczelinie:

- Tutaj takiej nie ma.

Artur rzucił się ku drugiemu wagonowi. Nie zdążył zapukać, gdy poczuł na sobie ciężką rękę.

Był to inny żołnierz. Krzyczał i groził:

- Zastrielu, gad.

Odprowadził go do pokoju telegrafisty. Od żelaznego piecyka, rozpalonego do czerwoności, szedł gorący żar.

Nad nie dopita szklanka wódki, w rozpiętej na piersiach koszuli, siedział młodszy lejtnant NKWD. Bluza z dwoma rombami wisiała na krześle. Oficer miał dobrze w czubie. Podczas przesłuchania uderzał kufakiem w stół. Artur pokazał mu legitymację "Czerwonego Sztandaru". Oficer podniósł ją do oczu. Naga żarówka mżyła młodym światłem.

- Nu, krugłaja pieczat' - mrucał.

Legitymacja była dwujęzyczna: po ukraińsku i po polsku.

- A eto kakoj czort? Pa niemiecki?

- Nie, po polsku.

Officer pokręcił głową:

- Proczytaj.

- "Czerwony Sztandar..."

- Czerwony jak pa ukraiński. Znaczył u naszych ukrali.-

Zrobił ruch ręką, jakby wyrzucał natręta za drzwi.

Artu nie wychodził jednak. Prosił, żeby zobaczyć, czy nie ma w spisie Maryny Dorfmann.

Officer zerwał się i ryknął:

- Won!

## X

Żeby dostać pracę w szkolnictwie, trzeba było iść do "Obłono", Obwodowego Komitetu Ludowej Oświaty.

Przed drzwiami naczelnika, już od dłuższego czasu, stała grupa petentów. Ale nikt nie wchodził. "naczelnika nie było.

- Może wstrzymała go śnieżycy - powiedziała pani w futrze z fok wilgotnym od śniegu.

Wreszcie zjawił się zastępca i zaczął przyjmować.

Był to dyrektor gimnazjum żydowskiego, gdzie przez rok Artur uczył polskiego. Po wyjściu z więzienia. Wiener wyrzucił go za agitację komunistyczną wśród młodzieży. Były dyrektor posiwiał, twarz pokryła się zmarszczkami.

Wiener podszedł do Artura, aby się z nim przywitać. Wziął go za ramiona i lekko nim potrząsnął. Patrzył w oczy smutnym proszącym wzrokiem.

- Co za nisspodzianka! - zszokał. - Z żoną czytaliśmy wasze artykuły w gazecie. Zawsze mówiłem, że tkwi w was kawał literata. Żona niestety jest ciężko chora. Teraz, kiedy mogłaby spokojnie żyć. A wy, towarzyszu, ożeniłście się? Przepraszam, że dotykam intymnych spraw. Ale mam chyba odrobinę prawa? Czuliśmy do siebie wzajemną sympatię, prawda? A może się mylę, co? Niech pan powie.

Artur nic nie odpowiedział.

Wiener postać jeszcze chwileczkę. Potem skłonił głowę w bok i wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Kiedyś był przystojnym brunetem, kochały się w nim nauczycielki. Teraz przygarbiony, starszy pan.

- Pamiętacie, towarzyszu, Natka? Bardzo was lubił. Podczas strajku, jaki indywidualnie urządziliście w szkole, był po waszej stronie, przeciw własnemu ojcu. Studiujecie na politechnice. Jest "otlicznikiem" i zapalonym komunistą. Zawsze miał lewicowe przekonania. Musicie nas kiedyś odwiedzić. Natka ucieszy się bardzo. Byliście dla niego żywym przykładem idealisty. Ale proszę siadać. Jak się wam powodzi? Myślę, że dobrze. "Wstał czas o który walczyliśmy.

- Przepraszam, nie dosłyszałem. Co pan powiedział?

Były dyrektor zbledł, a po chwili znów zaczął:

- Uważa pan, że ja nie walczyłem? Nie walczyłem? Jak każdy człowiek pracy? Ciągnąłem tę budę jak dychawiczną szkapę. To była prywatna buda, nie państwowa. Uczniów mało, rodzice miesiącami zalegali z opłatą. A teraz? Szkolnictwo całej "obłasti", nie chwalać się, ja postawiłem na nogi. Nie muszę się borykać z powodu nie wykupionych weksli. Mogę spać spokojnie.

Wiener utkwiał oczy w pękatej, czarnej, teksturowej teczce,



związanej sznurowadłem. Czekał, aż odezwie się Artur. Zadrżała mu wygolona broda.

- Jeśli przyszedł pan, żeby mi dzisiaj zaszkodzić... - Wiener podniósł na Artura wilgotne ciarne oczy.

- Nie wiedziałem, że pana tutaj zastanę.

- To znaczy, że przyszedł pan z jakąś sprawą. Może skarga?

Co tylko będzie w mojej mocy... Służę panu jako dziennikarzowi wszelkimi materiałami. Jestem do usług. Nie wracajmy do przeszłości. Była ona dla nas obu koszmarna. Dla ratowania szkoły trzeba było niejedno zrobić. Dzięki miłe było kilkunastu nauczycieli. Pan pamięta rzesze bezrobotnej żydowskiej inteligencji?

- Wcale nie chcę panu zaszkodzić,

- Proszę mi powiedzieć, jaki jest cel pańskiej wizyty.

- Myślałem, że zastanę naczelnika.

- Jestem jego zastępcą.

- Nie wiedziałem.

- Mnie pan nie może powiedzieć?

- Nie.

- Nie ma pan do mnie zażalenia?

- Nie o to chodzi.

- Nie nalegam. W końcu nie dziwię się. Chciałbym, żeby pan uwierzył, że jestem lojalnym pracownikiem. Haruje jak dawniej, a może i więcej. Staram się, ile starczy sił. Warto dla idei.

- Cieszy mnie to.

- Usłyszeć takie słowo z pańskich ust jest dla mnie... - Wiener położył rękę na sercu. - Wiedziałem, że jest pan porządnym człowiekiem, niedostępnym dla niskich pobudek. Teraz się panu przyznam: kiedy zobaczyłem pana... proszę mnie źle nie zrozumieć, nie przeciw panu nie mam. Podajmy sobie ręce. Stoimy po tej samej stronie barykady.

- Rzeczywiście!

- Niech pan zobaczy - zastępcą naczelnika wyciągnął z portfela wycinek z gazety. Pod dość dużym adjectem było napisane po ukraińsku: "Doblesław Wojsiejewicz Wiener - szturmowiec na polu oświaty ludowej". - Jak towarzyszu widzi, praca moja jest doceniana. Zostałem zauważony przez władzę radziecką.

- Gratuluje.

- A w waszej pracy też macie sukcesy?

- Bardzo nikłe.

- Zawszyczacie mnie swoją skromnością. Wasza praca musi być szalenie ciekawa. Zawsze zazdrościłem ludziom pióra. Od pierwszej chwili nurtuje mnie pewna myśl. Chciałem się zwrócić do was z propozycją... Wamy w szkole niewie do zanotowania szereg osiągnięć. Na polu ideologicznego wychowania młodzieży jest parę szkół z językiem wykładowym polskim, między innymi jest to, nie chwając się, moja szkoła. Proszę sobie wybrać jaką chociaż szkołę, klasę

.....

- Nie rozumiem.

- Zwizytujcie lekcję, jedną albo dwie, przysłuchacie się odpowiedziom uczniów i napiszcie reportaż. Dobra myśl, czy?

- Oczywiście, myśl dobra, ale ja nie mogę się tego podjąć. Znacznie lepiej robi to redaktor Robert Link, poeta. Mogę z nim porozmawiać.

- Rozumiem. Dla was to zbyt brzydki temat. No cóż!

- Wcale nie... wcale nie...

Otworzyły się boczne drzwi i wszedł młody jeszcze mężczyzna z wydatnym bruchem.

Był to naczelnik.

Wiener wybiegł mu naprzeciw w ukłonach:

- Zdrastwujcie, Boris Łazarewicz.

Boris Łazarewicz zajął miejsce Wienera przy biurku. Wyjął paczkę kasebeków i położył na stole. Zapalił i poczęstował Wienera. Wiener wyglądał na niepalącego, ale papierosa nie odmówił.

- Żegnam i proszę zastanowić się nad moją propozycją - Wiener poklepał Artura po ramieniu.

Na schodach przyszło mu na myśl, że mógłby jednak Wienera wykorzystać.

Wiener, gdy znowu go ujrzał wchodzącego, zbladł.

- Czy w sprawie mojej propozycji? - uśmiechnął się krzywo.

- Nie. W sprawie nauczycielki Maryny Dorfmannówny.

- O co chodzi?

- Została wywieziona.

Wiener milczał. Spojrzał w stronę naczelnika.

- Czy nie zechcielibyście w jej sprawie interweniować?

- Interweniować?

- Zabrali ją przez pomyłkę, razem z rodziną, u której mieszkała.

- Jeśli pomyłka... to ją na pewno zwolnią. Prawda, Boris Łazarewicz?

Naczelnik zmrużył jedno oko od dymu papierosa.

- Należy jej pomóc, towarzyszu dyrektorze! To była wasza pracownica.

- Dziwię się wam, towarzyszu Salz.

- Mogę za nią ręczyć.

- Nie bądźcie dzieckiem.

- Proszę...

- Zrozumiełiście o co chodzi, Boris Łazarewicz? - Wiener zwrócił się do naczelnika po rosyjsku.

Naczelnik potarł policzek ręką, porośniętą jasną szczeciną.

x

Leon Hubel miał piękną kawalerkę z fortepianem. Wiekło było otwarte, jakby przed chwilą ktoś grał.

Leon ucieszył się, kiedy zobaczył Artura.

- Coś się stało? - spytał.

- Znowu jestem bez pracy. Miałeś wtedy rację, kiedy mnie! spotkałeś na Zyblikiewicza. Po przesłuchaniu w NKWD. Nie od razu zwolnili. Poczekali trochę.

- Oni nie lubią, żeby człowiek znał przyczynę. Zwłaszcza, że często jej nie ma. Spróbuj ci coś załatwić - Leon podniósł się z krzesła.

- Artut zatrzymał go ruchem ręki.

- Chcesz coś zjeść? - spytał Leon.

- Nie. Dziękuję. Znałeś może koleżankę Racheli ze studiów pedagogicznych, Marynę? Marynę Dorfmannównę?

- Nie znam. A propos... Może być wrócił do Racheli?

- Żeby znowu być na jej utrzymaniu?

- Masz drobnomieszczańskie skrupuły.

- Może. Ty się przyjaźnisz z Rybakowem, pułkownikiem NKWD, lokatorem pani Huttenowej.

- Skąd wiesz?

- Mówiła mi Racheli.

- Z twojego punktu widzenia nie powinno to być nic złego.

- Oczywiście. Idzie mi o interwencję w sprawie Maryny. Wywiśleźli ją. Tyś polecił Rybakowa pani Huttenowej. I dzięki temu Racheli wyszła z więzienia.

- Wszystko wiesz.
- Może nie wszystko, ale nie jestem ciekaw.
- Nęszuszenie mnie podejrzewasz.
- Pogadasz z Rybakowem?
- A więc straciłeś pracę i dziewczynę. Kochasz się w niej?
- Nie. Poznałem ją w teatrze. Pracowała jako suflerka.
- I to wszystko?
- Tak. Wszystko.
- Mnie to chcesz wmówić? Nie wierzę. Teraz rozumiem całe twoje postępowanie z Rachelą.
- Nic nie rozumiesz.
- Do Rybakowa nie pójdę. Ale o pracę zaraz się wystaram.

Spróbuję zadzwonić.

Telefon stał na gerydonie w korytarzu za wieszakiem.

Leon prowadził rozmowę po rosyjsku.

Wrócił z radosną nowiną.

- Pójdiesz jutro do dyrektora Obłpiszczpromu, to jest przemyślny spożywczy, do Arkadija Samuelowicza Biełusowa. Potrzebny tam uczciwy człowiek. Powołasz się na mnie. Nie wspominaj, że byłeś polskim komunistą, tę wiadomość schowaj sobie na inne czasy. Jeśli zapyta, to hic nie mów, masz powiedzieć, że z ostatniej pracy sam odszedłeś, nie bój się, nikt tego nie będzie sprawdzał, nie ma na to czasu, poza tym możesz liczyć na ogólny bałagan. Cemu odszedłeś? Mało zarabiałeś. Postaw sprawę wynagrodzenia, dowiedz się, według jakiej stawki płac ustalona będzie twoja pensja. Oni takie postawienie sprawy bardzo cenią. Nie od razu się zgadzisz, potarguj się, ale rób to z humorem, to oni też lubią. To rób dobre wrażenie. To znaczy, że jesteś nasz brat. Że można z tobą konie kraść. Ja was obu potem zaproszę na kolację do George'a.

Artur wstał i zaczął się żegnać.

- Nie podoba ci się?

- Nie bardzo.

- Ale mimo to powinienes tam pójść. To jest bardzo dobre stanowisko. Inni dopkacają, żeby się tam dostać. Pójdziesz?

- Zobaczę.

x

Oczywiście nie poszedł.

x

Przyszła do niego Rachela.

Mówili o Marynie.

- Bardzo piękna dziewczyna. Cudowny człowiek.

- Kiedy ją ostatnio widziałeś?

- Straciłam ją z oczu po skończeniu kursów pedagogicznych.

Ona zaczęła pracować naprzód jako nauczycielka, a potem zupełnie zniknęła z horyzontu.

- Zabrali ją.

- Wiem.

- Jak mogli! Zabrali przypadkową sublokatorkę! Jak mogli!

- Wciąż jeszcze masz złudzenia?

- Proszę cię, Helu!

- Dobrze.

- Ucieszyłem się, że przyszłaś.

- Naprawdę?

Rachela rozglądała się po ścianach zamalowanych kubistycznymi, wirującymi kulami i trójkątami.

Po korytarzu kręciła się pani Helena. Ale drzwi były zamknięte. Zapukała i wniosała dwie szklanki herbaty z cukrem.

- Przydałby się plasterk cytryny. Odkąd weszli sowiści, nie widziałam cytryny na oczy. - Pani Helena pokazała w uśmiechu olbrzymie zęby. - Jakies nieszczęście, trzecia zima taka. Trzaskający wróż, napijcie się czegoś gorącego. Przed wojną takiej zimy nie pamiętam. Panienska też pracuje w teatrze? Jak tamta blondyneczka?

Artur poczerwieniał.

Pani Helena oparła się wielką ręką o biodro.

- Nasz pan Arturek jest solidny mężczyzna. Spokojny. Zawsze to powtarzam memu panu. Pijcie, dzieci, zanim wystygnie. Może kromeczkę chleba z maselkiem? Masło udało mi się kupić u baby ze wsi. Przepraszam, pójdę, mój pan zaraz wróci z teatru.

Pani Helena zabrała puste szklanki i wyszła. Zostawiła drzwi lekko uchylone. Słychać było, jak przesuwają na kuchni garnki.

- Herod baba - zaśmiała się cicho Rachel.

- Kariatyda.

- Ale jest ci tu dobrze.

- Tak.

- Jesteś teraz bez pracy?

- Grupaśtwo.

- Pewnie.

- Leon ci coś załatwił, zdaje się.

- To nie dla mnie. Mówił ci, jaka to praca?

- Tak.

- Uważasz, że powinienem ją przyjąć?

- Wcale tak nie uważam.

- Byłem tego pewny. Przynajmniej raz się ze mną zgadzasz.

- Gdzie byś chciał pracować?

- Nie wiem. Spróbuję zacząć coś pisać. Może wydrukują.

- Na pewno wydrukują. Powinieneś pisać.

- Tak sądzisz?

- Jestem pewna.

- Żebym ja był taki pewny.

- Ale żeby pisać, trzeba z czegoś żyć.

- Jakoś dam sobie radę.

- Nie wątpię, ale przez jakiś czas mógłbyś u mnie zamieszkać.

Rodzice już u mnie nie mieszkają.

Artur zwiesił głowę.

- Więc?

- Zobaczę... Właściwie nie... Nie.

- Trudno.

- Was coś ciągle łączy, ciebie z Leonem. Dlaczegoście się rozeszli?

- On przed wojną chciał jechać do Palestyny, a ja nie chciałam. Wiesz, czasem wydaje mi się, że czekałam aż ty wyjdiesz z więzienia. Wyjechałeś do Płocka. Nic mnie z nim nie łączy.

- Jest uczynny, życzliwy ludziom.

- Ale on się zandt nadaje do dzisiejszych czasów.

- Ja też - powiedział Artur.

- Ty porównujesz się z Leonem? Jesteś jego odwrotnością.

- Może przystosowałem się do dzisiejszych czasów? Nie uważasz?

- Niestety, u ciebie jest to szczerze.

- Niestety? Wolałabyś, żebym kłamał.

- Nie wiem. Wolałabym, żebyś nie był takim, jakim jesteś.

- Jestem komunistą.

- Zastanawiające, że tak często to powtarzasz.

- Z powodu twojej awersji do komunizm .
- Włęc jest to przekora?
  - Nie, to ideowy stan pogotowia, że się tak wyrażę.
  - Boże! Przeszanmy wręszcie! Czy nic już nie ma poza polityką? Człowiek jest taki samotny...
  - W socjaliźmie człowiek nie jest samotny.
  - Tak. Zawsze ktoś za nim idzie...
  - Jesteś złośliwa.
  - Bo na wszystko masz odpowiedź. Zawsze masz jakąś formułę.
  - Nigdy nie dojdę z tobą do ładu.
  - Ani ja z tobą.
  - Tośmy się porozumieli...
  - Żyjesz abstrakcją, a ja widzę komunizm w praktyce.
  - W jeden dzień nie da się wszystkiego zmienić.
  - Owszem, dało się, na goręsze.
  - Tyś nie cierpiała głodu, dla ciebie nie istniało takie pojęcie, jak kapitalistyczna niewola.
  - Takiej niewoli jeszcze nie było, jak świat światem, takiej niewoli w historii nie było, żeby śpiewać, tańczyć, klasnąć i chwalić niewolę jako wolność.
  - Jakim prawem ty tak mówisz? Czy ty cokolwiek wiesz o marksizmie? Czytałaś coś?
  - Masz słuszność, mam do tego awersję.
  - Szkoda, może niejedno by ci się wyjaśniło. Może by ci to coś wytłumaczyło.
  - Mylisz się. To by mi wszystko wytłumaczyło i to jest najgroźniejsze... każde kłamstwo, każdą zbrodnię. Ta twoja ideologia zaczerpnięta z książek włożyła ci okulary na nos z wąską marksiśtowską szparką. Ażebys nic innego nie dostrzegła.
  - Wręc przeciwnie! To nieprawda! - przerywał jej Artur.
  - Taki człowiek staje się automatem. Wrzuca się do niego garść pytań i gotowych odpowiedzi. Wy nie macie własnego mózgu! Zdaliście się na mózg jednego człowieka.
  - Ten człowiek to geniusz!
  - Na nim się wszystko kończy. Co będzie, jak on sam się skończy?
  - Zostanie partia.
  - Zostanie strach.
  - Nieprawda!
  - Zostanie terror...
  - Zło konieczne...
  - Dla kogo, komu służy?
  - Jak to: komu?
  - Tak. Komu? Nie przyszło ci w ogóle do głowy!
  - Posyć! Dajmy temu spokój!
  - Terror służy władzy. Dnia by bez terroru nie przeżyła.
  - Gadasz głupstwa. - Artur zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju - ty nie rozumiesz - krzyczał - ty mnie nigdy nie rozumiałaś. Jesteś na to zbyt ograniczona.
  - Najlepsza odpowiedź - Rachelę wodziła za nim wzrokiem - oto najlepsza odpowiedź.
  - Artur ochłonął. Usiadł z powrotem obok Racheli i ukrył twarz w dłoniach:
  - Przepraszam cię, Helu,
  - Rachela długo milczała, Artur też milczał.
  - Rachela odezwała się pierwszą:
  - Wiesz, po co tu przyszedłem? Rodzice się wyprowadzili.
  - Nie. Nie mogę.

- Będziesz miał spokój.
- Artur kręcił głową.
- Po rodzicach zostało łóżko...
- Artur nie nie odpowiedział. Udawał, że nie rozumie ostatniego zdania. Starzał się nie dać po sobie nic poznać.
- Wyprowadzisz się, kiedy zechcesz.
- Nie mogę.

x

Zgasło światło, Artur podszedł do okna. Na ulicy panowała granatowa ciemność. Latarnie nie paliły się. Szukał w szufladzie zapalnek, ale nie znalazł.

Ze świecą w ręku weszła pani Helena:

- Wyłączyli elektrownię. Nie wiadomo, kiedy ją włączą. Nigdy nie wiadomo.

Rachela wstała.

- Gdzie pan! Pójdzie w taką ciemność? - powiedziała pani Helena. - Jeszcze się jaki sołdat przyczepi.

- Tramwaje nie kursują. Poczekaj - odezwał się Artur.

- Pójdę piechotą.

Artur odprowadził ją do domu.

x

Posłaniec z redakcji "Czerwonego Sztandaru" przyniósł Arturowi list. Na kopercie zrobionej z gazety był adres nadawcy:

- Zbyszek - krzyknął Artur.

Rozdarł drżącymi palcami kopertę. List nadszedł z stębi ZSRR. Czyżby Zbyszek został wywieziony?

"Mój drogi. Na pewno zdziwisz się, że piszę do Ciebie z tak daleka. Przede wszystkim parę słów o przeszłości. Wiem, że siedziałeś we Wronkach, skąd mnie wywieziono do Wiśnicza. Tam zastała mnie wojna. Z towarzyszami poszliśmy do Warszawy, aby jej bronić przed hitlerowcami. Gdy Czerwona Armia stanęła na krótko nad Wisłą, przeszedłem na stronę sowiecką. Wróciłem do naszego miasta i chciałem zacząć pracować. Ale mi się tutaj nie podobało. Pisywali do małych miasteczek najgorszych ludzi. Toteż kiedy przeczytałem ogłoszenie o mobilizacji sił roboczych do Donbasu, z radością się zgłosiłem".

- Po co? Potrzebne ci było? - wyrwało się Arturowi. Odłożył szarą poliniowaną kartkę.

"... Uważałem to za swój obowiązek. Jakims cudem zawałęsała się tutaj wasza gazeta "Czerwony Sztandar", a w niej Twój artykuł. Bardzo mi się spodobał. Napisałeś go w naszym duchu. Myślę, żeś mnie jeszcze nie zapomniał i znajdziesz chwilę czasu dla dawnego przyjaciela, ażeby mi napisać parę słów. Nie możesz sobie wyobrazić, jak jestem spragniony wiadomości w ogóle, a od Ciebie w szczególności. Natura mnie nie obdarzyła talentem, jak Ciebie, i nie mogę pisać do gazet na Twoje podobieństwo. Ale pracuję i staram się z wszystkich sił zastąpić sobie na zwanie stachanowca. W ten sposób najlepiej przysłużę się wielkiej idei międzynarodowego proletariatu i może kiedyś przeczytasz w gazecie i moje nazwisko. Jakby to było dobrze, gdybyś tutaj przyjechał, choć na krótko. Pogadalibyśmy sobie jak dawniej. Pamiętasz nasze dyskusje. Byłem pewny, że staniesz się naszym towarzyszem. Muszę kończyć, bo w naszym obszczeźciu robią porządek a na mnie już czas. moja zmiana zjeżdża zaraz do szachty. Kończę, oczekując rychłej

odpowiedzi. Cześć. Z proletariackim pozdrowieniem.  
Zbigniew Taras".

Pokażę to Racheli - pomyślał Artur - niech widzi... Albo nie, raczej nie...

x

- Towarzyszu, właśnie o was myślałem - był to Wołodia Bojm, redaktor z Odessy. Żyd, mówiący niżejle po polsku. Zachwycał się zamieszczanymi w "Sygnałach" artykułami aresztowanego poety Mażeckiego. - Mówiliśmy o was z towarzyszem Szmerem. On was szuka. Chodźmy do redakcji.

Artur spotkał Wołodię Bojma na ulicy Zimorowicza, niedaleko "Czerwonego Sztandaru".

Szmer rozwarł ramiona i wyszedł zza biurka:.

- Znalazła się wreszcie nasza zguba. Znowu bez pracy? Jak długo?

- Od paru miesięcy.

- I nie dałeś znać. Szukałem cię.

- Leon Hubel zna mój adres.

- Nie przyszło mi to do głowy. Sam wiesz, jaki tu młyn - Szmer skrzywił się.

- Ja swoje zrobiłem. Dostawiłem winowajcę na miejsce. Resztę załatwiają ty. Zostawiam was samych - Bojm pomachał obu ręką i wyszedł.

- Człowieku, co ty wyprawiasz, że zewsząd cię wylewają? - Z czego żyjeś tak długo bez pracy? Może ci trzeba pieniędzy? - Szmer sięgnął po portfel.

- Nie trzeba mi pieniędzy. Dziękuję. Szukałeś mnie? Chciałeś się ze mną widzieć.

- Chciałem to za mało, pragnąłem - Szmer uśmiechnął się mrużąc oczy. - Otóż - zaczął poważnie - zwróconę się do mnie z radia. Potrzebny kierownik polskiego programu. Pomyślałem sobie, że ty byś się do tego nadawał. Tylko czy już kogo nie przyjęli. Poczekaj, zaraz się dowiemy.

Szmer podniósł słuchawkę. Poprosił dyrektora Koralowa. Rozmowa toczyła się po rosyjsku.

- Mam wreszcie tego kandydata... Tak, Iwan Pietrowicz, na pewno... od zaraz... - Szmer kiwał głową. - Tak, Iwan Pietrowicz, wszystkiego dobrego. Bardzo dziękuję. - Szmer położył słuchawkę na widełki. Zetnął ręce.

Artur czekał, aż Szmer się odezwie.

- Masz szczęście. Właśnie mieli już jednego, ale, oczywiście, wolą mojego kandydata. Wal, chłopie, na Batorego, nie wiem, jak ją teraz "przemianowali". Zdasz się, że na Suworowa. Całkiem możliwe, przy ich poczuciu taktu...

W wiecznym ciemnym korytarzu redakcji natknął się na Roberta z Teresą.

- Wiekł całe. - zawołała Teresa.

Uścisknęli się.

- Zapomniałeś o nas.

- Wpadnij kiedy do nas - zaproponował Robert.

- "Kiedy". To nie jest żadne umawianie się. Czekamy ciebie w przyszłą niedzielę. Gemacht?

x

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Artur wstawał o drugiej w nocy dawnego czasu, czyli o czwartej moskiewskiego. Kładł się spać o ósmej wieczorem dawnego czasu, aby po sześciu godzinach zerwać się na głos budzika. Zasy-piał z trudem, sen miał niespokojny i przez resztę dnia chodził z ciężką, jakby zaciągniętą głową. Nie miał, jak wszyscy mieszkańcy kamienicy, kluczy i co dzień musiał dzwonić na dozorcę. Dozorca nigdy się nie śpieszył. To była ulga, kiedy skrzypnęły wreszcie drzwi dozorcówki i dawało się słyszeć człapanie ciężkich butów.

Mimo że była jeszcze noc, liczni przechodnie zapelniali słabo oświetloną ulicę. Pod nogami trzeszczał śnieg. Forwany wiatrem gnał po chodniku i jezdni, ulatywał w górę i migotał w srożku światła latarni. Blaszane, niedbale przytwierdzone nowe szyldy brzęczały. Rosyjskie litery jaskrawe za dnia teraz były czarne. Okna kamienicy też były czarne, w niektórych światło przenikało przez zasłony. Nie oświetlone witryny były puste, towar zabierano na noc z wystawy. Ziejące mrozem żaluzje miały otwiany pokryk. Czasem rozlegał się odgłos podnoszonych żelaznych rolet. Otwierają no sklep spożywczy. Z bocznej ulicy dochodziło skrzypienie wozu i klaskanie kopyt konskich o zamrażnięty grunt.

Tramwaje, świecące w ciemności, dawoniły. Na przystanku stała kolejka. Ludzie tupali nogami, a z ich ust wydobywały się kłęby pary.

Na ulicę Batorego Artur miał niedaleko. Zawsze przychodził przed piątą. Godzinę miał na tłumaczenie. Zastawał już dyrektora, Iwana Pietrowicza Koralowa, młodego jeszcze człowieka o sympatycznej twarzy. Kiedy pokazał się u niego pierwszy raz, jadł wczesne śniadanie. Na gazecie leżał rozpatroszony śledź, obok pół bochenka chleba. Ażeby się przywitać, Koralow wytarł ręce o papier. Spytał Artura, czy w domu już coś przekąsił i zapraszał, żeby się poczęstował.

Od Iwana Pietrowicza otrzymywał kilka stroniczek. Na każdej była jedna wiadomość w języku rosyjskim. Donosiły o sukcesach Związku Radzieckiego, o stachanowcach, o przekroczeniu planów, o bohaterstwie pracy robotników i chłopów. Wyliczano nagrodzonych medalami za trud, wyróżniono też krowy-rekordzistki, które dawały najwięcej mleka, oraz najpłodniejsze maciory. Dojarki i hodowcy otrzymywali pochwały Rady Najwyższej ZSRR. Osiągnięcia były często imponujące, jak na przykład 2000% /skownie: dwa tysiące/ normy dziennej drwa, gdzieś na dalekiej północy. W tejże czy na Syberii. Miejsca dokładnie nie podawano. Tak wresztą było w więk-



szości wypadków, co skłaniało tutejszych Ukraińców pracujących w radio do ironicznych uśmiezków. Zagranicznych wiadomości było mało albo wcale. Gdy minął okres mgieł, zaczęły dochodzić echa powietrznej wojny niemiecko-angielskiej. Podawano, że lotnictwo niemieckie odniosło sukcesy, że Londyn objęty jest morzem pożarów. Wyrażano oburzenie, że imperialistyczny rząd brytyjski i koła wojskowe, pchające Anglię do bezmyślnej wojny w obronie rzekomo polskich interesów, narażają ludność cywilną na daremne ofiary. Cyniczne szermowanie hasłem obrony nie istniejącej zresztą już Polski jest jedynie obłudną maską, za którą kryje się plan zniszczenia Niemiec, związanych umową sojuszniczą z ZSRR. Wiadomości meteorologicznych nie podawano. Nie wiadomo, jaka będzie pogoda i ile stopni mrozu. Artur spytał o to Iwana Pietrowicza.

- Wojenną tajemnicę - odpowiedział.

Odczytanie dziennika przez spikerkę Polę Marzec, córkę szewca, którego Artur znał z więzienia, trwało dziesięć minut i Artur był wolny. W "Radio" jednak zostawał, było tu cieplej niż w domu.

X

- Mam za dużo wolnego czasu - skarżył się Artur.
- Robertowi wczynie go brak - Teresa spojrzała na zegarek. - Jestem głodna i dłużej czekać nie będziemy. Siadajcie do stołu. Artur dawno już nie jadł takiej kolacji.
- Skąd macie te ryby? - spytał.
- To konserwowa białuga. Nie wiem, jak się nazywa po polsku. Kupiłam po prostu w sklepie, wcale nie było kolejki. W ogóle trzeba przyznać, że aprowizacja się poprawiła.
- Chwilowo, a potem znowu będzie gorzej - powiedział Robert.
- Ale przedtem nawet tego nie było - odparła Teresa.
- Trzeba być obiektywnym.
- Bardzo szlachetnie - Artur wychylił kieliszek duszkiem.
- Czy tobie osobiście nie jest lepiej niż przed wojną?
- Teresa zwróciła się do Roberta. - Z początku ja też narzekałam. Ale jak długo można być malkontentem?
- Teraz jest mi osobiście lepiej? - oburzył się Robert.
- Czuję się jak więzień. Gorzej, bo więzień nie musi kłamać przynajmniej w celi.
- Ale nie zrywasz się już z krzykiem w nocy.
- Do wszystkiego można się przyzwyczaić.
- Wywózki uszały. Życie stało się znośniejsze.
- Przyzwyczaiłem się.
- Teresa ma rację - Artur nalał sobie wódki.
- Przypomnij sobie, ile poeta zarabiał przed wojną, a ile teraz? - pytała Teresa.
- Teresa, ja cię wprost nie poznaję - wykrzyknął Artur. - Odbiłaś duży szmat drogi. Warunki socjalistyczne sprzyjają podnoszeniu świadomości mas. Witam cię na wspólnej drodze...
- Słyszysz, Teresa? - Robert śmiał się mając pełne usta jeżemnia.
- To mnie nie dotyczy, staram się tylko być obiektywna. To wszystko. Zresztą przestańcie dyskutować, proszę was.
- Spojrzała na zegarek. - Co się mogło stać, że Rachelę się spóźnia?
- Rachelę? - Artur szeroko otworzył lekko przekrwione oczy.
- Tak. Rachelę bywa u nas od czasu do czasu.
- Nie wiedziałem.

- Niech więc to będzie dla ciebie niespodzianką. Rachel też nie wie, że ty będziesz.

- Późniejsza niespodzianka - krzywo uśmieszczał się Artur.

- Jesteś niespodziany? - spytała Teresa.

- Skądże znowu. Tylko...

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Była to Rachel.

Weszła, chwilę zatrzymała się, zrobiła zdziwioną minę i skłoniła się Arturowi. Następnie usiadła na wolnym krześle obok niego.

- Taki mróz - rozcierała zziębnięte ręce - ta zima nigdy się nie skończy.

- Nie narzekaj, tamtego roku było gorzej - powiedziała Teresa.

- Taki mróz - Rachel chuchnęła w dłonie.

- Byliśmy już o ciebie niespokojni - Teresa nałożyła na telerz Racheli porcję ryby.

- Konferencja później się zaczęła i później się skończyła - uświadliwiła się Rachel. - Czekałiśmy na rodziców, ale przyszły tylko dwie stare panie, na pewno babcie uczniów. To było całe ciało rodzicielskie. Jeszcze jedna farsa. Jedna z nauczycielek, młoda, piękna Polka, wygłosiła referat po ukraińsku. Trzeba przyznać, że nauczycielki Polki lojalnie pracują, oczywiście ze strachu. Czytała monotonnie i długo. Jakaś się i wyliżał Dyrektor, Ukrainiec, kilka razy ostentacyjnie ją poprawił. Obie babcie zasnęły. Dykusijsi nie było. Na szczęście. Ale przemówił dyrektor, radziszki towarzysz. Był to drugi referat, jeszcze dłuższy. Na temat roli rodziców, domu, w wychowaniu socjalistycznym młodzieży szkolnej. Powiedział między innymi, że dzieci mają prawo krytykować rodziców, a nawet, w wypadkach szczególnych, domagać się ochrony przed złym wpływem domu.

- Donosy na własnych rodziców - przerwał jej Robert.

- Marzę o jednym - Teresa zatkła sobie uszy - żeby zjeść spokojnie kolację. Bez polityki.

- W polityce robimy pauzę - powiedziała Rachel i zwróciła się do Artura - masz wreszcie odpowiednie zajęcie. Codziennie słychać twoje nazwisko w radio. Jak usłyszałem pierwszy raz, zrobiło to na mnie wrażenie. - Podniosła głowę znad talerza, żeby spojrzeć na Artura.

- Nie wiem, dlaczego podają moje nazwisko.

- Bo na pewno się podpisujesz - odezwał się Robert.

- Tak mi kazali, choć nie ma tam ani jednego mojego słowa.

- Wszystko jedno - Robert wychylił się i poprzez Teresę poklepał Artura po ramieniu. - Jesteś kierownikiem Polskiego Programu Radia Ukraińskiego.

- Program trwa dziesięć minut.

- Masz zmartwienie. Dzięki Bogu, wystarczy tego dobrego. Powinieneś się cieszyć. Twoje nazwisko rozbrzmiewa w głośnikach na rogach ulic i na placach razem z historią - Robert podniósł w stronę Artura kieliszek.

- Ja tego nie słyszę. Siedzę w kabinie i słucham uważnie co mówi spikerka Pola Marcówna.

- Szkoda - zmartwił się Robert.

- Oj, Robert, Robert - Rachel kiwnęła na niego widelcem.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Teresa zbladła.

- Kto to może być?

Robert chciał iść otworzyć, ale Teresa nie puściła go. Wyszła na korytarz, skąd po chwili dał się słyszeć jej dźwięczny głosik:

- Wejść, wejść, Robert się bardzo ucieszy... Wcale nie... Nie przeszkadzasz. Kończymy kolację.

Gość wydał się Arturowi znajomy. Znał skądś tę smagłą, pociągłą twarz. A gdy przedstawił się, podając nazwisko Biłyk, Artur przypomniał sobie, gdzie widział tego młodego człowieka.

- Spotkałem was raz u towarzysza Pełechatego - powiedział Artur po ukraińsku. - Czytałem wasze wiersze w przedwojennych lwowskich "Wiknach".

- Może być - odpowiedział Biłyk po polsku. - Ciebie mało wiadać w Związku - zwrócił się do Roberta.

- Zebrania odbywają się wieczorami, kiedy ja robię korektę.

- Wciąż jeszcze? Nie nudziś się?

- To lepsze niż pisanie.

- Przestałeś pisać?

- Przestałem drukować.

- Niestety - westchnęła Teresa - moim zdaniem niesłusznie. A jak ty uważasz, Oleś?

- Nie wiem, nie znam tych wierszy.

- Masz rację - zgodziła się Teresa. - Robert, może przeczytasz nam swój ostatni utwór "Wielki cień".

- Co słychać w Związku? - spytał Robert.

- Profesor Kałuski wystąpił niespodzianie w obronie... ukraińskich pisarzy. Że się ich krzywdzi - smagła twarz Biłyka okryła się ciemnym rumieńcem - właśnie ukraińskich!

- Kto ich krzywdzi?

- Wiadomo kto.

- Na korzyść polskich pisarzy naturalnie?

- Dziwne, że Kałuski przysięgnie na to się odważył.

Deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, przedwojenny antykomunista. Wiadziałem, jak przemawiał na wiecu. Po potoku śliny poprzednich mówców, powtarzających jak papugi to samo, usłyszałam nagle deklamację: "orze z hir kaukaskich, żety, ty szyj orzei". Kałuski przemawiał do portretu Stalina. To było nie tylko śmieszne, ale nie w stylu naszych braci zza Zoracza. Takie metafory są dla nich obce, fałszywe, a jeśli idzie o Stalina, to ma on zatwierdzone epitety i wszystko inne brzmi jak bluźnierstwo. Dziwne, że jsmu to uszło. Wiadać wierzą mu.

- Bardzo dobrze, niech wierzą, dobrze, że można ich oszukać - odezwała się Teresa.

- To nie jest takie proste - Biłyk pokręcił głową - oni wcale nie wierzą, tylko udają.

- Ciekawe - Teresa wpatrywała się w Biłyka jak w obraz.

- Wolą to niż milczenie. Milczenie zawsze jest dla nich podejrzane. A tym bardziej opór. Oni znają przeszłość profesora Kałuskiego nie gorzej od nas. Ale są radzi, że chce grać komedię. Na razie to im wystarczy. Tak im jest na rękę. Obnoszą się z nim, pokazują: patrzcie, kogo mamy. Kałuski ze swej strony świetnie sobie zdaje sprawę, że jest w ich rękę chorągiewką.

- To będzie jeszcze jeden proces moskiewski - Robert spojrział ukredkiem na milczącego Artura. Miał czerwoną twarz. Może za dużo wypił? To znaczy, że będą go wyzykiwać do czasu. A jak już będzie niepotrzebny, przypomną mu jego przeszłość.

- To nie jest zupełnie tak. Procesy moskiewskie skazały komunistów - rzekł Biłyk.

- W takim razie to będzie jeden z tych nielicznych wypadków, gdy podsądny jest winny - dodała Rachel.

- Albo stanie się prawdziwym komunistą - Artur jakby się obudził - przyszłość pokaże... przyszłość jest po naszej stronie...

- Może być - uśmiechnął się Biłyk.

- Może być - przyłączyła się Rachel - człowiek tak długo udeje wariata aż się nim staje.

- Zwłaszcza, kiedy to udawanie popłaca - dodał Robert  
 - To nie jest takie proste - Bilyk pokreślił głową - ... nie idzie o to, czy popłaca, - Bilyk otarł serwetką ucha.  
 - Przypuszczam, że profesor Kafuski postępuje tak według instrukcji nacjonalistycznej organizacji ukraińskiej. Przypuszczam, że jest związany z grupą, która zainstalowała się w Krakowie.

- I władze radzieckie nic by o tym nie wiedziały? - zaśmiał się głośno Artur.

- Myślę, że wiedzą.

- Jedni wiedzą i drudzy wiedzą. Bawią się w kotka i myszkę. Zapewniam was, towarzyszu Bilyk, a bardzo was cenię jako rewolucyjnego poetę ukraińskiego, że władza radziecka zrobi wkrótce porządek z ukraińską kontrą.

- Trzeba by wywieść całe powiaty.

- Trudno.

- Są na to za słabi. Inaczej dawno by to zrobili. To nie to samo, co wywózka z miasta. Wiesz to nie miasto. Prowodzący ukraińscy powstrzymują chłopów od buntu. Jeszcze nie czas. Ale kiedy padnie pierwszy strzał na granicy...

- Kiedy padnie pierwszy strzał? - spytała Rachel.

- Artur rzucił jej wściekłe spojrzenie:

- Tak ci się śpieszy? Wolisz Hitlera?

- To argument fanatyka. - Robert machnął ręką.

- Niech będzie, że jestem fanatykiem. Ale jeśli nie władza radziecka, to władza hitlerowska. Nie ma innego wyjścia.

- Racja, innego wyjścia nie ma w naszej sytuacji - przyznał Bilyk.

Teresa zaczęła zbierać ze stołu:

- Dość polityki, Dość dyskusji. Teraz coś dla ucha. Robert, przeczytaj nam "Wielki cień".

- Tereniu - Robert podniósł na nią błagalne spojrzenie - zostaw.

Zapadło milczenie.

Przerwał je Robert:

- Zastanówmy się, czy naprawdę nie ma innego wyjścia: ZSRR albo Hitler. Tak właśnie stawia sprawę propaganda sowiecka od lat. A jeśli tak mówi komunistyczna agitacja, to należy się temu przyjrzeć. Kiedyś przyjmowałem tę tezę jako dogmat. Wierzyłem w propagandzie. Póki się nie przekonałem, że kłamie.

- Ona nie kłamie wprost - zaczął Bilyk - tylko bierze fakty, a następnie rozdyma je, preparuje i przekształca dla swych celów. Tak zdeformowane fakty powtarza się codziennie. To jest terror psychiczny, może głośniejszy od terroru fizycznego. Naprzód napełnia to obrzydzeniem i niechęcią, próbujemy się bronić śmiechem i kpinami, dlatego taka wielka liczba anegdot, potem następuje najgorsze: znieczulenie. Z takimi ludźmi można robić wszystko.

- W jakim stadium jesteśmy teraz? - spytała Rachel.

- Kpiny, mam wrażenie - odparł Bilyk.

- A więc czy nie ma wyjścia z naszej sytuacji? - wrócił do swojej myśli Robert. - Prędzej czy później dojdzie do wojny niemiecko-rosyjskiej. A z wojny rodzi się coś nowego, czego przewidzieć nie można...

- Nie wątpisz chyba, że zwycięży ZSSR? - spytał Artur. - Ale dajmy na to, że zwycięży Hitler. Co wtedy? Niewola, obozy koncentracyjne, prowokacje i tak dalej...

- A co nam da zwycięstwo ZSSR? - spytał Bilyk. - Wybór rzeczywiście trudny.

- Urodzi nową Polskę - Arturowi zabłyśły przekrwione od pi-

picia oczy.

- Jaka ona będzie? - spytał Robert.

- Nowa Polska będzie komunistyczna. Inna być nie może.

Artur zastanowił się - prawdziwie komunistyczna.

- Czy taka jak ZSSR?

- Na to ci nie odpowiem. Ale wam, towarzyszu Biłyk, chciałbym przypomnieć, że istnieje Ukrainka Republika Radziecka. Jeśli niektórzy marzą o innej Ukrainie, burżuazyjnej, wskrzeszonej przez Hitlera, to się jej nie doczekają.

- Ukrainka Republika Radziecka? ... - Biłyk pokręcił głową. - Teraz my o tym coś wiemy. A jeśli idzie o ukraińską burżuazję, to jej nie było i nie ma. Mój naród jest chłopski z drobną warstwą inteligencji. I teraz powiem coś, co może mi bardzo zaszkodzić, nawet w twoich oczach, Robertcie. Ci, co chcą, żeby powstała Ukraina dzięki zwycięstwu Hitlera, gotowi są przyjąć pomoc nawet od samego Belzebuba.

- No tak, wreszcie jasno postawiona sprawa - Artur oparł się o poręczę krzesła, jakby chciał wstać, ale z powrotem opadł. - Rzeczywiście, z tym Belzebubem to trochę przesadzone - Robert cmoknął językiem.

" - Trochę przesadzone" ] - Artur zerwał się i ruszył ku drzwiom.

Teresa zatrzymała go:

- Dokąd się tak spieszysz?

Robert machnął ręką:

- Zostaw go. Skoro nie może słuchać prawdy.

- To jest prawda? Tak uważasz? Jeśli tak, to na twoim miejscu nie pracowałbym w komunistycznej gazecie.

- No wiesz! - oburzyła się Teresa.

- Moja noga nie przestąpi więcej tego progu! Jesteście wrogami! Nic nie rozumiecie! Hitler! Hitlera wam trzeba! On was wszystkich wyrzanie. Przede wszystkim ciebie - Artur pokazał palcem Roberta.

Obwiejnym krokiem wyszedł.

Na ulicy usłyszał, że ktoś za nim idzie.

Była to Rachel.

## x

Artur wrócił do Racheli. Rzeczy zostawił w starym mieszkaniu, choć mógł w jednym wózku zabrać wszystko pod pachę. Za korne płacił jak przedtem i przychodził po koszulę lub inną część garderoby. Pani Helena witała go zawsze okrzykiem. Pieniądzy nie chciała brać, bo to za nic, ale w końcu przyjmowała, dziękując w imieniu swego pana. Bardzo z penem żękuje tak przyzwyczajonego lokatora, ale na pewno idzie o tę brunetkę. Ładniejsza była ta blondynka, ale ładna jest to, co się podoba. Życzy więc szczęścia w nowym życiu. To jest najważniejsze. Wszystko inne to głupstwo.

- Może by kiedyś państwo zajrzeli. Na przykład w święta. Wielkanoc tuż, tuż. Dzięki Bogu. Będzie ciepłej, ludziom będzie lżej.

Kładł się spać o dziesiątej czasu moskiewskiego. Artur jeden przestawił zegarek na ten czas. Ani Rachel, ani tutejsi Ukraińcy pracujący w radio, ani ludzie spotykani na ulicy nie zrobili tego i gdyby ich zapytać, niechytnie podaliby czas przedwojenny. W miarę zlizania się wiosny czas moskiewski miał coraz mniej sensu. Dzień wydłużał się i Artur zaczął spać, kiedy było

jeszcze jasno. Zamrugał oczy, ale nie mógł spać. Srywał się budzony przez Rachelę, kiedy noc ledwo się rozrzedzała. Rachela robiła mu śniadanie i kładła się z powrotem. Artur całował ją w czoło i szedł do pracy.

W radio było się od miejscowych Ukraińców. Ukraiński był językiem panującym. Tylko Bukielówna śpiewała po polsku. Miała piękny sopran. Gdy zwracano się do niej po ukraińsku, udawała, że rozumie, i odpowiadała uroczym uśmiechem. Artur zostawał w studio, żeby z nią porozmawiać. Przychodziła mu się, że początkowo bała się go bardziej niż Ukraińców. Ale teraz wciąż się ich boi. W ogóle żyje w ciągłym strachu. Wywieźli jej całą rodzinę. Ona ocalała, bo nocowała u chorej ciotki. Czy jednak i jej nie wywieżą? Artur zapewniał ją, że nic jej się nie stanie.

Ale pewnego dnia nie przyszła i Artur jej więcej nie widział.

Drugą osobą mówiącą po polsku była spikerka Pola Marcówna. Jej ojciec Jan, szwec, był polskim proletariuszem z krwi i kości.

- Wasz ojciec bardzo odważnie się zachowywał w więzieniu podczas masakry w 1935, po pogrzebie Kozaka. Pamiętacie to powstanie robotników we Lwowie?

- Nie pamiętam.

Słuchała go niechętnie, z włącznym grymasem. Po dzienniku szybko się żegnała. Przerywała mu w pół zdania, nie ma czasu.

- Proszę pozdrowić ojca - rzucał w ślad za nią.

- Najwyraźniej nienawidziła go. Ale za co?

Wobec Ukraińców była grzeczniejsza, nawet starała się uśmiechać.

Raz doszło między nimi do sprzeczki:

- Pod koniec zdania głos towarzyszki opada. Tekst wychodzi niewyraźnie - Artur wziął od niej płaszcz, aby jej pomóc włożyć - dykcję...

- Nie rozumiem - Pola Marcówna podniosła na niego podmalowane oczy.

- Słowo ledwo się słyszy.

- Mam krzyknąć?

- Wcale nie. Chodzi tylko o to, żeby wymowa była dokładna. Należy czytać wyraźnie, ze zrozumieniem, z pewnym uczuciem.

- Jeśli nie umiem czytać, niech pójdzie i powie.

- Towarzyszko, nie chciałem was dotknąć ani obrazić. Poza tym pozwolę sobie zwrócić uwagę, że jestem grzeczny i wymagam tego samego od drugih. Uważałem za swój obowiązek ...

Pola Marcówna wyrwała płaszcz z rąk Artura i szybko wybiegła.

Był przerażony. Córka polskiego komunisty rzuciła przez niego pracę!

Ale nazajutrz przyszła do studia.

Kamień spadł mu z serca.

Dykcja nie poprawiła się jej, w dalszym ciągu mówiła tekst monotonią i obojętnie, ale nikogo to nie raziło. Ani jeden radio-słuchacz nie miał o to pretensji.

x

Komunikaty otrzymane od Korałowa Artur tłumaczył przy świetle elektrycznym. Jego stolik stał w najciemniejszym kącie pokoju redaktorskiego. Inne stoły zajmowali tutejsi Ukraińcy.

Kiedy Artur przychodził, były jeszcze puste. Po dzienniku zostawał i przeglądał pachnący jeszcze farbą drukarską "Czerwony Sztandar" i "Winią Ukrainę". Dzienniki z Kijowa i Moskwy przycho-

dziły z dwudniowym opóźnieniem. Ostatnie wiadomości, które Artur wyzyskiwał w serwisie, pochodziły z nasłuchu radiowego.

Koralow rozdzielał też materiał między redaktorów ukraińskich. Gdy dyktatora nie było, wybuchali śmiechem. Pokazywali sobie nawzajem swoje audycje. Opowiadali dowcipy, jakie słyszeli w niemieckim radio. O akcji przeciw komunistom i Żydom. O oczyszczeniu Trzeciej Rzeszy z pasożytów. O wzroście potęgi. Ein Volk, ein Reich, ein Führer. Artur nie odzywał się. Ale gdy redaktor literacki powiedział, że Rosje przekazuje Hitlerowi niemieckich komunistów pochodzenia żydowskiego, nie wytrzymał;

- To nieprawda!

Odwrócili głowy, jakby go teraz dopiero zauważyli.

Nikt się nie odezwał, Nikt się nie odważył. Gieroję.

Tylko mocniej stuknął, a zamkną reakcyjne mordy. Władza radziecka jeszcze im pokaże!

Przychodzili do pracy bez "dzień dobry". A gdy on wychodząc żegnał się i mówił: "do zobaczenia", nikt mu nie odpowiadał.

Głośno się śmiali z antyżydowskich kawałów. Uważali, że za to nic im nie grozi. Chwalili Hitlera za odżydzenie Niemiec. To też było bezkarne.

Na jego stole pojawiły się karteczki z pogrózkami: "Agencje NKWD. Pamiętajmy ci kości!" "Raz podrzucono mu polską ulotkę: "Śmierć żydokomunii" Artur zniszczył ją.

Ale poszedł do Koralowa:

- Iwan Piotrowicz, czy wy nic nie widzicie? Dokoła kontra, a wy nic nie robicie. Wystarczy mocniej stuknąć, żeby się przestraszyli.

- Ty, bratku, nie gorączkuj się. Nie bój się. Gdybyśmy my się tak gorączkowali, dawno by nas nie było. Trzeba mieć nerwy na wszystko. Tak nas uczy towarzysz Stalin.

- Liczą na wojnę i zwycięstwo Hitlera.

- Przeliczą się.

- Jak Hitler zaatakuje, uruchomi się ukraińska piąta kolumna.

- Połamią sobie na nas zęby.

- Jestem pewny. Już towarzysz Woroszyłow powiedział, że nikt nie przekroczy granic ZSSR, że są zamknięte na pewny zamek. I wojna będzie się toczyła na terytorium wroga.

- To wszystko robota Anglii. Szcują na nas Niemców. Zmuszają ich do wojny. Głupi Polacy dali się użyć jako narzędzie anglikańsko-francuskiego imperializmu. Oni zaważę wygarniają cudzymi rękami gorące kasztany.

Artur posmutniał:

- To nie tak, jeśli idzie o Polskę, nie tak, Iwan Pietrowicz.

- A tobie o co idzie? Przecież ty żył, a nie Polak.

- Ja jestem i jedno, i drugie.

- Jak to możliwe? Pół na pół?

- I jedno, i drugie.

- Śmieszne. U nas każdy trzyma się swojej nacji. Ukraińiec to Ukraińiec, Tatar to Tatar. U nas obowiązuje stalinowska polityka narodowościowa. Każdy naród ma u nas swoją republikę.

- Powinno to dotyczyć również Polaków. Nam też należy się republika. Już Marks powiedział, że wolna Polska potrzebna jest światu jak wolne Niemcy.

- Tak powiedział? Nieprawdę?

- Naprawdę.

- Marks jest jak morze. Ja bym to sprawdził.

- Marks wziął Polaków w obronę w Refleksyj Gazecie.
- Wtedy były tylko kapitalistyczne gazety. Marks pisał do kapitalistycznej gazety? Nie wierzę.
- To była jego własna gazeta, nie kapitalistów.
- Kiedy to było? Sto lat temu? Wtedy mogło być słuszne, dzisiaj nie jest już słuszne. Trzeba myśleć dialektycznie.
- Naród żyje więcej niż sto lat. Polski naród liczy tysiąc lat. Ta świadomość tkwi w każdym Polaku i tego wymazać nie można.
- Mołotow powiedział inaczej. Kiedy Armia Czerwona przeszła przez granicę. Ze Polska, bękart traktatu wersalskiego, przestała istnieć.
- To nie tak, ale mniejsza z tym. Mołotowowi szło o Polskę kapitalistyczną.
- To ty wiesz lepiej od radzieckiego człowieka?
- To fakty.
- Nu, nu, fakty my znamy lepiej od was. Nikt tak nie zna faktów jak my.

## x

W pochodzie pierwszomajowym Artur siedł nie z radiem, ale z "Czerwonym Sztandarem". Korałow zgodził się na to, kiedy Artur powiedział mu, że jego dziewczyna idzie z redakcją polskiego dziennika. Iwan Pietrowicz okazał się ludzki i dlatego Artur go lubił.

Rachela włożyła najładniejszą sukienkę, jeszcze sprzed wojny i wyglądała w tym dniu piękniej niż zwykle.

Była wiosna, ciepła pogodna. W Ogrodzie Jezuickim w słońcu pachniały bzy. Na Wąłach Hestmańskich kwitły kasztany.

Powietrze było przesyczone radością robotniczego święta.

Ulice Lwowa nigdy nie widziały takich olbrzymich mas ludzkich, tylu barw, kolorów, błyszczących bluz młodzieży, jaskrawych sukien, czerwonych sztandarów na tle błękitnego nieba.

Niesiono masę transparentów z haskami wydrukowanymi w przeddzień święta przez prasę centralną. A za nią przez tysiące gazet republikańskich, obwodowych i rejonowych w całym ogromnym Związku Radzieckim.

Nad głowami dumnie unosiły się plansze z wykresami, na których pięły się w górę wskaźniki produkcji stali, ropy, węgla, zboża, mięsa i mleka. Świadczyły one o zwycięskim pochodzie socjalizmu. Gdzie jeszcze możliwy jest taki rozmach? Cel wytknięty przez towarzysza Stalina! Przescięgnięcie Ameryki, jest już bliżej.

Przedwojenne pochody pierwszomajowe!

KPZU szła na końcu PPS, która po wielu latach bójek musiała się wreszcie na to zgodzić pod naciskiem własnych mas dążących do Jednolitego Frontu. Policja oddalała ten koniec, rozpraszając kolumnę komunistyczną, która odrastała jak jaszczurzy ogon. Dochodziło do szarży konnej policji. Komuniści rozbiegali się i znów się zbierali. Artur dostał pałką w głowę. Widział jeszcze dyszące chrząpy konia nad sobą. Ocknął się w bramie, dokąd zalanego krwią ganieśli go towarzysze...

A dzisiaj?

Rozbrzmiewają słowa rewolucyjnych pieśni. Dumnie brzmi polska pieśń:

To dudni nasz krok,  
Krokiem mrok  
Noży pruji



Wleeh pieśń gra taranem u krat.  
O inną dziś Polskę idziemy na bój,  
O Polską Republikę Rad!

Znał tę pieśń z więzienia. Wzruszenie ścisnęło go za gardło.  
Niektórzy podchwytywali melodię śpiewaną przez rosyjskich  
towarzyszy. Ludową, prostą, serdeczną. Na radosną, optymistycz-  
ną nutę. Śpiewano już nie tylko o walce klas, ale i o miłości.  
Gdy utrwaliły się już zdobywcze rewolucji.

Wychadźka na bierieg Katusza  
Na wysokij, na bierieg krutoj...

Głos towarzyszy rosyjskich bardzo się wyróżniał, bo tworzy-  
li oddzielną, olbrzymią kolumnę.

Potem ktoś zaintonował piosenkę sportowców:

Fizkultura, ura, ura, ura!  
Zekalajsa kak stal...

Artur podchwycił ją, ale jego głos ugrzął w ogólnym szumie  
pochodu, płynącego jak potężna, radosna rzeka.

## X

Wieczorem byli z Rachelą w Teatrze Wielkim, nazwanym obecnie  
"Teatr Opery i Baletu im Franki".

Występował Zespół Pieśni i Tańca Armii Czerwonej.

Artur był zachwycony. Podrywał się z miejsca i klasał.

- Zwracasz na siebie uwagę całej sali - uspakajała go Rache-  
la.

- Czegoś podobnego nie widziałem w życiu - odparł Artur.

To był balet doskonały. Mako widział baletów, ale nie wyo-  
brażał sobie, że może być lepszy. Był syntezą piękna, siły, żoł-  
nierskiej prostoty, a nawet pewnej rubaszności. Z estrady wionęło  
radością chłopców wykonujących najtrudniejsze swolucje z lekkoś-  
cią, jakby to był spacer. Każdy krok miał płynność, każdy ruch  
miał wdziałk nieświadomej siebie urody. Artur bezwiednie składeł  
dłonie jak do modlitwy. Co za opanowanie ciała, harmonia i zespo-  
łowe wykonanie z precyzją mechanizmu. Mogło się zdawać, że tańczą  
nie kilkunastu, ale jeden żołnierz. Nagle zespół się rozszarpał. Ut-  
worzyli półkole jako tło dla występu solisty. Wielu było solistów  
i każdy po odtęnczeniu swego numeru wycofywał się w głąb sceny.  
Potem znów tańczył cały zespół. Z miejsca w szaleńczym tempie i  
ani na sekundę nie wypadając z rytmu muzyki. Wciąż nowe pomyśki i  
figury, niemal akrobatyczne. Tempo się zmieniało i wciąż rosło.  
Potem były przysiadu zwykle i w wirażu dokoła sceny, opieranie się  
dłoni o deski estrady i wyrzucanie nóg w górę, przeplatanie ko-  
zackiego hopaka ze skokami i uderzaniem dłoni o noski butów. To  
był szaleńczy pęd, nagłe śmieianie wokół sceny, obroty z rozpos-  
tartymi ramionami i z przeginianiem się w lewo i w prawo. Wamagał  
się pęd, aż migało w oczach. Wtedy wpadły dziewczęta w jaskrawych  
spódnicach i bogato wyszywanych spencerach. Zespół na chwilę jak-  
by oprzytomniał. Zaczęło się powolne, posuwiste, wręcz hieratyczne  
chodzenie wokół tancerzek wabiących lekkim kokysaniem bioder i  
ruchem ramion. Była to pantomima zapoznawania się. Potem zaczęły  
się pełne humoru i wdzięku zaloty miłosne parobków i dziewcząt  
wiejskich. Dziewczęta przyzywały uśmiechem i oczami a potem, wy-  
mykały się rękoma tancerzy. Doganieli je, starali się je czarować  
najpiękniejszymi, coraz bardziej wymyślnymi ewolucjami. Dopiero  
gniew, wyrażony przytupywaniem, klasaniem i pokrzykiwaniem, prze-  
żamał upór. Ruszył korowód par. Zataczał koła. Znowu zaczęło się  
szybkie wirowanie. Tancerze unosili się nad ziemią, pożyскиwały

glancowane cholewy, fruwały warkocze i wstęgi, unosiły się jas-  
krawe spódnice jak kielichy kwiatów, ukazując czerwone buciczki,  
wystukujące rytm na descech. Zawrotne tempo zapierało Arturowi  
dech w piersi i kiedy mu się zdawało, że to już ostateczna grani-  
ca, następował nowy poryw szybkości, zlewającej barwy w jedno,  
jak szybkie obroty tarczy z kolorami tęczy. A kiedy już nastąpił  
punkt kulminacyjny, w ułamku najszybszego ruchu tancerze nagle  
ukłękli przed swoimi damami.

- Wspaniałe! Wspaniałe! - powtarzał Artur jak w transie.

Obok niego siedział oficer ze zmęczoną twarzą.

- Wspaniałe. Prawda? - zwrócił się do niego Artur.

- Ja to już tyle razy widziałem - odparł oficer.

x

Witany radośnie przez panią Helęgę, Artur wrócił do dawnego  
mieszkania. Do pokoju o ścianach pomalowanych w wirujące kule i  
trójkąty.

x

Rodzice Racheli często ją odwiedzali.

Ojciec stale wracał do tego samego:

- U Żydów albo się pobieraają według prawa Mojżesza i Izrae-  
la, albo nie. Życia na wiarę nie ma.

Rachela prosiła, żeby ojciec nie mieszał się do jej spraw.  
Ale raz, po wyjściu rodziców, po długim namyśle, zaczął mówić/  
widać było, że przychodzi jej to z trudem/:

- Nie należy się dziwić staremu, pobożnemu Żydowi. To jest  
dla niego tragedia.

Artur słuchał i nic nie odpowiedział.

- Jestem jedynym dzieckiem, jakie ma przy sobie. Ale, jedy-  
ny syn, zginął tak samo jak twój ojciec na wózkim froncie. Sze-  
wa jest w Warszawie. Kto wie, kiedy ją zobaczę.

Artur wciąż milczał.

- Jestem gotowa ustąpić dla spokoju.

- Dla spokoju?

- Tak.

- Dobrze. Ja ustąpię. Jutro wracam do dawnego mieszkania.

- Nie o tym myślałam.

- Więc o czym?... Ślub cywilny?

- Nie tylko.

- U rabina? Z baldachimem?

- Ze ślubem cywilnym czy bez, ojcu wszystko jedno.

- Ojciec ma rację i dlatego się wyprowadzam.

- Znalazłeś pretekst?

- Tak uważasz?

- Jestem ci niepotrzebna.

- To nieprawda.

- Leżę obok ciebie jak ktoś obcy. Czyja to wina?

- Nie ma żadnej winy.

- Może moja?

- Powiedziałem; niczyja.

- A może jednak... twoja?

Artur drgnął i rzucił na Rachelę przelotne spojrzenie.  
- Całą pasję oddałeś idei - Rachela zabębniła palcami o  
blat stołu - nic więcej cię nie interesuje.

- Nieprawda.
  - A więc coś innego?
  - Co masz na myśli?
  - Nie wiem - Rachelę wciąż bębniła palcami o blat stołu -  
czasem zdaje mi się...
  - Nie dokończona myśl Racheli przeszyła Artura jak ostrze.  
Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.
  - Zdaje ci się... że co?
  - Nie... nic ...
- Artur odetchnął z ulgą.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kładł się spać za dnia.

Długo nie mógł zasnąć.

W szybach domów z naprzeciwka odbijała się luna zachodzącego słońca.

Artur wstawał i szczerze zaskaniał okna. Firanki były jednak zbyt cienkie i przepuszczały czerwone światło.

Zamykał oczy, przez chwilę leżał spokojnie, potem zaczął się przewracać z boku na bok, na plecy, na brzuch. Nie mógł sobie poradzić z rękami. Męczył się, póki nie zapadł mrok.

- Co za życie - litowała się pani Helena - ani nie może to pójść do kina, ani do opery, ani się zabawić.

Wstawał o szarym brzasku. Odkąd nastąpiła wiosna, nie zaznawał nocy. Półkrąg dnia zaczynał się szarym świtem i kończył szarym wieczorem. Półkręgu nocy jakby nie było. Noc została wytrącona z naturalnego obrotu doby.

Praca w radio ogłupiała. Musiał sobie to wreszcie powiedzieć. Nawet wysiłek tłumaczenia znikł. Codziennie powtarzało się to samo. Te same zdania, zwroty, hasła, a nawet komunikaty. Różne były tylko daty.

W dzień miał mgłę w głowie. Do wieczora ciągnął się wolny, pusty czas. Próbował czytać radzieckich pisarzy, ale musiał przystać raczej na Robertowi, że są prymitywni i nudni. Jedynie "Cichy Don" go zachwycił i wzbudził chęć pisania. Trzy pierwsze tomy czytał przed wojną w tłumaczeniu polskim, a czwarty po rosyjsku. Różnica jak między drapieżnikiem ugłaskany a wolnym. Wspaniałe zakończenie z szarym słońcem. Przysiękał sobie, że kiedyś napisze coś podobnego.

Zaczął pisać.

Zapomniał o wszystkich zmartwieniach, które go drażyły.

Zanurzył się we wspomnieniach więziennych. Musi pokazać hart ducha komunistów, stojących na najbardziej wysuniętych pozycjach, w pierwszym szeregu, w awangardzie walki z faszyzmem. Bo kim są więźniowie, jak nie klinem wbijającym się w kapitalizm?

Młody ukraińiec z Rawy Ruskiej spod Lwowa, Osyp Maksymczuk.

Pogrzeb robotnika budowlanego, zamordowanego przez policję na demonstracji bezrobotnych. Na ulicach Lwowa barykady, w więzieniu masakra. W podziemiach Brygidek Osyp z plecami krwawiącymi od rzeziennych batów, z twarzą bładą jak latarnia. Strażnik: "Hej ty, Karamie, zafajdany bolszewiku, powiedz: wierzę w Boga". "Ne wirju" - odpowiada młody komunist. Na jego głowę, plecy, ramiona spada grad rezów, z ran tryska krew, a młody rewolucjonista odpowiada na chłostę ochrypłym śpiewem:

Szalijte, szalijte, skażeni katy  
 Hodojcie szpijony, budujcie tury  
 Do boju sto tysiecz robotnikow stane.  
 Pirwem, pirwem, pirwem usi kajdany

Wybuch wojny wyzwala Osypa Maksymczuka z Wronek. Spieszmy do pracy, do Kawy Ruskiej, aby pomóc swoim rodakom kłasić fundamenty pod nową, lepszą przyszłość. Bez więzień, bez masakry, bez faszyzmu. Na ulicy rodzinnego miasteczka ginie od kuli ukraiński nacjonalista.

x

Osypa pamiętał towarzysza Alles z więzienia na Kazimierzowskiej. Jemu więc postanowił Artur pokazać swe opowiadanie, które zetytułował "Zaradziecka kula". Alles bardzo się nim ucieszył.

Ze Spółdzielczości przerzucono go do handlu.

- Spółdzielnie szewców i krawców to bułka z masłem wobec tego, co się dzieje w handlu. Spłoszonoj białej Zajężdżają samochody z kartkami od sekretarzy rajkomów i na oczach wszystkich ładują towary całymi skrzyniami.

Znowu to samo: chodzenie po instancjach, telefony, które nigdy nie dosięgały "samych głównych", skargi, zażalenia. Nic. Głucho. Nie ma odpowiedzi. Lecz wreszcie przyszedł list od pierwszego sekretarza Obkomu Partii, towarzysza Hryszczuka. Świat komunistyczny posiada jednak swój wisłki sens. Nigdy nie wolno się zakamywać. Nigdy zresztą nie wątpił w radziecką sprawiedliwość, sponiewieraną przez kacyków. Z drżeniem serca otwierał niebieską kopertę. Pismo podpisane nie przez Hryszczuka, ale przez któregoś z zastępców. To jeszcze nic nie znaczy. A treść była taka: jego skarga została przesłana do rozpatrzenia wydziałowi ekonomicznemu rajispołkomu czerwonoarmiejskiego rejonu. Teraz już człowiekowi opadły ręce. Od tej instancji Alles zaczął swoje chodzenie. To znaczy, że trudno uderzyć wyżej niż sam Hryszczuk.

- Jest ktoś wyżej od pierwszego sekretarza Komitetu Obwodowego Partii?

- Chruszczow, sekretarz generalny KC Ukrainy - powie dzieła Artur.

- Doświadczenie uczy, że trzeba jeszcze wyżej.

- Najwyżej?

- Tak.

- Do Stalina?

- Tak. Dlaczego nie? Napiszę do Stalina.

- List nie dojdzie. To znowu ze wysoko.

- Ja też tak myślałem. Jednak muszę do niego dotrzeć.

- Jak?

- Przez Wandę Wasilewską.

- Myślisz, że to takie proste?

- Przede wszystkim odpowiesz mi na jedno pytanie. Gadam z tobą jak towarzysze z towarzyszem. Chociaż jesteś młodszymi ode mnie... Czy gotów jesteś iść ze mną do Wandy Wasilewskiej?

- Po co ci jestem potrzebny?

- Mam dwa powody. Primo: będziesz za mnie mówić...

- Dlaczego?

- Nie słyszysz, jaki ja mam akcent? Z tobą i ze Szmerem mogę mówić żydowskim akcentem, ale nie z Wandą Wasilewską, prawdziwą Polką, jej ojciec był ministrem.

- Tego lepiej nie przypominać. A secundo?

- A secundo: we dwóch to już wygląda jak delegacja. I zawsze

jest dobrze mieć świadka. Bo ja chcę poruszyć pewne ważne zagadnienie. Myślisz, że dla samych szmatławych towarów zabieranych ze sklepów ja bym się wybierał do Wandy Wasilewskiej?

Artur roześmiał się.

- Nie śmieję się. Ale żeby dostać się do towarzyszki Wandy Wasilewskiej, deputata Wierchownowo Sowjeta SSSR, musi nas ktoś zarekomendować.

- Kto?

- Jest taki jeden, pracuje w "Czerwonym Sztandarze", Wanda Wasilewska ma do niego słaabość.

- Szmer?

- Żebyś mi taki zdrów był.

X

- No, gadajcie szybko, towarzysze, bo nie mam czasu.

- Przede wszystkim przeczytajcie sobie to piśemko - Alles po-dał Szmerowi list w niebieskiej kopercie.

- No i co? - spytał Szmer przebiegłszy oczami odpowiedź sekretariatu Hryszczuka. O co chodzi?

Alles wszystko wytkumaczył.

- Z takim byle czym chcecie iść do Wandy Wasilewskiej?

- Dziwię się, towarzyszu, że sprawy dotyczące nas pracujących uważacie za byle co. Szybko zaraziliście się biurokracją, towarzyszu Szmer. Codzienne bólaćki prostych ludzi nie są może tak ważne jak napisanie wstępniaka, ale gdyby zapytał esmą Wandę, nie wiem, czy odezwałaby się z takim lekceważeniem o sprawach bytowych ludzi, od których zależy...

Szmer podniósł rękę, jakby prosił o głos.

- Towarzyszu Alles, znamy waszą rewolucyjną przeszłość i cenimy was. Ale sami rozumiecie, że z Wandą Wasilewską nie jest taka prosta sprawa. Nie wiadomo, na jaki humor człowiek trafi. Wielecie, jak ją z wszystkich stron szarpia i prosi o różne interwencje.

- Po to jest deputatem Wierchownowo Sowjeta.

Szmer westchnął i spojrzął na zegarek:

- Nie wiem, czy ją zastanę - sięgnął po telefon. - Dziunia?...

Jak samopoczucie?... A ja też. Huk roboty... Tak... tak... tak... wielokrotnie kiwał głową - zastawione?... bądźle zastawione?... świetnie! Gratulacje!... A u mienia jest k wam, daragój towarzyszu, takaja prośba... - Szmer uśmiechnął się. - Jest u mnie towarzyszu Alles. Znasz go? To świetnie. Kiedy mogłabyś go przyjąć? Ma jakieś sprawy. Jakie? No, powiedzmy, bytowe. W poniedziałek? Najbliższy poniedziałek - mrugnął do Allesa - o której? O dwunastej. Nu i charaszol! Sciskam. - Słuchawka położona na widełki dziennie brzęknęła.

- No, widzicie - Alles podniósł lekko w górę ramiona.

- Po prostu macie szczęście, Wanda jest w pysznym nastroju. Została zastawiona pewna sprawa, ale niech to zostanie między nami. Hryszczuk wezwał Wandę o drugiej w nocy do swego gabinetu i powiedział, że zaraz ktoś zadzwoni. I Wanda usłyszała głos Stalina. Powiedział, że przeczytał jej memoriał o niedocenianiu roli i wsi towarzyszy Polskoc, przejawiającym się w niesprawie dliwym, a nawet krzywdzącym stosunku do byłych polskich komunistów. "Ja s wami ssgłasien, Wanda Omowna" - powiedział Stalin i kazał jej oczekiwać zmiany kursu w omawianej sprawie.

- Doskonałe! W sam raz, to mi było potrzebne - krzyknął Alles.

- Naprawdę?! - wołał Artur. - Naprawdę? Nareszcie!

- Wście, co to znaczy? To reaktywizacja Komunistycznej Partii Polski.

- Dzięki Bogu, żeśmy tego dożyli - Alles westchnął jak stary Żyd.

Szmer spojrział na niego niezadowolony.

- To mi się wyrwało - usprawiedliwił się Alles,

- Nie szkodzi - uśmiechnął się Szmer. - Każdemu może się zdarzyć.

- Zwłaszcza w takim momencie.

- Na razie tylko wybrani, bardzo nieliczni zostaną przyjęci do WKP/b/. Nie rozprowadzacie tego, dobra? - Szmer wyciągnął rękę na pożegnanie. - A ten liścik od Hryszczuka możecie pokazać Wandzie. Hryszczuk czuje dla niej respekt, a może coś więcej.

x

Odkąd mąż Wandy Wasilewskiej, Bogatko, padł od skrytobójczej kuli, dom deputata Wierchownowo Sowietu był strzeżony. Według jednych Bogatko zginął od kuli przeznaczony dla Wandy Wasilewskiej, według innych - z rąk ukraińskich faszystów albo polskiego podziemia. Byli i tacy, którzy rozsiewali pogłoski, że było to dziełem NKWD.

Krasnoarmiejec sprawdził paszporty Artura i Allesa, porównał z nazwiskami na kartce. Obmacał ich, czy nie mają broni.

Służba zaprowadziła ich do saloniku z kanapą i fotelikami obitymi szkockim już żółtym pluszem. Na posadzce leżał szafirowy dywan. W kącie stało pianino z fotografią Chopina. Na złotych tapetach ścian, popstrzonych plamami jak rdzą, wisiały zdjęcia rodzinne, zimowy pejzaż Parats oraz obraz Wygrzywańskiego przedstawiające rybaków zapuszczających sieci do morza. W żółtym porcelanowym dzbanie pachniały gałązki jaśminu.

Czekali niedługo.

Wanda Wasilewska, wysoka i chuda, weszła sprężystym krokiem. Była w ciasnej, szarej spódnicy, białej bluzce z wykładanym kołnierzykiem i pantoflach na płaskim obcasie. Twarz miała zmęczoną i bladą, a jej małe oczy, podkreślone czarnymi podkowami, błyszczały. Paliła papierosa.

Zerwali się z miejsc.

Przywitała ich żelaznym uściskiem dłoni. Ręką wskazała foteliki i pierwsza usiadła po drugiej stronie okrągłego stołu.

- Słyszałam o was, towarzyszu Alles. Miło mi was powitać. Słuchaj, was - Wanda Wasilewska zrobiła zapraszający ruch ręką. I nagle, jakby pożałowała tego, spłótła palce dłoni.

Tak jak było umówione, sprawę referował Artur. Alles wtrącał tylko od czasu do czasu słówko:

- Tak jest. Niezupełnie tak, ale to nieważne.

Wanda Wasilewska słuchała z napiętą uwagą. Mrugała szybko powiekami. Na twarzy miała lekki grymas cienkich, bezkrwistych warg. Splotała i rozplatała długie, chude palce, na których nie było ani jednego pierścienka. Żadnej ozdoby, żadnej broszki, tylko nikłowy zegarek na przegubie ręki. Często strzepywała papierosa, mimo że nie było na nim popiołu.

- Czy który z towarzyszy pali? Przepraszam, że od razu nie spytałam.

Alles drżącymi palcami nie mógł trafić na papierosa w pudełku karetek.

Wanda podsunęła mu zapalniczkę.

Alles coraz częściej kręcił głową. Artur zbyt blado przedstawił jego wędrowkę od jednej instansji do drugiej, za słabo podkreślił niepartyjny stosunek towarzyszy radzieckich, zbywających go pustymi przyrzeczeniami, których nigdy nie dotrzymywali. Wreszcie Alles nie wytrzymał i wybuchnął:

- Nawet w kapitalistycznej Polsce...

- Aż tak! Tak mówi stary towarzysz? Od was można było oczekiwać więcej zrozumienia niż od innych. Prawda? Czy nie uważacie, że w waszych zabiegach było trochę przesady?

- Nie. Nie przesadzam.

- Ja mam inne wrażenie - zaśmiał się sucho i krótko Wanda Wasilewska.

- Mogę dowieść, że nie przesadzam.

- Czy w waszej, chwalebnej zresztą, gorliwości nie wyolbrzymiacie przypadkiem faktów mało znaczących? Może natrafiliście na towarzysza radzieckiego, który nie był bez zarzutu. Nie przeczę, bywają jednostki... Wam nie muszę tego tłumaczyć.

- Nie idźcie o jednostki. Z nimi można by sobie dać radę. Ale o cały łańcuch jednostek. Od najniższych do towarzyszy na instancjach. Napotkałem na obojętność albo jeszcze coś gorszego.

Wanda Wasilewska wyjęła z pudełka papierosa i palcami zaczęła go nerwowo zmiękczać.

- Wiadomo, że nie ma samych aniołów. "Niest siemji biez uroda", jak mawiają nasi przyjaciele. Zdarzają się jednostki niezbyt pozytywne nawet wśród partyjnych.

- Mówiłem już, że nie chodzi o jednostki - gorączkował się Alles, zapominając o swym żydowskim skencie. - To jest zjawisko powszechne.

- Wiecie, jak by nazwał to, co mówicie, towarzysz radziecki?

- Twarz Wandy Wasilewskiej wykrzywił nieprzyjemny grymas. - Oszczerstwo! Na przyszłość radzę unikać takich uogólnień. Są efektywne, ale nieścisłe. Efekciarstwo jest sprzeczne z naturą komunizmu. Ostatecznie mogę zrozumieć rozgoryczenie pewnych towarzyszy. Ale waszą obecną postawę, byłego członka KPP, potępiam.

- Carska Rosja pozostawiła straszne dziedzictwo, jak to powiedział towarzysz Lenin. Nie mówię o starych. Ich już nie można wychować, ale młodzi, którzy urodzili się w warunkach socjalizmu?

Wanda Wasilewska słuchała z opuszczonymi powiekami. Potem podniosła je:

- Nie od razu Kraków zbudowano. Łatwiej zbudować Dnieprostroj niż zmienić psychikę człowieka. To są słowa Stalina.

- Już wkrótce będzie ćwierć wieku od Rewolucji Październikowej. To znówu nie jest tak mało. Mówiono nam o wspaniałym człowieku radzieckim. Gdzie on jest? Ja go nie spotkałem.

Wanda Wasilewska potrząsnęła gwałtownie głową, z rbiśmym ruchem, jakby chciała wstać, ale opanowała się. Zwróciła się do Artura:

- Was usunięto z "Czerwonego Sztandaru" za korektorski błąd?

- Tak jest.

- Ja wiem, co to jest praca korektorska. Byłem korektorką w Krakowie... Już was gdzieś widziałam.

- Towarzyszka zapamiętała mnie? To było dawno. To było raz na bankiecie.

- Tyle było bankietów!

- Właściwie dwa razy: w teatrze po premierze...

Wanda machnęła ręką:

- Lepiej nie wspominać.

- A drugi raz, ale to było wcześniej, w "Czerwonym Sztandarze". Na święto Rewolucji Październikowej. Jeszcze Broniewski re-



cytował swoje...

Artur nie dokończył. Twarz Wandy oblał rumieńcem.

- Towarzyszu - Wanda Wasilewska odwróciła się do Allesa - wierzę, że macie dobre chęci, ale dobrymi chęciami piekto wybrukowane.

- Ja swoją przeszłością reprezentuję coś więcej niż dobre chęci.

- Macie o sobie niezłą opinię.

- Przeszedłem niejedną próbę. Ani razu nie zawiodłem się na sobie.

- Podobno mi się ta pewność siebie... Szczerze wam radzę, uspokójcie się, bo inaczej może się to źle skończyć - Wanda wstała.

Allen i Artur też się podnieśli.

- Proszę, jeszcze chwileczkę - zaczął Alles. - O najważniejszym nie było mowy.

- Mianowicie?

- Idźcie mi o interwencję u Stalina.

Wargi Wandy Wasilewskiej lekko zdrząły:

- Ni mniej, ni więcej!

- Nie widzę w tym nic złego.

- Jeśli nie widzicie, to ja wam oczu otwierać nie będę. Boję się, że znajdą się inni.

- Grzeba? Nie rozumiem dlaczego. Każdy ma prawo zwrócić się do Stalina.

- Słusznie - oburzenie Wandy Wasilewskiej opadło.

- Chodzi mi o sprawę nie osobistą, ale ogólną.

- Zastanówię się - Wanda Wasilewska starała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej tylko grymas.

- Nie wiecie o co chodzi!

- Przecież była cały czas mowa...

- Gdyby chodziło o to, nie zabierałbym towarzysze cennego czasu. Idźcie mi o to, o czym Stalin rozmawiał z wami przez telefon. Ja o tym już dawno myślałem...

- O czym?

- O przyszłości kraju. O losis Polski, Polskiego narodu. Nie chodzi mi tylko o nową polską partię komunistyczną. O nią oczywiście też, ale to nie wystarczy.

Wanda patrzyła na niego zdumionymi oczami. Mrugała szybko powiekami. Twarz znów oblał rumieńcem.

- Nie rozumiem.

- Powinnościście zrozumieć. Nie można zostawić narodu na pastwę Hitlera...

- Dajecie mi lekcję patriotyzmu?

- W Polsce idzie podziemna walka z hitleryzmem. My powinniśmy też coś zrobić. Hitler nie jest sprzymierzeńcem Polski, Hitler jest naszym wrogiem.

- No dobrze - Wanda Wasilewska uniosła gwałtownie rękę jakby się przed czymś bronika. - Żegnaj was. Bardzo przepraszam, jeśli nie wszystko poszło po waszej myśli. - Podała szeroką mocną rękę naprzód Allesowi, a potem Arturowi.

Na nazwisko Artura przychodziły do radia listy. Młotórzy chwaliłi dziennik. Artur uważał to za lizustwo, ale potem zrozumiał, że nie chodzi o treść, lecz o tych parę minut pol-

skiej mowy w eterze. Inni prosili o pomoc w znalezieniu miejsca pobytu wywiezionych. Byli też tacy, którzy szukali jakiegokolwiek zatrudnienia. Byli bezrobotni z powodu złego "socpochodzenia".

"Sympatyzowałem - pisał jeden z radiosłuchaczy - nie ujawniając swego nazwiska - przed wojną z komunizmem, a teraz skazany jestem na głodowanie, bo mój ojciec był urzędnikiem na kolei państwowej". Wiele było skarg ludzi, którzy zostali wyrzuceni z własnych mieszkań. Z rodzinnego miasteczka otrzymał list od starej nauczycielki, znajomej matki, kobiety anielskiej wprost dobroci. Zamyślił się. Co robi matka? Co robi brat w Palestynie? Pewnie myślał, że on już nie żyje. Stara nauczycielka, Helena Preis, uzałała się w swym liście na to, co się dzieje, o czym Artur nie pewno nie wie, bo gazety o tym nie pisują, a radio o tym nie mówi. Artur nie pewno już nie pamięta, że gdy był malutkim chłopczkiem, brała go na ręce. Teraz jest dygnitarzem, jego nazwisko słychać codziennie w radio. Dlatego też przypuszcza, że gdyby zechciał uszczknąć parę godzin ze swego pracowitego czasu i przyjechać do rodzinnego miasteczka, żeby zobaczyć, co się dzieje, to na pewno zdołałby niejednemu pomóc. Bardzo prześladowana jest ludność polska i żydowska, zwłaszcza inteligencja. Z wielką radością witaliśmy Czerwoną Armię. To, cośmy przekyli przez tych parę dni, kiedy hitlerowcy zajmowali nasze miasto, nie da się opisać. Dopuszczali się gwałtów, a przede wszystkim przesładowali żydów, bezbronną ludźmi. Zgroza, jeśli pomyśleć co by się z nami stało, gdyby nie Czerwona Armia. Tego wszystkiego, cośmy widzieli za Hitlera, teraz, dzięki Bogu, nie ma, ale to, co jest, też wystarczy. I już nie wiadomo, o jaką władzę prosić Pana Boga, w którego Pan na pewno nie wierzy. A szkoda. Na pewno by się niejednemu trochę bogobojności przydało. Kilku adwokatów zostało uwiezionych całkiem niewinnie, inni nie mają możliwości wykonywania swego zawodu, ona też żyje z tego, co sprzedaje z domu, ale sama się nie skarży, innym jest znacznie gorzej. Żeby tylko zdrowie dopisało, bo niedawno była chora: jej były uczeń, a dzisiaj milicjant, Mychajło Zymiak, tak brutalnie wyrzucił ją z kolejki po chleb, że upadła i potłukła sobie kolano do krwi. Całe ciało miała posiniazone, ale dzięki Bogu, obeszko się jakoś bez złamania i leczenia tygodniami w gipsie...

"I czy warto było, Kochany Arturku, siedzieć po to w więzieniu?".

Artur wyskakiwał jej dwieście rubli, a w liście napisał, że wie, co się dzieje, i wstydzi się za milicjanta. Nie wysłał go jednak. Historię z milicjantem opowiedział Korolowowi.

- Należy ukarać go za chuliganstwo - powiedział Artur.
- Zajmujesz się gwałtami - odparł dyrektor. - Nie warto się takimi drobnostkami zajmować. To nieważne. Co to jest wobec tego, co działo się podczas walk rewolucyjnych?
- Ale teraz już nie ma walk rewolucyjnych.
- Mylisz się. Rewolucja trwa.
- Rewolucja permanentna?
- Skąd znasz to słowo?
- Czytałem.

- To kontrrewolucja. Takie książki i broszury są zakazane. Jeśli je masz, zniszcz je zaraz! U nas już tego nie znajdziesz. Nikt nie wspomina nazwiska Trockiego, tego Judasza, jak go nazwał towarzysze Stalin. Wyrzucony na śmietnik historii, został zapomniany. A to, że rewolucja trwa, oznacza, że przybrała inną formę, formę pokojową. Na przykład walka o wzrost produkcji, żeby przetrwać Amerykę. Czy to jest walka rewolucyjna? Jak najbardziej. Albo walka o likwidację resztek świadomości burżuazyjnej. Czy to jest walka rewolucyjna? Jest! Poza tym walka z niedobitkami wrogich imperialistycznych agentów. Słyszalesz o bandzie Bucharina i Zinowiewa?

Których naród nazywał krynami ośta i świni? Ale dzięki czujności naszej mądrej partii zostali zdemaskowani. To jedno. A drugie: istnieje przeciwieństwo kapitalistyczne otoczenie...

X

Alles przeczytał opowiadanie i przyniósł je Arturowi do rąk.

Nie powiedział, czy mu się podoba, czy nie. Od tego są zwyczaj, a literatura jest... powinna być wyostrzonym narzędziem propagandy. I w tym względzie Alles miał zarzuty. Artur przedstawił więźniactwo sanacyjne w zbyt łagodnym świetle. Widział śmieszności raczej niż ponury aparat. Żydowski analfabeta, który w żaden sposób nie potrafił napisać elementarnych zasad marksizmu i wiedzy ogólnej, a na pytanie: "Na jakie trzy okresy dzielimy historię powszechną?" odpowiada: "Na przed wojną, wojnę i po wojnie", jest może śmieszny, ale w żadnym razie nie może być typem komunisty. Typ komunisty to światły, uświadomiony robotnik. Cały czas, poza jedną masakrą, i to wynikłą nie wskutek akcji więźniów, ale z samoty administracji za rozruchy we Lwowie, panuje spokój. Opis masakry skupia naszą uwagę na jednym towarzyszu, a nie na całym kolektywie. Nie została pokazana ani jedna głodówka. Może się wydawać, że tortur w ogóle nie stosowano. Trzeba przyznać, że okres Kościuszkowski odznaczył się wględnym liberalizmem, ale można było wspomnieć o katanach w więzieniu Łuckim, o próbie samobójstwa komunistki ukraińskiej Iriny Matulivny. Brakiem jest, że czytelnik nie dowiaduje się o wyjątkowej brutalności wobec towarzyszy Ukraińców i znęcaniu się nad polskimi komunistami, szczególnie, jeśli chodziło o inteligencję. Żydów też bito, ale mniej. Żyd komunistą, proszę bardzo, może być. Obrzucano raczej ich godność ludzką i obrzucano antysemitycznymi wyzwiskami.

- Zająłem się tylko małym wycinkiem - bronił się Artur.

- Trudno było to wszystko uwzględnić.

- Poza tym przypominam sobie, że był to okres przymusowego umundurowania. Ze więźniom komunistycznym zabierano cywilne ubrania, tak że musieli chodzić w samej bieliźnie podczas zimowych spacerów. Bronili praw więźnia politycznego. Była też akcja niestawiania do modlitw razem z pospolitymi.

- U nas akcji przymusowego umundurowania nie było. Do modlitwy nie stawialiśmy, mimo że komisarz przechodził z olbrzymim doggiem, żeby nas zastraszyć, i groził karcarem. Nic nam jednak nie zrobił. Pospolici, którzy siedzieli razem z nami w okresie śledztwa, brali nam to za złe. Uważali, że obrażamy ich uczucia religijne. Mówili między sobą, że to żydowska robota. Straciliśmy ich sympatię, a w życiu więziennym jest to sprawa ważna. Pomagali nam w walce z administracją.

- KC uznał to za błąd niższych instancji.

- Nie słyszałem o tym. Zresztą wyszedłem zaraz z więzienia.

- W którym roku?

- W trzydziestym szóstym. W grudniu.

- Dostałeś kontakt? Partia nie była jeszcze wtedy rozwiązana.

- Nie. Nie dostałem. Wyjechałem do Płocka, gdzie uczyłem w żydowskim gimnazjum.

- I nie starałeś się złapać kontaktu?

- Wydawało mi się, że mnie unikają. Bałem się, czy nie mają jakich zarzutów.

- Jakich?

- Wtedy wszystkich podejrzewano o trockizm.

- Mogło być coś innego.

Artur poczuł zimny powiew z tyłu głowy.

- Co?

- Myślę, że było to tak samo niesłuszne jak podejrzenie o trockizm. Powiedziałem to od razu. W więzieniu szerzą się plotki jak w małym miasteczku. A potem to się roznosi wśród towarzyszy na wolności.

- Ty coś wiesz? - wyrwało się Arturowi.

- Znasz Waszkowiaka? Taki brunet. Bardzo semicki typ. Jak już jest komunistą Polak, to musi wyglądać jak Żyd.

- Siedzieliśmy razem w jednej celi w trzydziestu piątym, po rozruchach we Lwowie.

- Waszkowiak z dużym wyrokiem został przewieziony z Brygidek do więzienia w Radomiu. Siedzieliśmy razem przez pewien czas. Dobry komunistą, może nawet za dobry trozeczek, był kiedyś wierzącym katolikiem, należał do Sodalicji Marińskiej, ale właściwie był niesympatyczny. On mi opowiadał o pewnym dziwnym wypadku.

Artur nie słyszał, co dalej mówi Alles. Widział tylko poruszające się wargi. Czuł, że blednisz coraz bardziej.

Waszkowiak spacerował po celi z coraz to innym towarzyszem w pojedynkę. A najdłuższą i kilka razy z Joachimkiem o wąskiej, lisiej twarzy. Spacerował z wszystkimi, tylko nie z nim. Chciał podejść, ale powstrzymało go złe przeczucie. Spytał któregoś z towarzyszy? Wyraźnie go unikali. Wreszcie zebrano komunię celi. Towarzysze usiedli na dwóch łózkach, naprzeciw siebie, uroczyście i ponuro. Artur wciąż jednak nie dopuszczał myśli o najgorszym. Lecz wpatliwoci mknęły z chwili na chwilę. Waszkowiak, sekretarz komuny celi, patrząc na Joachimka zagałł posiedzenie. W czarnych oczach miał błyski. Jakby się cieszył. Był podniecony. Pewne słowa podkreślał po kilka razy. Joachimkowi też skakały iskierki w źrenicach. Inni nie potrafili podciągnąć się do poziomu prawdziwych komunistów. Uśmiechali się zażenowani. "Jak wyglądają twoje osobiste stosunki na wolności?" - Waszkowiak wywoływał jednego towarzysza po drugim. Każdy był z dziewczyną. Zbliżała się kolej na Artura. Nie mają żadnych dowodów. Do niczego się nie przyzna. Nie ma się do czego przyznawać... Leżeli pod kocem. Spali. Cała sala spała. Położył rękę, lecz Joachimek natychmiast drgnął, więc cofnął ją od razu. Joachimek udawał, że śpi. Jakby na coś czekał. Jakby czuł, że z Arturem coś się dzieje. Obaj powstrzymywali oddech... "A ty? - Waszkowiak, Joachimka, a potem inni utkuli wzrok w Arturze jak na śledztwie. "A ty?" - grube wargi towarzysza Waszkowiaka skrzywiły się w grymasie niechęci. "Słyszałeś? Każdy towarzysz ma dziewczynę, z którą żyje, a ty?". "Też mam". "Jak się nazywa?". "Rachela". "Czy jest twoją żoną?". "Nie brałem z nią ślubu". "Wiesz, o co chodzi?". "Wiem". "No więc?". "Tak".

- ... mówię więc towarzyszowi Waszkowiakowi, że w takim razie nie ma podstaw. Dziwię się wam, towarzyszu Waszkowiak, człowiek z wyższym wykształceniem opowiada takie głupstwa. A on mówi, że to nie głupstwa, za takie głupstwa daję w związku Radzieckim osiem lat.

Towarzysz Alles skończył.

Artur nic nie powiedział.

- Czasem jakiś plotka idzie za człowiekiem przez całe życie.

Artur milczał.

- Dlaczego nic nie mówisz?

- Nie warto. Nie było żadnych podstaw.

Film o zabójstwie Kirowa był olśniewający.

W hallu kina "Palace" Artur spotkał Rachelę i Leona Hubla.

"Wielki Obywatel" też im się podobał, ale mówili o nim z chłodem. Obcy element.

Oboje szli przywitać zwolnionego z zasyłki krewnego Leona Hubla. Henryk Gerson, były redaktor syjonistycznej "Chwili", którego Artur znał sprzed wojny, wrócił po dwóch latach z obozu pod Archangielskiem.

Jak to się stało, że wrócił, skąd nikt nie wraca? - dziwiła się Rachelę. Słyszałam o jedynym takim wypadku, kiedy Wasilewska użyła swojej protekcji. To byłby drugi.

- Ostatnio było więcej takich wypadków - powiedział Leon Hubel - to dziwne. Może chcą sobie pozyskać tutejszą ludność, bo czują, że wojna będzie.

powoli zapadał ciepły czerwcowy wieczór.

Szli przez pachnący Ogród Jezuliki.

Redaktor Henryk Gerson mieszkał przy ulicy Kościuszki, którą chciało przemianować na ulicę Suworowa. I dopiero ktoś, kto miał dostęp do góry partyjnej, wy tłumaczył, że to byłoby niestosowne, bo Kościuszkę walczył z Suworowem.

- Kto tam? - zapytał słaby głos.

Drzwi otworzyły się i chudy człowieczek o szarej twarzy wpuścił ich do środka. Mimo ciepłej pogody był w papuchach. Spodziewał się wizyty, jednak robił wrażenie wystraszonego. Trzęsły mu się ręce.

Uścisnęli się z Leonem. Długo trzymali się w objęciach. Leon miał łzy w oczach. W twarzy byłego zesłańca nie było nic prócz strachu.

- Pana pamiętam - Henryk Gerson - przywitał się z Arturem.

- Przynosił pan do "Chwili" tłumaczenia z... rosyjskiego.

Artur nie zaprzeczył.

- Pamiętałem o tym i nawet czytałem te tłumaczenia i dlatego wiedziałem, że mogę go przyprowadzić. Jego nie trzeba się kłopotować - Leon poklepał Artura po ramieniu. - Niech się dowie pewnych ciekawych rzeczy. Może mu się na coś to przyda. Spotkaliśmy się w kinie. Ciekawie niezły film. Prawda, Rachelę?

- Tak, ale jak zawsze propaganda. Choć nie w takim stopniu, co inne.

- Najbardziej się spodobał mi się moment, kiedy zapadła kłamka i każdy wiedział, co się stanie za chwilę za zamkniętymi drzwiami. Każdy czekał na strzał - powiedział Leon Hubel. - Od tego strzału wszystko się zaczęło: moskiewskie procesy.

Henryk Gerson kiwał głową.

- Jesteśmy sami swoi. Za Artura ja ręczę. Niech wujek coś opowie z tamtego świata.

- Nie ma co.. Przyniosę herbaty - Henryk Gerson pociąpnął do kuchni.

- Strasznie się zmienił. To nie ten sam człowiek. Zawsze był wesoły, lubił dowcipkować. Zrobił się oswiały. Prawda Rachelę?

- Tak - przyznała Rachelę - bardzo się zmienił.

- Dlaczego go zwolnili? - zastanawiał się głośno Leon.
- Dlaczego zabrali? - spytała Rachelę. - W tym świecie nie ma reguł gry.

Dało się słyszeć człapanie i brzęk szklanek. Rachelę wybiegła naprzeciw i z rąk Henryka Gersona zabrała tacę. Zielone, kruche filiżanki i cukiernicę postawiła na okrągłym stoliku.

Henryk Gerson głośno ssał kostkę cukru. Nagle zawstydział się i wrzucił cukier do herbaty. Podniósł głowę i zwrócił się do Artura:

- Czy można wiedzieć, gdzie pan pracuje?
- W radio.
- Ciekawa robota?
- Nie bardzo.
- W jakim jest pan dziale?
- Wiadomości porannych. Nadają komunikaty. Tyle, że po polsku.
- Jednak po polsku. Jakie były dziś wiadomości?
- O żniwach. Na południu Ukrainy i na Powołżu stu procentowa gotowość do batalii żniwnej.

- "Batalia" i Nawet żniwa są wojną - zaśmiał się Leon. - Hitlerowcy przerzucają wojska z Francji na naszą granicę, ale ani w radio, ani w gazecie nie ma o tym wzmianki.

- Więc skąd o tym wiesz? - spytał Artur.

- Zaraz ci powiem, skąd - Leon wyciągnął kawałek papieru.

- To jest polska ulotka. W kinie wsunął mi ją ktoś do kieszeni. Polacy otrzymują instrukcje od swego rządu w Londynie. - Leon zaczął czytać: "Polacy! Zbliża się wojna hitlerowsko-boleszewicka..."

- Nie! Nie! - krzyknął Henryk Gerson wciągając głowę w ramiona i zamykając oczy.

Leon chciał schować ulotkę z powrotem do kieszeni, ale Artur wyciągnął po nią rękę:

"W związku z bliskim wybuchem wojny hitlerowsko-bolszewickiej Komenda Główna Związku Walki Zbrojnej wyzwa do sołeczenia sił w celu wzmożenia walki podziemnej. Konspiracyjną działalnością wojskową w Kraju kieruje Komenda Główna, podległa rozkazom Naczelnego Wodza, generała Sikorskiego. Pod hasłem Bóg i Ojczyzna wyzwolimy uciemiężony nasz Naród z podwójnej niewoli!"

Ulotka była podpisana przez Związek Walki Zbrojnej.

Arturem wstrząsnął dzwonek. Zaterkotał telefon na sąsiednim stoliku.

Henryk Gerson dawał znaki Leonowi Hublowi:

- Odbierz!

Leon podniósł słuchawkę:

- Kto mówi? Kałuskiy? Przepraszam, profesor Kałuskiy, deputat Wierchownowo Sciwietę. - Leon przykrył ręką słuchawkę. - Kałuskiy jest przy telefonie, chce z wujkiem mówić. Co mam mu powiedzieć?

Henryk Gerson niespodziewanie sprężył się podskoczył z wyciągniętą ręką:

- Dobry wieczór, pane profesore - kłaniał się do słuchawki - duże diakuju. Ja chciałem do was pisać, ale sobie podumaw... Jak proszę? Oczywiście, że mogę po polsku... Myślałem, że po ukraińsku będzie lepiej.. Wczoraj późnym wieczorem... podziękuję... "Schleppzugiem"... chciałem zadzwonić, ale pan profesor rozumie... tak... wciąż się boję... że to sen... Gdyby nie pan, panie profesorze... nie wiem, jak się odwdzielić - głos byłego redaktora syjonistycznej "Chwili" zakamzał się - jeszcze raz dziękuję... niech panu Bóg wynagrodzi... do zobaczenia - Henryk Gerson ułożył się słuchawce i położył ją na widełkach. Przez chwilę stał, jakby nie mógł ruszyć się z miejsca. Wreszcie odwrócił się powoli i ciężkim krokiem poczłapał do okrągłego stolika. Usiadł. Za-

padł w głębokim klubowym fotelu. Widać było tylko mętnoczerwona twarz i przęsnę uszy jak u nożnia.

- Profesor Kałuski, deputat Wierchownowo Sowieta - Leon z podziwem pokręcił głową.

"Łaty z hir kaukaskich, ty syżyj orke" - przypomniał sobie Artur.

- To sympatyczny facet. Ma "kepele". Gdy przed wyborami do Wierchownowo Sowieta zaproponowali mu żeby wstąpił do partii, odpowiedział, że przecież potrzebni są też bezpartyjni bolszewicy. Spryciarz. Wykorzystał ich oszustwo, że podzielił ludzi na partyjnych i bezpartyjnych bolszewików. Tak czy owak jesteś bolszewikiem.

- Ale głosowałeś na blok partyjnych i bezpartyjnych bolszewików - wtrącił Artur.

Leon machnął ręką, jakby się opędzał przed muchą.

- Ale też mają osiągnięcia - odezwał się Henryk Gerson - mają spokój.

- I "słońce najdemokratyczniejszej konstytucji stalinowskiej". Każdy paragraf to szczebel do raju na ziemi, w którym życie jest własnością władzy, a człowiek własnością państwa. Człowiekiem można się posłużyć jak materiałem do budowania "socjalizmu". Buduje się socjalizm jak linię kolejową. Wszystko to zawdzięczamy pewnemu rabinackiemu wnukowi, który się nazywał Karol Marks. Jak zwykle mechani, nienawidził swojej żydowskiej skóry. Głośno dawał wyraz swojej nienawiści: o Lassalle u mówił "ten żydek, ten icky". Nienawidził narodu, który obdarzył go inteligencją. Ta nienawiść zrodziła filozofię nie nawiści. Marks nienawidził człowieka. Gardził słabością. Czy to nie przypomina Hitlera?

- Leon! Co ty wygadujesz?! Opamiętaj się - wołał Artur. - Tyś zwiariował!

- U was jak człowiek mówi prawdę, to zwiariował. Ty tych wszystkich faktów nie znasz. Bo czytasz tylko książki komunistyczne. Nie wiesz, że nie znosił sprzeciwu. Kto się z nim nie zgadzał, był skazany na moralne zniszczenie. Na Bakunina rzucił oszczerstwo, że jest carskim szpiegiem. Nie wiedział, co to współczucie, przyjaźń. Gotów był zdradzić nawet Engelsa, gdyby się okazało, że jest mu to potrzebne. Czy to nie przypomina Hitlera?

- Dość! Nie mogę tego słuchać! - krzyczał coraz głośniejsz Artur.

- Dość! Dość! - krzyknął cienkim głosem Henryk Gerson. Zlitujcie się nade mną. - I wybuchnął płaczem.

## X

Na swym stole, wśród tekstów do tłumaczenia, Artur znalazł jedną kartkę po polsku. Była napisana na maszynie, gotowa do odczytania.

Nie dowierzali mu, bali się, że jego przekład nie będzie wierny. Taki ważny dokument! Dementi TASS-a. Rząd ZSSR zaprzeczał doniesieniom agencji niemieckiej o koncentracji wojsk radzieckich na granicy niemieckiej.

Wiedomość tę od samego rana oblewali tutejsi Ukraińcy, redaktorzy i pracownicy radia. Z butelką wódki chodzili od jednego działu do drugiego. Brakowało tylko, żeby zaśpiewali hymn "Szczecne ne wmerza Ukraina...".

Korolow zaprosił Artura do siebie:

- Co tam się dzieje?
- Dlaczego towarzyszy dyrektor nie poprosi którego z nich?
- Czy to jakieś święto religijne?
- Idzie o zaprzeczenie TASS-a.
- Nie rozumiem.
- Oni uważają, że agencja niemiecka mówi prawdę.
- Zwariowali!
- Że bliski jest wybuch wojny, nawet gdyby nie było koncentracji wojsk radzieckich.
- Zwariowali! A ty? Tak samo uważasz? Mimo, że Stalin powiedział, że wojny nie będzie? Ze mną możesz mówić szczerze. Jesteśmy przyjaciółmi.
- Myślę, że TASS podał prawdę - Artur wstał.
- Czekaaj, gdzie się tak śpieszysz? - Koralow nacisnął guzik dzwonka.
- Dyżurny piętra wsunął głowę w uchylone drzwi.
- Koralow kiwnął, żeby wszedł.
- Od dyżurnego piętra cuchnęło wódką.
- Popros tutaj kierownika działu literackiego, Hryhorczuka.
- Towarzysz Hryhorczuk nie podpisał jeszcze listy obecności.
- Jak to? Jeszcze go nie ma?
- Popros towarzysza Paraponiska.
- On też jeszcze nie podpisał... On często nie podpisuje.
- Dla czego mi tego nie donieśliście? Dlaczego nic nie mówiliście?
- Co ja miałem mówić? Nikt nie pytał, ja nic nie mówiłem.
- A kto jest?
- Wszyscy, ale pijani.
- Zawołaj tutaj rosyjską spikerkę.
- Kławdia Jakowlewna weszła wycierając oczy chusteczką.
- Czego płaczesz? Głupia! - złościł się Koralow.
- Wsie krugom pijanyje, rugajutsa, kek budto už sowietsoj wżasti niet.
- Koralow podniósł słuchawkę. Nekrećając numer dał znak Arturowi, żeby wyszedł, a Kławdii Jakowlewnie, żeby została.

x

Ulica zalana słońcem, już nie porannym, ale i nie południowym jeszcze.

Ruch był zwykły. Ludzie wyglądali normalnie. Po nikim nie było znać, że agencja TASS ogłosiła dementi.

Głośnie na szupach latarni rozbrzmiewały wesołą melodią żołnierską z junackim refrenem: "wale czetyre koleśa!".

Artur wniessał się w tłum, i choć żołnierze mieli na sobie brązowe bluzy ściągnięte szerokim pasem, enkawużiści czerwone czapki z niebieskim otokiem, cywile białe "kosoworotki" słabo wyszywane koszule, a dziewczyny były w białych sukienkach, tłum wydawał się szary. Zatrzymywali się grupkami przed wystawą, grupkami wchodziłi do sklepów, "sowietów" pojedynczo idących nie spotykało się nigdy, grupkami zajmowali cały chodnik, posuwając się żawą. Artur przysłuchiwał się. O czym mówią ci ludzie, urodzeni i wychowani w socjalizmie i służący wsczem dla całego świata? Nadzieja i przyszłość ludzkości. O czym mówią dziś, kiedy znowu grzei wojna? Rozbrzmiewała tylko rosyjska mowa, ani ukraińskiej ani żadnej innej nie było słycać. Nikt słowem nie wspomniał o zaprzeczeniu



TASSA. Nie byli weseli, ale wyglądali bez troski. Bezmąslnie bez troski. Mówili o zakupach, o tym, co było na sprzedaż, i co należało kupić. Wszystkie warto było nabyć. Wszystko. Jak najwięcej. Jak najszybciej, bo może już jutro nie być. Jedna kobieta mówiła o tym, że żony partyjnych wkładają obrączki ślubne, chodzą do fryzjera i piją kawę. A jedna "Jewrejka" szyje sukienki. "Przemo przylest"....

Na cementowym słupie rozlepiono afisze Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego, które jeszcze nie obechły. "Wieczór Trzech Króli" - przeczytał Artur z daleka... W Teatrze Miniatur niezmieniała dawała rewiję "A oto rodzynki w koszyku".

W Warszawie, nazajutrz po wybuchu wojny, drugiego września, w Teatrze Letnim odbyła się premiera. Sztuka nazywała się "Serce w rozterce, czyli fluszcz-widmo", Artur dobrze to pamiętał. Wieczorami kłóciła bawka ludzi do łez, a w dzień padały bomby. W kilka dni potem Teatr Letni spłonął.

Fasada Muzeum Przemysłowego lśniła szoto-zieloną emalią mozaiki. Młode topole połączyła girlanda dzikiego wina. O tej porze kwitły tutaj na rabatach tulipany, dziś rosta szara darn. Zawrócił na plac Bałtecki. Nie przyswoił dotychczas nowych nazw ulic i nazywał je po dawnemu. Poszedł ku Wałom Hetmańskim. Pod pomnikiem Sobieskiego grało na lawce w szachy. Duży, mroźny sklep nazywał się przed wojną "Trust". Miał ulicę Legionów i skręcił w Kopernika. W pasażu Nikolascha grał w kizie "Świat się śmieje". Słychać było śpiew Orkwoj. "Sierdce, kak charuso, cato ty takoje...". Widział ten film przed wojną. Ale postanowił zobaczyć go jeszcze raz.

Znalazł się przed redakcją "Czerwonego Sztandaru". Dozorca w bramie poznał go, kiwnął mu głową.

Artur wszedł na górę.

- Co cię sprowadza? - Szmer podał mu dużą, ciepłą dłoń.
- Siadaj i opowiadaj. Dużo czasu nie mam.
- Czytałeś zaprzeczenie?
- Masz jakieś uwagi?
- Jeśli idzie o samo zaprzeczenie, nie mam żadnych uwag.
- Ale czy to nie jest zmiana polityki Niemiec wobec ZSSR?
- Nie wiem. A jeśli tak, no to co?
- Może dojść do zaostrzenia sytuacji.

Szmer ściągnął usta:

- Mocoże.
- Żeby nie wybuchła wojna.
- Na razie możesz spać spokojnie. A jeśli Hitler zacznie, na drugi dzień będziemy w Warszawie - szare oczy Szmera pojaśniały - rozumiesz? W Warszawie.

## X

Leon Hubel wypadł z gabinetu naczelnego bardzo wzburzony. Miał czerwoną twarz. Otarł się o ramię Artura, ale go nie zauważył.

- Co się stało? - spytał Artur.

- Ach, to ty?

- Masz jakieś przykrości?

- Nie mówmy o tym.

Leon zbiegł ze schodów, jakby go ktoś gonił. Na dole przystanął i poczekał na Artura.

- A ty co tutaj robisz?

- Byłem u Szwara. Rozmawialiśmy o zaprzeczeniu. Wyszli na ulicę.  
 - Hitler stosuje metodę "łapaj złodzieja". Nie wiem, który z nich lepszy? Hitler czy...  
 - Tyś oszalał - krzyknął Artur.  
 - Nie cburzaj się. Jaką powzięliście decyzję?  
 - Jaką decyzję?  
 - Kiedy uciekacie?  
 - Uciekać? Co ty wygadujesz?  
 - Ja bym już teraz uciekał, tylko nie tam, gdzie wy. Ja nie jestem komunistą.  
 - To prawda. Grasz podwójną grę.  
 - Jak to rozumiesz?  
 - Dobrze wiesz. To, co ty nagadałeś u Gersona, wystarczy na dobre dziesięć lat więzienia.  
 - Możesz z tym iść do NKWD.  
 - Boję się, czy ty tam nie chodzisz.  
 - Nie bój się, mam głowę na karku. Choć nie wiem jeszcze, jak długo.

Artur wzruszył ramionami.

- Tobie się wydaje - mówił Leon - że wiesz, po jakiej chodzisz ziemi. Jesteś jak pijane dziecko w mgłę. Jeśli jesteś uczciwym komunistą, tym gorzej dla ciebie. Prędzej czy później wpadniesz między tryby i śladu po tobie nie będzie.

- Może... ale ty przecież nie jesteś komunistą. Tobie grozi tylko twoja uczciwość.

- Nie kpij. Robiłem wszystko, co mogłem. Łudziłem się, że mi się to uda. Myślałem, że ich przechrzęcę. Używałem najprostszyc sposobów. One są najpewniejsze. Pomyliłem się.

- Dokąd teraz idziesz?

- Nigdzie. Do domu już nie wrócę. Przyjście Niemców to dla mnie jedyny ratunek.

- Żegnaj cię - Artur przystanął.

Leon szarpnął go za rękaw:

- Chodź! Chodź! Nie odchodź teraz, proszę cię.

Ulica Zyblikiewicza kończyła się. Na zakręcie zgrzytnął tramwaj.

W Parku Stryjskim było prawie pusto. Na schodkach, przy spadającym po kamieniach źródleku, bawiły się dzieci. Na klombie hasała wilczur.

Siedli na ławce w dużej alei strzyżonych lip. Wybrali oświetloną stronę. Siedząca nieopodal para zakochanych była zajęta sobą.

- Ugrzązłem w błocie. Myślałem, że ich przekupię. Poszło to bardzo łatwo. Łatwiej, niż przypuszczałem. Kiedy naczelny przyjął mnie na "zawchoza", dałem na początek sześć kuponów "siniego bostończyka". Uszyłem mu sześć garniturów u najlepszego krawca. Stamtąd przyjechał w szerokich portkach i ciasnej marynareczce. Żonę podarowałem najmłodniejsze "tufelki" na wysokim "kabluczkie". Na pierwszego mają przyniosłem jej jedwabną nocną koszulę, w której poszła na bal. Ale moim dobroczyńcom apetyt rósł. Sprzedawałem rzeczy z domu, aby móc im nastarczyć. Naczelny nie był jedyny, i nie najważniejszy. Myślałem, że ci są niedostępni. Ale jak dałem, to wzięli. Przed każdym spotkaniem umierałem ze strachu; już wiedzą. I byłem szczęśliwy, gdy okazywało się, że chodzi o nowy "atriez" albo "czulki". Naczelny zapraszał mnie do domu. "Gaźubczyk" mówiła do mnie jego żona. Przy wódcę osmielałem się mówić o ciągłe nowych aresztowaniach. "Ty nie bojsa" - klepał mnie po ramieniu. "Niewinnych aresztują" - mówiłem. "Da broś ty głupeści gawarit" - był jeszcze niezupełnie pijany. "A jak mnie się coś

stanie?" - pytałem. "Ty nie bojsa, tiebie gawariat". Dziś przypominam mi, co mi przyrzekał. A on mi: "Ty sam panimajeez" i tak dalej. Dzisiejszy donos nie był pierwszy.

- Skąd wiesz?
- Mańkowski wyciągnął z szuflady jeszcze jeden, pisany tą samą ręką. Uparł się, żeby mnie zniszczyć. Cholera wie, kto to jest?
- Pierwszy donos ja zniszczyłem.
- Kiedy?
- Kiedy kierowałem działem listów.
- Dlaczegoś mi tego wtedy nie powiedział?
- Co by ci to dało?
- Wtedy działała jeszcze organizacja, która przerzucała ludzi za granicę. Mogłem wiać. A ja się ociążałem. Dzisiaj byłbym już w Palestynie.
- A teraz?
- Za późno. Wszystkich aresztowano. Kilku udało się uciec do Rumunii. Będę musiał się ukryć. Aż przyjdą Niemcy.
- Przed NKWD się nie ukryjesz.
- Chciałbyś mi pomóc?
- Nie wiem.
- Nie wiesz? To już jest coś. Tak nie mówi komunista. A może przestajesz nim być?
- Jestem i zostanę komunistą.
- Szkoda. Wy, żydowscy komuniści, jesteście najgorsi. Leon odszedł bez pożegnania.

x

Teresa zadzwoniła do Artura, gdy nadzwanie dziennika porannego właśnie się kończyło. Artur przelakł się, mimo że wołający go do telefonu redaktor powiedział mu, kto go prosi. Artur słuchał w napięciu, jak Pola Marcówna czytała dziennik poranny. Korolow kazał mu po pracy pokazać się u niego w gabinecie. Zaraz po pracy. Czego on może chcieć?

- Szukam cię od kilku dni - mówiła Teresa. - Uchwaliliśmy z Robertem, że pójdiesz z nami do teatru.
- Na co?
- Przejedźna Teatr Głuchoniemych.
- Dobry kawał z samego rana.
- Serio. Teatr Głuchoniemych z Kijowa, a może nawet z Moskwy. Dokładnie nie wiem.
- Ciekawe.
- Władzisz! Wpadnij do nas przed spektaklem. Wybierzemy się razem.
- Kiedy?
- Dwudziestego pierwszego.
- To znaczy jutro?
- Tak.
- To może być ciekawe.
- Jak wpadniesz, pogadamy. Dawnośmy się nie widzieli.

x

Artur zaszedł do Korolowa. Na gazecie leżał rozpatroszony śledź.

- Siadaj - Korolow miał pełne usta. - Jest ważna sprawa.
- Słucham.
- Wyzaczyliśmy ciebie na redaktora literackiego.
- A Hryhorczuk?
- Nie ma go już.
- Rozumiem.
- Ma za swoje. Chuligan.
- Ale ja słabo znam ukraiński.
- Podciągniesz się. Towarzysze pomogą.
- Kto będzie robił dziennik poranny?
- Ty. Rano jak dotychczas dziennik, a potem audycja literacka.

To też nieduża robota i niecodziennie. Ja ci daję tekst, ty go bierzesz, coś Czechowa, albo Szolochowa, skracasz żeby zmieścić się w harmonogramie, siedzisz w kabinie i uważasz żeby Kławdia Jakowlewna czegoś nie pokręciła. Otrzymasz odpowiednie wynagrodzenie. Zgoda?

- Jak trzeba...
- Maładiec!

Artur podniósł się z krzesła, ale dyrektor zatrzymał go:

- Jeszcze momentik - odwrócił się w stronę bocznych drzwi.

- Wałodia!

Wszedł młody brunet w kaszkiecie z podniesionym do góry daszkiem i w drellichowej bluzie. Przywitał się z Arturem i usiadł przy biurku obok Korolowa.

- Nu, walaaj - powiedział do niego Korolow.

- Czy towarzysz zna Leona Hubla? - Wałodia zajrzał do notesu w postrzępioną okładkę. - Pracuje w "Czerwonym Sztandarze". Jako "zawhcz". Pracował - poprawił się. - Czy towarzysz nie wie, co się z nim stało?

- Nie wiem.
- Nic, absolutnie nic?
- Nie wiem, o co idzie?

- Ostatnio widziano was dwóch w Parku Stryjskim. Od tego czasu znikł. W domu nie nocuje. Gdzie on może się ukrywać?

- Nie mam pojęcia.

- Znaćcie, towarzyszu, jego przyjaciół, krewnych, jakąś dziewczynę?

- Mamu wspólnych znajomych z "Czerwonego Sztandaru".

- A poza tym?

- Nikogo.

- Jak długo go znacie?

- Sprzed wojny.

- Właśnie. Musicie pamiętać jego dawnych znajomych.

- Znałem go bardzo mało. Właściwie tylko z widzenia.

- Skąd?

- Z uniwersytetu.

- Byliście w jednej grupie?

- Byliśmy na różnych wydziałach.

- Na jakim wydziale był on?

- Nie wiem.

- Mamu o was dobrą opinię. Czy chcielibyście ją stracić? Dziś awansowaliście. Powinniście to docenić.

- Doceniam. Będę się starał pracować jak najlepiej.

- Na razie tyle - enkawedziśta schował notesik do górnej kieszeni drellichowej bluzy. - A wy tymczasem postarajcie się przypomnieć sobie wszystko, co wiecie o Leonie Hublu. Pamiętajcie towarzysza Waszkowiaka? Mam nadzieję, że będę się z wami widział jeszcze nieraz. Kto wie, czy nie doszukamy się jakiegoś waszego

towarzysza Waszkowiak? Mam nadzieję, że będę się z wami widział jeszcze nieraz. Kto wie, czy nie doszukamy się jakiegoś waszego grzeszku... Jesteście żonaci?

- Byłem.
- Co się stało z waszą żoną?
- Rozeszliśmy się.
- Dlaczego?
- Różniliśmy się charakterami.
- No cóż, bywa czasem w życiu. A gdzie jest teraz wasza była żona?
- Została po tamtej stronie.
- Woląta Niemców?
- Nie sądzę.
- A kto to jest Rachelę?
- Dobra znajoma.
- Widzicie, my wiemy wszystko. Więc lepiej od razu wszystko powiedzieć.
- Powiedziałem wszystko.
- To się jeszcze okaże. Na razie jesteście wolni.

x

Artur przystanął przed pustą witryną, w której leżały rulony pozostałego papieru z pierwszomajowymi hasłami.

Gość w dwurzędówce z "siniego hostończyka" i w złotych półbutach też się zatrzymał. Artur miał wrażenie, jakby go oblażył wzry.

Kiedy gość w dwurzędówce wyjął chusteczkę i zaczął wycierać pot z czoła /ubrany był za ciepło na ten upał/, Artur skrył się w hallu kina "Palace", a stamtąd, drugim wyjściem, wymknął się na ulicę Szajnochy. Jak przed szpikiem w sanacyjnej Polsce.

Na Sykstuskiej wkokoczył do biegnącego tramwaju. Zawisnął na stopniu przepelnionego wozu. Na Bernardyńskim wybiła szósta. Po sługich oporach oni też przesunęli wskazówki zegara. A więc miał jeszcze dwie godziny czasu. Na pewno zaprosili Rachelę. Wyślął, jak by się z nią spotkać.

Przystanek był na rogu Sapiehy. Linkowie mieszkali niedaleko, przy ulicy Szaszkiewicza.

Robert zaprowadził go do pokoju z opuszczonymi storami, było tu chłodno. Poczekał się bezpiecznie.

Racheli nie było. Może przyjdzie później. Może stało się nie-  
szczęście? Gdyby ją zabrali, to Robert i Teresa by wiedzieli. Nic  
nie mówią, więc nic się nie stało. Dobrze, że do niej nie poszedł.  
Naprowadziłby na nią szpika. Szpik? Radziecki szpik? A jak ina-  
czej? I na takim słowie wszystko zaczyna się łamać. Czy nie wie-  
dział, że istnieje radziecki szpik? Ale dopiero gdy ujrzał go na  
własne oczy, dopiero gdy dotknęło go to samego, zapomniał o róż-  
nicy między szpikiem sprzed wojny a dzisiejszym. Komu służył tam-  
ten, a czemu służy ten? Łuka w charakterze, łuka w uświadomieniu.  
Wcisnął się Leon Hubel. Spalony donos, zarzalenie przy pierwszej  
probie. Skrzywdzony niewinnie nie ma prawa zwątpić o nadrzędno-  
ści Sprawy. Nie wolno patrzeć przez pomniejszające szkło, przez  
ograniczający pryzmat jednostki. Czy naprawdę jest całkowicie  
niewinny? "Doszukamy się jakiegó waszej winy...", nie "jakiegó  
waszego grzeszku...". Kłamstwo o żonie w Warszawie... Czy nie bę-  
dzie musiał brnąć dalej? Skoro spalił donos na Leona Hubla, dia-

czego nie miały go ukryć? Dlatego, że jest Żydem. Nie! Nie! dlatego. Dlatego, że on sam jest mięczakiem. Że nie jest hartowaną stalą jak prawdziwy komuniata. Współczucie dla wroga ma do niego dostęp. Drobnomieszczański pochodzenie. Tego nie wykorzeni najśluszniejsza idea. Wychowanie, dzie dzictwo wieków wyolbrzymia krzywdę, przesłaniając cel. Alles wytrzymał lata wigiienia, ale nie wytrzymał widoku krzywdy, która zaciemnia prawdziwy obraz. To jest trop drobnomieszczański. Dla świata nowego istnieje nowy typ człowieka: robociarz! Robociarz nie ma luk, jest jednolity, takim uczyniło go wiekowe dzie dzictwo. Dlatego...

Artur wylał herbatę na obrus i spódnie.

- Nie szkodzi - pocieszała go Teresa - nie będzie plam, herbata nie słodzona.

X

Przed spektaklem wystąpiła kierowniczką zespołu i wygłosiła wstępne, objaśniające przemówienie.

O wielkiej estyce Kraju Rad, której zdegenerowana sztuka krajów kapitalistycznych nie może dorównać. Jednym z dowodów jest właśnie Teatr Głuchoniemych. W socjalizmie nie ma miejsca na upośledzonych, trzeba z nich zrobić normalnych obywateli i dlatego tylko w ZSSR mógł powstać Teatr Głuchoniemych. Partia i rząd pomogły tym ludziom, aby poczuli się jak równi wśród równych. Teatr Głuchoniemych realizuje nakazy partii i rządu i w ramach obecnej pięcioletki podejmuje się stworzyć we wszystkich miastach obwodowych Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Radzieckiej ośrodki teatru głuchoniemych. Partia, rząd i towarzyszy Stalin osobiście nam pomogą, aby jak najwięcej głuchoniemych czuło się szczęśliwie na deskach sceny. Stając się aktorami, stają się normalni. Jest to jedno z najbardziej humanistycznych osiągnięć testru w ojczyźnie socjalizmu.

Po streszczeniu sztuki kierowniczką poprosiła widownię, żeby w skupieniu śledziła akcję, gdyż głuchoniemi są bardziej wrażliwi niż zwykli aktorzy.

Mówczyźnie nagrodziło parę nikłych oklasków.

Głuchoniemi wychodzili i porozumiewali się ruchami palców i grymasami. Zza jednej kulisy kierowniczką czytała monotonna dialog sztuki dla publiczności, a zza drugiej suflerka dawała znaki aktorom palcami i mimiką. Obie były widoczne. Błądzi, smutni aktorzy, prawdopodobnie niedożywieni, czuli się tak, jakby ich wystawiono na pośmiewisko.

Artura rozboleła głowa.

- Taki będzie los sztuki - szepnął Robert Arturowi na ucho.

Teresa od czasu do czasu wdychała:

- Boże - i zakrywała twarz dłońmi.

Inne kobiety czyniły to samo.

Mężczyźni siedzieli smartwiali, pokonując grymas niechęci i współczucia.

Wszyscy szybko opuściliby salę, lecz głuchoniemi nie słyszą, ale widzą. Byłoby okrucieństwem ich zawstyżać, Chcieli grać jak normalni aktorzy, lecz było to niemożliwe. Musieli stać naprzeciw siebie, żeby nawzajem się widzieć. Ręce mieli zgięte w łokciach i wyglądali jak drewniane pajacyki. Gdyby całe przedstawienie było w takim stylu, kto wie, może i miałyby to jakiś sens. Gwałtownym gestem towarzyszyły nieartykułowane, wibrujące głosy wydobywające

się z zakrąglonych warg. Czasem usta otwierały się nadmiernie szeroko, twarze odwracały się do widowni i to miało oznaczać śmiech. A skrzywienie warg jak u dziecka i potrząsanie ramionami to był płacz. Uściąć albo wyjść ze sceny to cały problem. Robiono to z ostentacją. Na widowni siedziała grupa głuchoniemych. Tupali nogami i wydawali nieprzyjemne piski gniewu. Nie aprobowali swoich braci w kalectwie.

Po wyjściu z teatru ludzie wyzwalały się od koszmaru zaśmie wali się. Niektórzy zaczęli gadać ze sobą na migi. Naśladowali ruchy ich palców i grymasy twarzy.

- Uccie się, uccie - powiedział Robert - to się wam przyda.

x

Ogłuszający huk o świcie, poderwał całe miasto na nogi.

Ludzie w nocnych koszulach i piżamach wybiegli przed bramy albo na balkony.

Tak było dwa lata temu w Warszawie.

Ale dzisiaj inaczej spoglądano na samoloty ze swastykami. Strach był zmieszany z nadzieją. Ludzie porozumiewali się uśmiechnięci, dziękując Bogu za zmianę. Nadeszła wojna dwóch wrogów Polski. Nadeszła wojna oczekiwana przez naród ukraiński. Tylko Żydzi nie mieli się czego spodziewać.

Do radia odprowadził go gość w granatowej dwurzędowce. Szedł za nim w odległości kilku kroków. Artur czuł go tuż za plecami. Miał wrażenie, że szpik chce z nim nawiązać znajomość.

Serwis poranny tchnął nieodmiennie optymizmem. Artur, zanim przetłumaczył przygotowane teksty, poszedł z nimi do Koralowa.

- Ludzie oczekują wiadomości. Trzeba im powiedzieć słówko o wojnie.

- Nie ma w tej sprawie żadnych wskazań - odparł Koralow.

Dzwonił do obkomu Partii, do towarzysza Hryszczuka. Ale go nie było.

- Musi się odbywać zebranie. Trzeba trochę poczekać. Nadaj to, co masz.

- Nie można nadawać doniesień TASSa, brzmią jak ironia - krzyknął Artur.

- Ty mnie zdiś nie podniamaj żydowskiej ohaj - zażydłaczył dyrektor.

Artur cofnął się jak przed uderzeniem.

Przetłumaczył poranny serwis wiadomości. I dał spikerce.

Pała Marcówna przebiegła go oczami:

- Śmiech na sali - powiedziała.

Wzięła kartki i poszła do kabiny.

Przez mikrofon popłynęły wiadomości o szczęściu i radości narodów ZSSR.

Pracownicy radia, redaktorzy, pomoc techniczna, służba padali sobie w ramiona ze łzami w oczach:

- Doczekałyś, skawa Boha

Nie balli się, że ich aresztują jak Hryhorczuka i innych uczestników niedawnej pijatyki.

Żali nie pili. Na trzeźwo przeżywali chwile szczęścia.

Koralow zrobił zebranie w dyrektorskim gabinecie.

Przeczytał przemówienie Mołotowa o podłej agresji podstępnego wroga, wygłoszone w południe przez radio moskiewskie.

Wzwał wszystkich do jeszcze wydajniejszej pracy i do dyscy-

pliny. Od odpowiedzialnych członków partii otrzymał przed chwilą wiadomość, że atak wroga został odparty i Armia Czerwona ściga go teraz na jego własnym terytorium.

- Dlaczego nie podać tego w dzienniku radiowym? - spytał redaktor dzieła muzycznego.

Koralow udał, że tego pytania nie było.

- Do pracy! Każdy na swoim posterunku - udszrzył kułakiem w otwartą drugą dłoń.

- Czy wobec nowej sytuacji wzmianka o zacieśniających się więzach przyjaźni z Niemcami i o dbrosąsiedzkich stosunkach jest nieaktualna? - zapytał Artur.

- Nadawać muzykę.

- Wczoraj mieliśmy Wagnera. Powtórzyć? - spytał redaktor działu muzycznego.

- Nie. Raczej Czajkowskiego. "Eugeniusza Oniegina" - powiedział Koralow.

## x

Wojna trwała już kilkanaście godzin.

Miasto ogarnęła psychoza, znana Arturowi od dziecka. Od pierwszej wojny. Każda następna była gorzszą. Pierwszej mogła towarzyszyć ciekawość, tej tylko strach. Ile dużych i małych wojen może wytrzymać jedno ludzkie życie?

Przed sklepami powstały kolejki nie takie jak co dzień. Ludzie pchali się nie po to, żeby coś kupić, lecz żeby wydać pieniądze. Brali więc cokolwiek, byleby tylko pozbyć się rubli.

Kiedy Artur postanowił zobaczyć się z Rachelą, zbliżało się południe, z najjaskrawszym, czerwcowym światłem.

Za sobą nie widział już cienia. Odsunęła go wojna. Przeniosła na ważniejszy odcinek. Ale od czasu do czasu odwracał się. Żeby się upewnić. Jaka ulga! Wielkie koło wydarzeń, s tu jednostkowy los!

Przyglądał się "sowiecom". Nie brzydził się już tego słowa. Cywile w sukienkach z kwadratowymi daszkami, w obwisłych marynarkach z wypchanymi kieszeniami, w szerokich spodniach, równych od pasa do ziemi. Wojskowi w bluzach z rombami na epoletach i w butach wysokich do kolan. Przenykali się. Czyżby się czegoś bali? Unikali wzroku tubylców. Czyżby się czuli winni? Nim jeszcze rozległ się pierwszy trzask, ogarnął ich lęk.

Pierwszy... drugi... trzeci...

Ludzie przystanęli i szukali strzelców podnosząc głowę. Na chodniku i jezdni kule krzeszały dymek. Snajperzy ukryli się na strychach najokazalszych domów, gdzie mieściły się komitety i urzędy. Jeden zagnieździł się na dachu radia, inni wybrali obkom partii, obispczkom, rajkomy. Jak na urągowsko. Z miejscowych nikt nie został trafiony. Celem byli przybysze ze wschodu.

## x

U Racheli zastał jej rodziców - wujostwo Marcusów. Ciotka ucieszyła się Arturem. Mężczyzna. Sam Pan Bóg go zeekał: - Myślałam, że Niemcy są już w mieście. A to strzelali Ukraiń-



cy.

- Przed wojną nazywali się Rusini, Ruthener, jak mówiono o nich w austriackim wojsku - powiedział wujek.
- Trzeba coś zrobić - Rachelę zwróciła się do Artura. - Ty w żadnym razie nie możesz zostać we Lwowie.
- Nie ma powodu do paniki - uspokajał Artur - niemiecka ofensywa została zatrzymana.
- Nauczyłeś się już kłamać jak oni - ojciec Racheli tknął Artura w pierś palcem wskazującym.
- Trzeba uciekać - powiedziała Rachelę.
- Uciekać? Do bolszewików? - ojciec Racheli pokręcił głową.
- Kto chce, niech ucieka. Ja nie.
- Tato woli hitlerowców?
- Nikogo nie wolę. Niech Hitler pożknie bolszewików i niech się nimi udrawi.
- Ale zanim się udrawi... - westchnęła matka Racheli.
- Za dwa dni Hitler będzie we Lwowie - mówił dalej ojciec Racheli. - Polacy mają prawo się cieszyć. Weźcie Polskę, weźcie Rosję, a nawet Francję z jej Maginotem. Polacy nie mają się czego wstydić. Słuchałem wtedy radia z Warszawy. Ale ona się bronila jak lew. Albo Westerplatte.
- Na razie Rosji jeszcze nie pobili - powiedział Artur.
- W niemieckim radio było - ojciec Racheli zrobił lekceważący ruch ręką. - Co ty wiesz? Zwariowany komunista! Słyszałem w radio, że na całym froncie od północy do południa armia rosyjska ucieka na łeb na szyję albo oddaje się w niewolę. Tysiącami, setkami tysięcy.
- Hitlerowska propaganda - rzekł Artur.
- Ani goręza, ani lepsza od bolszewickiej - ojciec Racheli zadarkł głowę, aby spojrzeć na Artura z góry. - Hitler nie jest lepszy od Stalina, a razem nie są lepsi od Hamana.
- Żeby Hitler skończył jak on, Boże, Ojciec drogi - matka Racheli spiotka chude, spracowane dłonie.
- A jak Hitler mówi, że musi zniszczyć Żydów, można mu wierzyć - ciągnął dalej ojciec Racheli. - Tej obietnicy dotrzyma, bo jest najkłamliwsza.
- Tym bardziej trzeba uciekać - Rachelę zwróciła się do Artura.
- W każdym razie ty nie możesz tu zostać.
- Uciekać do bolszewików? Do dzikich ludzi? - ojciec Racheli podniósł głos.
- Mów ciszej - Rachelę pokazała oczami drzwi, za którymi mieszkał oficer NKWD, Rybakow. Podeszła do okna i zamknęła je.
- ... do dzikich ludzi - powtórzył ojciec Racheli ciszej - do bezbożników? W historii świata nie było dotychczas, żeby sam rząd wydał prawo, że nie ma Boga. Jak jeden człowiek nie wierzy w Boga, trudno, zdarza się. Tak jak się zdarza kaleka, wariat...
- Nie daj Boże - westchnęła matka Racheli.
- ... tylko można go żakować. Ale cały kraj? Wszyscy ludzie od góry do dołu. Ale na szczęście propaganda kłamie. Czy to prawda, że cały kraj nie wierzy w Boga? Bo taki jest rozkaz z góry? Ani wierzyć, ani nie wierzyć nie można na rozkaz.
- Nagle dały się słyszeć strzały i tupot nóg na chodniku. Trwało to kilka chwil. Potem nastąpiła cisza i znowu rozległy się strzały, ale nie rewolwerowe, tylko z karabinów, i znowu cisza. Bisganina i wołanie po ukraińsku, słów nie można było odróżnić, ale akcent był tutaj.
- To już jest powstanie - powiedziała Rachelę.
- Nastuchiwali.
- Odezwał się dzwonek do drzwi. A zaraz po nim jeszcze jeden,

dłuższy i ostry.

Nikt nie otwierał. Pani Huttenowej nie było w domu.

Rachela wyszła na korytarz.

- Ty? - krzyknęła.

Był to Leon Hubel. Trudno go było poznać. Twarz miał zarosiła, zapuścił sobie wasy, co jednak nie pasowało do sowieckiego ubioru, szerokiej marynarki i spodni, równych od pasa do ziemi. Buciki miał wyglansowane.

Z wszystkimi się przywitał, a matkę Racheli pocałował w rękę.

- Synku - powiedział z łzami w oczach.

- Tyś oszalał - Rachela cała się trzęsała.

- Nie bój się. Oni potracili głowy - Leon uśmiechnął się do

Artura. - Nie przypuszczaj, że to się stanie tak szybko. Twoja niezwykła Armia Czerwona! Jeden dzień i już po niej! To nie klęska, ale katastrofa. Bogu dzięki, żeśmy dożyli. Jak to jest w modlitwie: "Szehelijuni, wehegljuni, wekimuni lazman haze".

- Nie widzę powodu do radości - odezwała się matka Racheli.

- Też prawdę - przyznał Leon Hubel - i dlatego jestem tutaj.

- Tak, synku, wiedziałam, że przyjdiesz.

- Drodzy moi, nie ma czasu do stracenia. Trzeba się zaraz zdecydować.

- Na co? - spytała Rachela.

- Zabierać się, póki czas.

- To już zostało omówione - powiedział ojciec Racheli.

- Ja już mam załatwioną ucieczkę, sowiecką ciężarówką do Zaleszczyk, a stamtąd przez granicę do Rumunii. Mogę zabrać ze sobą jedną osobę.

- Waż Rachelię - powiedziała matka.

- Skąd masz sowiecką ciężarówkę? - spytał ojciec Racheli.

- Niech ojciec nie zadaje takich pytań. Wszystko jedno, nie pojedę - powiedziała Rachela.

- Spodziewałem się tego - Leon powiedział wzrokiem po rodzicach Racheli - spodziewałem się tego. Rodziców, niestety, zabrać nie mogę. Oficer zgodził się tylko na jedną dodatkową osobę. Najchętniej żonę.

- Niech Rachela jedzie - powiedział ojciec.

- Niech Rachelcia jedzie - powtórzyła matka Racheli - co będzie ze wszystkimi, będzie z nami.

Rachela milczała, spłotła dłonie jak przedtem matka.

Leon podszedł do niej:

- No? Zastanów się.

- Już się zastanowiłam.

- Między nami, czy ty wierzysz temu sowieckiemu oficerowi? - spytał ojciec Racheli.

- Czy to nie jest przypadkiem Rybakow? - matka zasłoniła sobie usta dłonią. - On tam jest? U siebie?

- Wierzę... - Leon zaważał się lekko - bez ryzyka nic nie da się zrobić.

- A jak weźmie pieniądze, a potem wyda? - pytał ojciec Racheli.

- Po co go straszysz? - irytowała się matka Racheli. - On i bez tego ma dosyć.

- No więc jak, Raszel? - Leon wziął ją za rękę.

- Jestś dobry, ale ja nie mogę.

- A ty co zamýślasz robić? - Leon zwrócił się do Artura.

- Nie wiem jeszcze.

- Enkawudziści razem z żonami pakują menatki. Jadą jutro pociągiem do Kijowa. Możesz się z nimi zabrać. Dwieście rubli od osoby.

Powietrzem wstrząsnął wybuch. Ściany zdrząły. Obrazy prze-  
krzywiły się. Brzęknęło rozbite szkło szyb.

Pani Huttenowa przybiegła bez tchu w przekreślonym kapelusiku.  
Nie mogła mówić.

- Widziałam, jak bomba trafiła w pasaż Mikolascha. Zabiła  
kilka osób. Ciudem ocalałam.

X

Bomba wpadła przez szklany dach pasażu. Góry cegieł i zerwana  
żelazna konstrukcja z pogiętymi jak pręt belkami zatarasowały  
przejście. Artur musiał zawrócić. Wśród gruzów wależy się fotyso  
filmu "Świat się śmieje".

X

W mieście nie było plakatów, a w gazecie zawiadomienia, nie-  
mniej wszyscy wiedzieli, że w dawnym "Jad Charucim", gdzie mie-  
ścił się lokal Towarzystwa Rzemieślników Żydowskich, a obecnie  
urzędy Komendantury Obwodowej, miano zorganizować poborowy punkt  
ochotników. Do Armii Czerwonej przyszli się zaciągnąć prawie wy-  
łącznie Żydzi, przede wszystkim młodzież inteligencka, uczniowie  
ósmej klasy gimnazjalnej, studenci uniwersytetu, magistrowie po  
dyplomie. Zaciągnięcie się do armii było mniejszym złem niż hit-  
lerowcy lub ucieczka nie wiadomo dokąd.

Ale na razie nie było potwierdzenia, że dobrze trafili.

Mineła godzina, zanim dojrzał młodszy lejtnant z wybrylanty-  
waną głową, który zresztą zaraz znikł. Dobrym znakiem było jed-  
nak, że stół nakryto czerwonym sukniem i postawiono karafkę z wo-  
dą. Portret Stalina wisiał już przedtem. Można było zacząć.

Mineła druga godzina i dwa naloty. Niemcy, jakby byli powia-  
domieni o żydowskich ochotnikach, wyraźnie celowali w "Jad Charu-  
cim". Ale nie trafiali.

Zaczęto tupać nogami /nie wiadomo, kto odważył się pierwszy/  
i psykać jak w kminie, gdy psuje się aparat i przerywa seans.

Znowu pojawił się młodszy lejtnant z wybrylantowaną głową. Te-  
raz już jednak został. Na sseł patrzył ze zdziwieniem. Skąd się  
wzięło tylu ochotników? Stał i nic nie mówił. Zaczęły padać pyta-  
nia:

- Jak długo trzeba czekać?

- Czy wezmą nas do szeregów niezwyciężonej Armii Czerwonej?

Młodszy lejtnant nic nie wiedział. O niczym nie był powiado-  
mlony. Więc nic nie może powiedzieć. W ostatniej chwili dostał  
polecenie, żeby wygłosić referat o sytuacji międzynarodowej.

Zaczął od zwycięskiej walki górników w Chile, którzy po trzy-  
tygodniowym strajku zmusili właścicieli kopalń do podwyżki płac.  
Ten sukces był wynikiem solidarności mas robotniczych. Od tej ak-  
cji solidarnościowej młodszy lejtnant przeszedł do solidarności  
międzynarodowego proletariatu, która jest jednym z fundamentów  
bezpieczeństwa pierwszego kraju socjalizmu, ojczyzny pracujących  
całego świata.

- Towarzyszu lejtnancie - przerwał mu młody czkowiek w rogo-  
wych okularach. Odchrząknął dla dodania sobie odwagi: - Towarzy-  
szu lejtnancie, my bardzo przepraszamy, ale przybyliśmy tutaj nie

w celu wysłuchania bardzo ciekawego zresztą referatu o sytuacji międzynarodowej, a jeśli już tak, to proszę nam powiedzieć przede wszystkim o sytuacji na froncie. To też należy do tematu.

Z różnych stron sali rozległy się pojedyncze głosy:

- Słusznie!

- Dobrze mówi!

- O sytuacji na froncie miałem mówić na końcu referatu - młodszy lejtnant obciągnął wojskową bluzę przepasaną szerokim rzemieniem. - Sytuacja jest bardzo dobra, oddziały naszej Armii Czerwonej są już na przedmieściach Warszawy.

Na sali zaskrzypiały krzesła. Rozległy się pomruki, a potem zapanowała martwa cisza.

- Mu i wot - uśmiechnął się młodszy lejtnant. - A teraz was pośegnam. Kto chce, może poczekać na pułkownika.

Młodszy lejtnant znowu znikł.

Ludzie zaczęli wstawać, rozglądać się wokół, co robią inni, i milcząc kierowali się ku wyjściu.

- Może na zakończenie zaśpiewamy "Międzynarodówkę"? - zapytał młody człowiek w rogowych okularach.

Odpowiedział mu śmiech.

Wśród wychodzących Artur ujrzał dużą, rudą i jak zawsze krótko ostrzyżoną głowę. Poznał ją od razu. Patrzył na nią, na jej wypukły tył, gdzie, jak utrzymywali chłopcy, mieściła się jego więdza. Od pierwszej do siódmej gimnazjalnej Julek Peczenik siedział w pierwszej ławce, a Artur za nim, w drugiej. W ósmej Peczenik chorował i zdał maturę jako eksternista. Kiedy nauczyciel matematyki, Patryn, postrząchał szkołę, patrzył dziwnym wzrokiem, jaką ofiarę wywołał do tablicy, Artur krył się za plecami Peczenika, najlepszego ucznia. Słabi z matematyki przychodzili do niego do domu. Julek pomagał im rozwiązywać zadania trygonometryczne, a pani Peczenikowa przynosiła po południu kawę z mlekiem i bułką. Pani Peczenikowa czytała po francusku Romain Rollanda i pod pseudonimem Peregrina pisywała krótkie opowiadania o kwiatach i zwierzętach. Drukowała je w syjonistycznej "Chwili", choć sama była asymilantką. Jedna nowelka o miłości Lilii i motyla była naprawdę piękna. Artur pokazywał jej swoje nowelki. Matka Julka chwaliła je i przepowiadała mu wielką przyszłość. I Artur był szczęśliwy, a zarazem smutny. Czy ona się na tym naprawdę zna? Pani Peczenikowa chętnie zostawała w pokoju syna, żeby porozmawiać z jego kolegami. Stawiając ich Julkowi za wzór, prosiła chłopców, żeby nauczyli go tańczyć i zabierali na zabawy do żeńskiego gimnazjum "Fiat Lux". "Ja wcale nie chcę, żeby Julek był celujący, niech mu wystarczy tyle, ile trzeba na przejście z klasy do klasy. Jak skończycie szkołę, zobaczycie, jak mało w życiu znaczy nota. Obawiam się, że mój Julek nie poradzi sobie w życiu".

- Julek!

- Artur!

- Ale spotkanie, co?

- Rzeczywiście.

- Codziennie słyszę twoje nazwisko przez radio.

- Nie ma o czym mówić.

- Gratuluje ci, Armia Czerwona na przedmieściach Warszawy.

- Nigdy nie byłś dowcipny.

- W tych warunkach nie trudno być dowcipnym.

Artur wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Nie czekasz na pułkownika? Niektórzy usłuchali lejtnanta.

Wytrwale będą czekali. Kto jak kto, ale ty powinieneś tam być.

- Ucałuj ode mnie rączki twojej matki.

- Jeżeli masz ochotę, możesz się z nią zobaczyć. Przedwczoraj

przywozłem ją ze Stryja. Udało mi się w ostatniej chwili. Dziś tam już są hitlerowcy. Matka ucieszyłaby się, gdybyś chciał ją odwiedzić. Wiesz, gdzie mieszkam. Byłeś u mnie.

- Chętnie przyjadę. Kiedy?

- Dzisiaj. Jutro może być za późno. Hitlerowcy przestali bombardować. Zły znak.

- Teraz w ogóle mniej bombardują niż w roku 39 w Warszawie.

Wtedy bombardowanie szkło falami jedno za drugim.

- Po co mają zniszczyć miasto? Lwów uważają już za swój.

- Warszawa broniła się do ostatka. A tu, we Lwowie, nie wiadomo, po co wykopali głęboki rów przed Główną Pocztą. I to wszystko.

- Lwowa nie ma kto bronić. Dla kogo?

- Jeszcze jest wojsko.

- Nie ma już wojska. Przestało istnieć w ciągu dwóch dni.

- Przesadzasz.

- Sam wiesz, że nie.

Artur znowu wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Więc przyjdziesz dzisiaj? Jutro może cię już nie być.

- Jak to? - zdziwił się Artur.

- Uciekniesz z innymi komunistami.

- Ach, tak ... A kto będzie nadawał dziennik poranny? - zaśmiał się Artur. Zrobiło mu się przykro. Nieprzyjemny był to śmiech.

- Słyszałem, że kilku tutejszych komunistów uciekło już wcześniej, ale ich zawrócono. Bo Niemcy zostali odparci i są w odwrocie. Ale sowieci pojechali dalej.

- Właśnie. Nie wiadomo, czy nas przepuszczą przez granicę. Muszą się bronić przed szpiegami.

Świeża kula.

Strzelano z "drapacza chmur" Sprechera. Natychmiast odezwał się snajper ze strychu narożnej kamienicy przy Chorążczyzny, niedaleko kina "Apollo".

Ulica Akademicka wyludniła się w jednej chwili.

Artur i Julek Peczenik rozbiegli się w różne strony.

## X

- Mamo, Artur przyszedł! - zawołał Julek Peczenik od drzwi.

Artur pocałował panią Peczenikową w rękę, a ona pogłaskała go po głowie.

- Nie zmieniłeś się na twarzy. Pozwolisz, że będę mówiła ci "ty". Zmężniałeś. Jak to pięknie, żeś się pokazał. Julek wątpił, ale ja byłem pewna, żeś odwiedziłeś życziwe ci osoby, mnie, starą kobietę, i twego przyjaciela. Pamłetasz, mój drogi, czytywałem twoje próby literackie. Ja pierwsza dostrzegłam w tobie talent. Piszesz dalej?

- Tak.

- To dobrze... - przez nieruchomy policzek przebiegł skurcz, od opadniętej powieki do skrzywionych ust. Mówiła tylko prawą stroną. - Wiesz, im bardziej zbliżają się Niemcy, tym bardziej się czuję żydówką. Wiedziałam, że przyjdiesz, że przyprowadzi cię żydowskie serce. Jakie są nowiny? Ty jako radiowiec pewnie wiesz najlepiej.

Arturą wyreczył Julek:

- Hitlerowcy zdobyli już Skniltów. Zaledwie parę kilometrów

stad.

- Lotnisko? - spytał Artur.  
 - Był lotnisko. Już go nie ma. Po pierwszym nalocie została kupa gruzów i spalonych samolotów.  
 - Jutro będziemy ich mieli we Lwowie. A Lwów osierocony! - Biedni ludzie! - pani Peczenikowa powiodła palcami po czole.  
 - Jakże mi ich żal!  
 - Jeszcze nie wszystko stracone - pocieszał ją Artur.  
 - Seelig wer glaubt... Może... Wszystko w ręku Boga... Mam do ciebie prośbę, Arturku, nie wolno ci odmówić starej kobiecie. Idzie mi... - pani Peczenikowa zewahała się.  
 - Słucham panią. Co tylko mogę, zrobię dla pani.  
 - Wiesz, jaki Julek jest niezyciowy. Znasz go nie od dzisiaj. On sam sobie nie poradzi...

- Ależ mam!  
 - Mnie nic nie zrobią, prawda? Ja mogę zostać. Starej kobiecie nic nie grozi...  
 - Nie wiadomo - powiedział machinalnie Artur.  
 - Widzi mama! - triumfował Julek.  
 - Wszystko jedno. Ty musisz uciekać, jesteś komunistą, i prośbę cię, żebyś zabrał ze sobą Julka. Weźmiesz? Przymkasz mi? Nie wolno ci powiedzieć nie. Na pamięć swojej matki!  
 - Ja jeszcze sam nie wiem... nie wiem... nie wiadomo...  
 Przech martwy policzek pani Peczenikowej przebiegł skurcz. Zamknęła oczy i palcami przeczeswała siwe, rozrzedzone włosy.  
 - Tak - powiedziała. Sięgnęła po laskę opartą o poręcz krzesła. Wstała i powiodząc prawą nogą wyśzła do drugiego pokoju. Wróciła niosąc drewnianą kasotę z wrytą na niej głową lucuła. Otworzyła ją kluczykiem. Wypadły stamtąd fotografie i wycinki gazet z jej opowiadaniem podpisanym pseudonimem Peregrina. Długo przeglądała papiery, zanim znalazła to, czego szukała. Była to koperta z palestyńskim znaczkiem. Podala ją Arturowi. Poznał pismo matki.

"Wielmożna i Droga Pani Mecenasowo" - tak zatytułowany był list.

Matka Artura zwracała się do pani Peczenikowej jako do jednej z najszlachetniejszych kobiet z prośbą, żeby pomogła Arturowi, który został wtrącony do więzienia we Lwowie. Wiadomo, jakie tam są straszne warunki życia. Ona nie jest niestety w stanie pomóc synowi. Życie w kibucu jest bardzo ciężkie. Chłopcy od świtu do nocy rozbijają kamienie na skalistej pustyni, a dziewczęta zajmują się domem a właściwie namiotem. Nie wszyscy mogą wytrzymać trudy i głód i wracają do Polski. Zostają tylko wytrwali idealści, wierzący w odrodzenie się narodu żydowskiego po dwutysiącletniej rozsypance... "Wierzę, że Pani, Pani Mecenasowa, nie odmówi mej prośbie, a gdy tylko stanie się to możliwe, odptać się wdzięcznością". Artur oddał list bez słowa. Zawsze był pewny, że paczki otrzymywał z MOPR-u, przez Stefanię Sempołowską.

- Dlaczego moja matka nie pisała mi o tym?  
 - Nie wiem, może dlatego, że umarła.  
 - Umarła...  
 - Nie wiedziałeś?  
 Artur zamyślił się.  
 - Tak... tak.. wiedziałem - Artur pochylił się i pocałował panią Peczenikową w obie ręce. Z trudem powstrzymywał łzy.  
 - Zdaje się, że ty nie jesteś urodzony na komunistę - uśmiechnęła się pani Peczenikowa.  
 - Dlaczego? Nie zgadzam się z tym.

- Masz żydowskie serce i dlatego wciąż na ciebie liczę.
- To zależy... Nie wiadomo, co będzie... jak będzie... Ale jeśli bym wychodził ze Lwowa, będę o Julku pamiętał.
- Będę spokojna.
- Ależ mamo!
- Przestań! - krzyknęła ostro pani Peczenikowa. - Ma być tak, a nie inaczej.
- Artur i Julek odwrócili się. Poczęli czyjaś obecność w pokoju. Przez otwarte drzwi wszedł dozorca. Artur widział go stojącego w bramie. Za nim pokazał się enkawudzista.
- Proszu starszej pani - jakaś się dozorca - pani już tu mieszka 48 godzin i nie je zameldowana.
- Nie zdążyłem... tłumaczył Julek. - Jutro..
- Eee... jutro... jutro... trzeba było zaraz, takie rzeczy trzeba zaraz - dozorca kręcił głową.
- Enkawudzista sprawdzał dokumenty. A gdy zażądał paszportu od pani Peczenikowej, okazało się, że nie miała.
- Enkawudzista był zdziwiony:
- Jak to? Bez paszportu? Bez paszportu nie można żyć.
- Nie chcieli mi wydać.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Jak to: nie wiem?
- Zaraz... zaraz... - pani Peczenikowa zwróciła się do syna
- jaką ty masz narodowość w paszporcie?
- Polką.
- Otóż to. Ode mnie chcieli, żebym podała narodowość żydowską. Odmówiłam. Więc to był ten powód. Nieszuszny, bo widzi pan, że memu synowi pozwolili...
- Obywatelka jest Polka czy Żydówka?
- Teraz, kiedy nie mam paszportu, to przecie wszystko jedno.
- Niech się obywatelka ubiera. Pójdzie ze mną. - Enkawudzista oddał paszporty Julkowi i Arturowi.
- Moja matka jest chora. Zostawcie ją w spokoju. Przecie nie popełniła nic złego.
- Wszystko się zbada na miejscu.
- Towarzyszu - wstawił się Artur - komunista powinien widzieć człowieka, a nie papier. Komunista musi rozróżnić, kto jest wrogiem, a kto nie. Nie wolno tak na oslepi!
- Małczat!
- Nie będę milczał - Artur pokazał legitymację radia.
- Towarzysz redaktor - złagodził enkawudzista - ma pomagać, a nie przeszkadzać władzy radzieckiej.
- Właśnie staram się pomóc. I radzę pozostawić obywatelkę w spokoju.
- Nie wolno. Obywatelka nie ma paszportu. Ma paszport? Nie ma. Koniec. Ubierać się, ubierać - skinął ręką na panią Peczenikową.
- To jest ... To jest ... - krzyczał Artur coraz głośniej.
- To jest nieludzkie! To jest tępota!
- Ej ty! - enkawudzista pogroził Arturowi palcem - bo też zabię.
- Dobrze! Dobrze!
- Zostaw - powleciała cicho pani Peczenikowa.
- Proszę... Proszę... - Artur rzucił się ku niej - niech mi pani wybaczy...
- Pani Peczenikowa oparła się o poręcz krzesła. Dźwignęła się i sięgnęła po laskę. Wyciągnęła ją w stronę syna:
- Bądź tak dobry, syneczku, i podaj mi piasecz, z podpinką.
- Pójdę z mamą - Julek narzucił matce piasecz na ramiona.
- Wziął ją pod rękę.

X

Artur wsunął rękę do kieszeni. Zaszeleścił papier. Zrobiło mu się przykro. Zawstydził się. Zabrał ze sobą więzienne opowiadanie, żeby je dać do przeczytania pani Peczenikowej.

X

Wojsko ucieka przez Łyczaków w stronę Winnik. Za nimi idą jacyś cywile, sami Izraelici. - Z taką nowiną przawszła pani Helena do jego pokoju. - Nie wiem, czy mój pan ma także uciekać, on jest uparty i mówi, że on nie jest komunistą. Niency są na rogatkach. A pan będzie uciekał? Oni powinni takiego jak pan wywieźć samochodem. Sami to pouciekali maszynami. Od pani Hopfenowej cała rodzina ruskich jeszcze wczoraj uciekła. W mieście nie ma już ani jednego Sowietę.

Artur chwycił marynarkę i wybiegł na ulicę.

Było pusto. Od czasu do czasu przejeżdżała na pełnym gazie maszyna, wypchana sowietami i bagażem. Wzbijał się za nią tuman kurzu. Na zakrętach słychać było zgrzyt opon.

Strzelanina ze strychów ustała. Snajperzy szesli na dół, gotowi wziąć oniemiałe miasto w swe ręce.

Z komarów unosiły się czarne pląty i opadały na jezdnię, skwer i chodnik. W urzędach palono dokumenty.

Zdyszany wpadł do radia.

W portierce nikogo nie było. Koralow, w mundurze majora, z dwiema ciężkimi walizkami, zbiegał po schodach. Kiedy zobaczył Artura, zatrzymał się. Artur patrzył na walizy.

- Tak. Spieszę się...

- Co się dzieje? - spytał Artur.

- Wszystko w porządku.

- Jak na froncie?

- Jak to jak? Nasze wojska są na przedmieściach Warszawy.

- Ach, Boże!

- Tak. Wiem na pewno. Wiadomo.

Artur patrzył na sympatyczną twarz i jasne oczy Koralowa.

- Czyż czas są na przedmieściach i nie idą naprzód?

- Idź na górę. Na moim biurku leży materiał. Daj go Kwaśdii

Jakowlewnie. A jak jej nie ma, sam przeczytaj do mikrofonu.

Koralow zbiegł na dół.

X

Na biurku Koralowa leżał plik papierów, a na wierzchu materiał: "Zwycięstwo górników chilijskich..."

Pokoje były puste. Artur sam kręcił się po gmachu.

Zajrzał do prywatnego mieszkania Koralowa. Na podłodze leżały rozrzucone dzieła Lenina i Stalina. Otwarte szafy na ubrania były wypróżnione.

Na swoim biurku Artur znalazł kartkę:

- Szukałam cię wszędzie. Linkowie zabierają mnie ze sobą. Idziemy za wojskiem. Czekamy na ciebie w "Czerwonym Sztandarze".

R".



Wybiegli na ulicę.

Wiatr rozmiatał czarny popiół. Strzępy spalonych papierów wirowały w powietrzu jak czarne ptaki..

Przed bramą na stożku siedział dozorca. Udawał, że go nie poznaje. Nie chciał go wpuścić do środka.

- Tam na mnie czekają.

- Ta kto tam czeka! Tam już nima nikogo - dozorca wyjął blaszane pudełko z tytoniem i bibułkami.

- Redaktor Robert Link na mnie czeka...

- Powiedziałem, że nima nikogo. Wszyscy uciekli. Uderali, Koniec. Skonczyło się.

- Redaktor Link...

- Co to za człowiek! Uciekł razem z żoną.

- Kiedy?

- Z parę godzin już będzie.

Popędził Łyczakowska. Ulica była pusta. W oknach, za firankami, pokazywały się twarze.

Dostał zadyszki. Przystanął, nie mógł złapać tchu. Serce mu waliło. Czuł ból.

Chwycił się sztachety szpitala "Czerwonego Krzyża".

Opadł na kamienną podbudowanie. Zdjął go wielki strach.

## NOTA O AUTORZE

Julian Strykowski urodził się w roku 1905. Prozaik, eseista. Doktor filologii polskiej. Debiutował w roku 1929 jako krytyk literacki i recenzent teatralny we Lwowie. W latach 1954-1978 należał do zespołu redakcyjnego "Twórczości" i kierował w niej działem prozy. Wydał m.in. następujące powieści i zbiory opowiadań: "Bieg do Fragała" /1951/, "Głosy w ciemności" /1956/, "Imię własne" /1961/, "Czarna róża" /1962/, "Austeria" /1966/, "Na wierzbach... nasze skrzypce" /1974/, "Sen Azrils" /1975/, "Przybysz z Narbony" /1978/. Powieść "Wielki strach" autor pisał od początku z zamiarem powierzenia jej "Zapisowi", c. czym zawiadomił redakcję w trakcie pracy nad książką.

"Zapis" jest niezależnym kwartalnikiem literacko-społecznym, wolnym od cenzury. Działalność "Zapisu" trwał już czwarty rok. Pierwszy numer ukazał się w styczniu 1977. Od tego czasu wydano 14 numerów i opublikowano w nich prace około 100 autorów. Drukowano poezję, opowiadania, fragmenty powieści, eseje, reportaże literackie, faletony, recenzje, wywiady z ludźmi sztuki oraz kronikę życia kulturalnego.

W miarę swych możliwości - działając w trudnych warunkach niedostatku technicznego, prześladowań i ponawianych rekwizycji - "Zapis" poczytuje sobie za obowiązek dawać szansę swobodnej publikacji każdemu dziełu polskiego pisarza, stworzonemu w kraju lub za granicą, jeśli autor nie ma innej sposobności druku albo właśnie formę publikowania w "Zpisie" świadomie wybiera zamiast czy też obok innych form.

Dotychczas w trzech wypadkach "Zapis" odstąpił od swej zasadniczej funkcji czasopisma ogłaszającego w każdym numerze wiele różnych tekstów i sygnowanego przez wieloosobowy zespół redakcyjny, a zamiast tego wydał numery "autorskie", udzielając gościny książce jednego pisarza. W ten sposób ukazały się powieści Tadeusza Konwickiego: "Kompleks polski" /"Zapis" nr 3/, i "Mała apokalipsa" /"Zapis" nr 10/. Podobną pozycją jest drukowana obecnie jako "Zapis" nr 14 powieść Juliana Strykowskiego "Wielki strach". "Zapis" z satysfakcją pełnił rolę "gospodarza" tych spotkań powieściopisarzy z czytelnikami.

Nad przygotowaniem innych numerów "Zapisu" pracowało w różnym czasie 16 redaktorów. Byli to: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Tomasz Burek, Anna Chmielewska, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Jakub Karpiński, Ryszard Krynicki, Adam Michnik, Marek Nowakowski, Kazimierz Orłowski, Barbara Toruńczyk, Wiktor Woroszyński, Adam Zagajewski.

# Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazały się:

**poezja**  
 Stanisław Barańczak  
 Jacek Bierszak  
 Jacek Brodski  
 Jerzy Ficowski  
 Zdzisław Jaskuła  
 Osip Mandelstam  
 Czesław Miłosz  
 Kazimierz Wierzyński  
 Wiktor Woroszyński

ZA WMIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE  
 W RÓDLOWIE ŻYCIA  
 WIERSZE I POEMATY  
 GRZYŚ  
 DWA POEMATY  
 PÓŹNE WIERSZE  
 TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORAŁNY  
 KRÓL POPIELI I INNE WIERSZE  
 MIASTO BEZ MIENIA  
 GDZIE SŁOŃCE WSTAJE I KIEDY ZAPADA  
 ŚWIATŁO DZIENNE  
 CZARNY POŁONEZ  
 JESTEŚ I INNE WIERSZE

**proza**  
 Jerzy Andrejewski  
 Kazimierz Brzdęk  
 Witold Gombrowicz  
 Günter Grass  
 Bohumil Hrabal  
 Włodzisław Jeroń  
 Tadeusz Konwicki  
 George Orwell  
 Dominique de Roux  
 Piotr Wierzbicki

WIAZGA  
 NIERZECZYWISTOŚĆ  
 WSPOMNIENIA POLSKIE  
 BŁASZANY REBENEK  
 ZBYT GŁOSNA SAMOTNOŚĆ  
 MOSKWA - PIETUSZKI  
 KOMPLEKS POLSKI  
 WŁZA APOKALIPSA  
 FOLWARK ZNIERZĘCY  
 ROZMOWY Z GOMBROWICZEM  
 CYRK

**cyfryka, publikistyka**  
 Włodzisław Bielewicz  
 Paweł Jasienica  
 Andrzej Kijowski  
 Jacek Kuron  
 Antoni H. Lehm  
 Adam Michnik  
 Czesław Miłosz  
 Maria Ossowska  
 Jan Pilsudski  
 Marek Tarczewski  
 Piotr Wierzbicki  
 Witold Wyrzyz  
 Stefan Żeromski  
 ANTYPAMITYZM  
 EUROKOMUNIZM  
 KULTURA (wybór z rocznika 1978)  
 NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM SMRKOŃSKIM  
 UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU

SOCJALIZM PO 60 LATACH  
 ROZMAWIANIA O WOLNE DOMOWEJ  
 NIEDRUKOWANE  
 WYŚLI O PROGRAMIE DZIAŁANIA  
 ZASADY IDEOWE  
 UWAGI O STRUKTURZE RUCHU DEMOKRA-  
 TYCZNEGO  
 NOWA UMOWA SPOŁECZNA  
 CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW  
 ZNIEWOLONY UMYSŁ  
 O PIERNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI  
 BIBUŁA  
 DZIAŁANIE I PRZYBYŚĆ  
 GNIEZI PARNAS  
 POLAKU, KIM JESTEŚ?  
 NA PROŚBOSTWIE W WYSZKOWIE

historia, dokumentaty, wspomnienia  
 Józef Czapeli  
 Jan Fiolek  
 Marek Tarniewski  
 SOKOLNIKI BEZPRAWIA  
 DNIWE ROZMOWY - MOSKWA 1960 (stenogram rozmów  
 powko - chrześcij)  
 OBYWATEL A SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA (sprawnik/  
 OPRACOWANIA ZESPÓŁÓW PROBLEMOWYCH PPN  
 PAKTY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA  
 IPABAZA (wybór artykułów z września 1939)  
 RAPORT O STANIE RZECZPOSPOLITEJ (sprawowanie DIP/  
 STYCZNIKI SOWIECKO-NIEMIECKIE (październik 1939  
 - czerwiec 1947), DOKUMENTY RMZ III RZESZY  
 ZBRODNIENIA KATYŃSKA W ŚWIĘTLE DOKUMENTÓW  
 Z KSIĘGI ZAPISÓW GURPP/W

zbiory Towarzystwa Kuratw Naukowych  
 Witold Gombrowicz  
 Tomasz Kuczyński  
 Tomasz Bekary  
 JĘZYK PROPAGANDY

WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE  
 KLUBIER Z WARSZAWY  
 POCHODZENIE SYSTEMU  
 POLSKIE PĄSND PODZIEMNE 1939-1946  
 DARTJE HISTORII LITERATURY POTRZEBUJEMY  
 PO WIELKIM SKOKU  
 WYBRZ PISM

Współpracy z wydawnictwem KLIN ukazały się:  
 Witold Gombrowicz  
 DZIENNIK 1953  
 DZIENNIK 1954  
 DZIENNIK 1955-56  
 KOSMOS

edyta  
 Józef Spotański  
 SPIEWNIK DOMOWY I LUDZKI  
 SPIEWNIK WARCHOLA  
 UTWORY WYBRANE

**NIEZALEŻNA  
 OFICYNA  
 WYDAWNICZA**

pragnie przełamywać państwowy  
 monopol wydawniczo-informa-  
 cyjny.

**NIEZALEŻNA  
 OFICYNA  
 WYDAWNICZA**

spełni swoje zadania, jeśli  
 społeczeństwo udzieli jej po-  
 parcia:  
 jej powodzenie zależy od  
 dostarczanych nam tekstów,  
 pomocy w kolportażu,  
 zdobywaniu sprzętu i mate-  
 rialów poligraficznych,  
 pomocy finansowej.

**NIEZALEŻNA  
 OFICYNA  
 WYDAWNICZA**

nie reprezentuje żadnego kie-  
 runku politycznego.  
 chce służyć różnorodnym mi-  
 glietwom twórczym.

## OD NAS SAMYCH ZALEŻY LOS WOLNEGO SŁOWA W POLSCE !

Dziewięćdziesiąta druga poczyna wydawnicza **NOWEJ**  
 Druk W.W.B.Ó.P. im J.P.  
 Czerwiec, 1980

